MIESIĘCZNIK

Fantastyka

3(66) MARZEC 1988 CENA 200 ZŁ

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35[illegible]

Nowa powieść:
Larry Niven
Pierścień

GALERIA

Patric
Woodroffe



Patric Woodroffe

Myślę, że sztuka jest jak średniowieczny romans. Ma dodawać rzeczom czegoś nieoczekiwanego i tajemniczego, ma ubarwiać nasze widzenie świata. Pokazywanie tego, czego nie ma w rzeczywistości umacnia sztukę. Ocieram się o granice kiczu, gdyż jak sądzę, właśnie z kiczu pochodzi to, z czego wywodzi się czasami najlepsza sztuka.

Uważam się przede wszystkim za myśliciela, a dopiero później za artystę. Rysowanie i malowanie to tylko jeden ze sposobów. Piszę także. To się łączy. Większość moich obrazów i rysunków przypomina opowieści, coś się w nich dzieje, jest tam jakaś myśl. Żadna z ilustracji nie jest tylko obrazem, wszystkie zawierają coś w rodzaju komentarza lub opowieści. Ale to właśnie ilustracja czyni pisanie bardziej osobistym. Stwarzam obrazy i chcę po prostu wydobyć je i uczynić rzeczywistymi.

Tym, co najbardziej uderza w sztuce Patricka Woodroffe'a, jest bogactwo koloru i detalu. Miękki brąz i złoto łączone są z ciemnym błękitem, soczystą zielenią i ostrą czerwienią w sposób powiększający najczęściej i tak uderzające zestawienie obrazów. Postaci, budynki i naturalne części składowe krajobrazu są przedstawione z wielką dokładnością do tego stopnia, że dostrzegalny jest każdy liść na drzewie, każde pióro na skrzydle ptaka, każdy włos na piersi muskularnego wojownika.

W taki właśnie sposób postrzegam rzeczywistość. Tym, co najbardziej porusza, jeśli dokładnie przyjrzeć się naturze, jest jej ostrość, realność. Niezależnie od tego, czy próbujesz fotografować ją czy robisz cokolwiek innego, nigdy nie przekażesz tej niesamowitej „superrealności". Lecz im więcej detali zamieścisz tym dłużej trwa iluzja prawdy, nawet jeśli dzieło jest w całości wytworem wyobraźni.

Przez lata Woodroffe stosował wiele technik: farby wodne, akwaforta, drzeworyt, rzeźba w drzewie, metalu i szkle oraz wycinanki, które nazywał „tomografami". Oprócz ilustrowania książek projektował także obwoluty i okładki albumów płytowych. Od pewnego czasu koncentruje się raczej na malarstwie olejnym do projektów książek, powracając do tradycyjnych narzędzi swego zawodu: stalówki i pędzli z sobolowego lub świńskiego włosia. Woodroffe zaczął późno i nie ma żadnych formalnych kwalifikacji. Przez wiele lat malował traktując to jako hobby, a na życie zaczął zarabiać jako ilustrator dopiero po trzydziestce. Urodzony w Halifax, Yorkshire, w 1940 roku, ukończył filologię francuską i niemiecką na uniwersytecie w Leeds. Dziś mieszka z rodziną w Kornwalii. W 1972 roku zaprzestał dorywczej pracy nauczyciela, by uprawiać wolny zawód plastyka. W tym samym roku jego wystawa w Galerii Covent Garden w Londynie cieszyła się wielkim powodzeniem.

Woodroffe malując pamięta zawsze o tym, że ilustracja jest przeznaczona do reprodukcji, choć często jest niezadowolony, jeśli ilustracje po wydrukowaniu w żaden sposób nie przypominają oryginałów.

Prace, które przedstawiamy w naszej „Galerii" są wykonane techniką „tomograficzną", która jest zbliżona do techniki realizacji filmów lalkowych. Zaaranżowane tła, zastawki i rekwizyty są fotografowane. To zupełnie inne spojrzenie na ilustrację. Z tym większą przyjemnością prezentujemy prace tego niekonwencjonalnego artysty.



Dariusz Chojnacki

21

Hugo i Nebula! – obie te nagrody otrzymał Larry Niven za powieść, której druk właśnie rozpoczynamy. Po dwóch mikropowieściach w poprzednich numerach, tym razem proponujemy serial wieloodcinkowy.

Larry Niven – „Pierścień"



Co mi z Lema

Nie ma proroków we własnym kraju, zdaje się, że tak brzmi właśnie owa słynna maksyma, szczególnie pasująca do naszych krajowych warunków i to nie tylko w teraźniejszości, ale i w przeszłości. Żeby zostać u nas docenionym, trzeba albo młodo umrzeć albo też bardzo długo się męczyć pośród bezinteresownej zawiści. Ale nawet i długowiecznym nie zawsze udaje się uzyskać szacunek należny czcigodnym starcom, bo z zasługami różnie się może zdarzyć, mogą nawet zostać na zawsze zapomniane, jeśli nie trafi się ktoś (przeważnie z rodziny lub z interesownych przyjaciół), kto na odkryciu czyichś zasług sam pragnie wyjechać do góry lub po prostu zarobić.

Artyści u nas, zwłaszcza, mieli szczególne kłopoty ze swymi talentami, ze zdobyciem poklasku, jako że na sztukę da się patrzeć z różnych stron i z różnym nastawieniem, tak ze w tej dziedzinie przebijać się przez zawiści, niechęci, krytyki i podstawiania nóg najtrudniej.

Młodego Mickiewicza odsądzali od czci i wiary za jego ballady i „Odę do młodości" klasycy owych czasów i kto wie co by w ogóle było z naszym romantyzmem, gdyby nie martyrologia filaretów i filomatów i wyjazd zagraniczny, który jakoś wieszczowi wszystko załatwił. Pamiętał, czy zakonotował w podświadomości starszy Mickiewicz swoje młodzieńcze nauki i Juliusza Słowackiego potraktował w Paryżu jak gówniarza, kiedy ten już wspaniałe wiersze pisał. Nie pomagano także czwartemu po Mickiewiczu, Słowackim, i Krasińskim wieszczowi – Cyprianowi Kamilowi Norwidowi i nie za bardzo go ceniono. W końcu umarł w przytułku, daleko od ojczyzny, a działającemu w tej ojczyźnie twórcy „Pana Jowialskiego" i „Zemsty" – Fredrze, taką rodzima krytyka dała szkołę, że zerwał na długi czas z pisaniem i dopiero pod koniec życia, z mniejszym już wigorem i mniejszym talentem powrócił do pióra. Nie weselsze perypetie przeżywali twórcy tej miary co Matejko, Zapolska, czy Grottger, którego rocznica 120 urodzin i 150 śmierci na obczyźnie minęła w grudniu zeszłego roku.

Matejkę tak mocno prześladowali krakowscy rodacy, że aż się zbuntował i specjalny obraz z zemsty i goryczy im stworzył; Grottgera, natchnionego romantyka i artystę, który uwieczniał ruchy wolnościowe, a zwłaszcza Zryw Powstańczy w 1863 roku na kartonach swoich słynnych później albumów, nikt z rodaków w kraju nie chciał utrzymywać i opłacać, aby mógł swobodnie rozwijać geniusz. Najpierw więc, ratując od nędzy, uczynił go malarzem nadwornym sam cesarz Franz-Josef, następnie cudzoziemcy z litości kupowali za bezcen najsłynniejsze cykle obrazów Artura, ponieważ rodzimi bogacze nie interesowali się za bardzo sztuką w ogóle, a w szczególności tym co im oferuje pędzel i ołówek wielkiego twórcy. Podczas pobytu przez kilka lat w Wiedniu tak mu się powodziło, że musiał stamtąd uciekać, ścigany za długi i jako „wydrwigrosz" (dosłownie) potraktowany przez polskich parlamentarzystów. A przecież oprócz tworzenia swoich obrazów brał Grottger udział w dostarczaniu broni powstańcom polskim, korzystając ze swoich dobrych stosunków z austriackim generałem Pappenheimem. Ostatnim gestem łaski i litości dla naszego rodaka, uczynionym przez cesarza Franza-Josefa było zakupienie cyklu „Wojny" na Światowej Wystawie w Paryżu, ponieważ nie znalazło to dzieło krajowego nabywcy.

Neoromantyk Stanisław Wyspiański wprawdzie jeszcze za życia zdobył sławę, ale droga do tej jego sławy była ciernista i właściwie jest to temat do osobnej powieści, a wszelkie cierpienia i kłopoty polskich artystów, którzy najczęściej albo po zgonie, albo za granicą zdobywali sławę wymagałyby specjalnego w tym względzie dzieła. Tylko czy jego autor cieszyłby się za życia, gdyby takie dzieło przygotował, jakąś zasłużoną sławą, czy zdobyłby uznanie?

Mijały lata, mijają lata, a sytuacja nie bardzo się zmienia: biedny był Witold Gombrowicz, jeden z najwybitniejszych, a może najwybitniejszy współczesny pisarz polski, dopiero pod koniec życia uznano jego dzieło i kapnęło mu za nie trochę grosza – za granicą. Gdyby nie grono przyjaciół poety i prozaika Bursy, nikt nie słyszałby po dziś dzień w ogóle o tym młodym, przedwcześnie zmarłym twórcy, za żywota niezbyt dobrze przyjmowanym i nagradzanym. Ale kto w ogóle bywa za żywota u nas nagradzany, w pełni doceniony, no, no pomyślmy trochę, zastanówmy się, kto? Jakże to, zakrzykną natychmiast miłośnicy SF, bo nikt lepiej od nich się nie orientuje, że wszystkich polskich twórców-fantastów krytyka ruga, że im większe nakłady mają u nas na swoje książki (nie odważyłem się napisać dzieła), tym niższe stawki, że książki ich leżą już w sklepach, że na rodzimą fantastykę i rodzimych twórców nawet co poniektórzy fanowie wybrzydzają, więc komu tu dobrze – jednemu! tak, jednemu jedynemu Stanisławowi Lemowi!

Zaraz, czy naprawdę mu dobrze? Owszem, na świecie niezgorzej. Na razie nieliczni nasi krytycy zaczynają przebąkiwać, iż on, Stanisław Lem, zamiast lepiej – gorzej dziś pisze, że go przerastają młodsi, słowem: miał już wielką prasę, trzeba mu teraz dolać – dolać nie wina, lecz, no wiadomo, jak dolać. I to się zaczyna dziać, kiedy równocześnie o nim tak oto pisze się na świecie w świetle tego czego dokonał: *Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Lem będzie pierwszym autorem gatunku science fiction, który dostanie Nagrodę Nobla! Nikt mu bowiem nie dorówna w sposobie opowiadania i w scjentyficznej wyobraźni.* Tak pisze prof. Arnold Ages z Nowego Jorku w „Przeglądzie książek". A w Wiedniu szły ostatnio, z ogromnym powodzeniem, spektakle przysposobionego dla teatru „Kongresu Futurologicznego", przygotowane przez założyciela grupy „Narrnkastl" (w 1980 r.) reżysera i aktora Justusa Neumanna. Rolę Ijona Tichego grał również Neumann. Premiera sztuki odbyła się jesienią i nie było chyba pisma, które nie zamieściłoby recenzji, a wszystkie one wychwalały wielki talent i wielkie poczucie humoru polskiego autora.

A więc za granicą, a nie w Polsce, odbyła się już premiera opery według Stanisława Lema i sztuki, tam, nie tak znów daleko od nas, nasz mistrz SF dostarcza zachodnim widzom, krytykom, intelektualistom, sklepikarzom i przemysłowcom ostrej, cierpkiej rozrywki, dawki horroru, humoru i głębszej refleksji, i tam to cieszy, a u nas gadają, psiakrew, „Lem już za trudny", mnie zaś pytają, co ja z tego mam tutaj, że ciągle o nim pisze nasza „Fantastyka", choć on nie łaskaw u nas drukować swoich rzeczy z pierwszej ręki. Właśnie, pytają mnie, co ja mam z tego, iż o nim się drukuje, a ja z kolei pytam tych wszystkich, co tak pytają i tych, którzy nie pytają, lecz atakują Lema, a także mnie, co oni z tej swej zaciekłej zawiści mają, no proszę, powiedzieć, co?! Co?!

No, to huzia na Józia, czekam na baty i orbituję dalej, byle do prawdziwej wiosny.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00–640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25–34–75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25–50–51 (z–ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z–ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z–ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z–ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa–Książka–Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00–666 Warszawa, tel. centr. 25–72–91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25–35–36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa–Książka–Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa–Książka–Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Nakład 200 000 egz.
Zam. 496/88 r. U-69

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209–1631 Oddano do składu 28 grudnia 1987 r.

Lądowanie LXI

Coraz szybciej lecą lata, trata tata, trata tata. Już wychodzi nie tylko duża, lecz także i „Mała Fantastyka", już nasze „Komiksy" znikają z półek kiosków błyskawicznie, więcej powiem: po ukazaniu się pierwszego numeru kwartalnika „Mała Fantastyka" do redakcji zaczęły natychmiast napływać listy, z rozwiązaniami zadań, z prośbami, żądaniami, krytykami, zupełnie jak wówczas, kiedy to pojawił się pierwszy numer dużej „Fantastyki". Ponieważ uważam, że dopiero po kilku numerach nawiąże się prawdziwy kontakt między Czytelnikami a kwartalnikiem, w dzisiejszym numerze „Fantastyki" postanowiłem opublikować tę pocztę, która na temat zarówno „Małej Fantastyki" jak i „Komiksu-Fantastyki", nadchodzi. Przeczytajcie i dyskutujcie, nie wyobrażam sobie bowiem, aby nasi Czytelnicy mogli przejść obojętnie wobec powstania dwóch nowych kwartalników.

Koloru, koloru!

Szanowny Panie Redaktorze, ja rozumiem doskonale trudności poligraficzne naszego kraju, równocześnie jednak nie wyobrażam sobie, aby można było odważyć się wydać pismo dla dzieci pozbawione kolorów, a niestety wy to zrobiliście. To wielka przykrość. I te kolory i ten brak błyszczącej okładki! Jak tak można! Nie bardzo także podobają mi się ilustracje, mało fantastyczne, bez rozmachu. Czy podobnie jak w „Fantastyce" musicie długo dojrzewać do właściwej szkoły ilustracji? Macie już przecież doświadczenie, czemu wystartowaliście z malowidłami tak, jakbyście nie wiedzieli o co w ogóle chodzi w czasopiśmie tego rodzaju.

Teksty naprawdę ciekawe, ale z ilustracjami musicie się poprawić.

Jolanta Złocień z Wrocławia

Skasowaliście tak atrakcyjne plakaty, czy postery, bo i tak się to nazywa, a pisaliście, że wykorzystacie ich błyszczący papier na okładki do dodatków do „Fantastyki". „Komiks" wygląda prawdziwie komiksowo, jak na Zachodzie, niestety „Małej Fantastyce" daleko do takiego poziomu graficznego. Natychmiast się poprawcie.

Jerzy Bańdoch z Gdańska-Wrzeszcza

Ciągle za mały

Jestem uczniem drugiej klasy szkoły podstawowej na Ursynowie, udało mi się kupić „Małą Fantastykę" i bardzo mi się ona spodobała, chociaż jest trochę za trudna dla takich dzieci jak ja, czemu tylko starszacy mają prawo do fantastyki, my na lekcjach piszemy o tym co na księżycu i o zielonych ludzikach, tymczasem w „Małej Fantastyce" brakuje dla takich jak ja wierszyków i bajek, i komiksów, takich jak te co pokazywała telewizja w audycjach dla dzieci, dawajcie coś dla nas młodszych, starsi mają swoją „Fantastykę", ta musi być dla nas.

Julek S. z Warszawy-Ursynowa

Mieszkam w małym miasteczku na Dolnym Śląsku, nazwa Panu niewiele powie. Ani w bibliotece, ani w kioskach nie napotkałem „Małej Fantastyki" i nikt mi nie potrafi powiedzieć czy ona w ogóle do nas dotarła. Pani kioskarka mówi, że o takim piśmie nie wie i że „Fantastyki" też nie dostaje. To znaczy, że jak się w takim Lwówku Śląskim mieszka, to już się jest na marginesie? Zajmijcie się tymi niesprawiedliwościami, nie każcie dawać pism do wielkich miast, niech i my w małych coś dla siebie znajdziemy.

Zofia P.
(adres znany redakcji)

Strasznie drogie są te pisma dla dzieci i młodzieży, a także książki, ja rozumiem, że rosną koszty druku, że każdy musi zarobić, ale nie wiem czy aż takie ceny są uzasadnione, przecież nasza młodzież nie jest zamożna. Moja mama daje mi co miesiąc honorarium za grzeczne zachowanie i dobre stopnie w szkole, nie wystarcza mi jednak tego na zakup tych pism i tych książek, które chciałbym kupić. Mama mówi, że więcej mi dawać nie jest w stanie. Za mało zarabia na nasze utrzymanie.

Karol Przesmyk z Warszawy

Dlaczego piszecie w tym dziecinnym piśmie fantastycznym takimi małymi literkami, nie wszyscy są jeszcze wprawieni do czytania tych bajeczek, a babcia mówi, że takich małych literek nie może przeczytać, bo ją oczy bolą.

Katarzyna Grabowska z Krakowa
(Nowej Huty)

Dobrze, że nauka

W tym małym piśmie fantastycznym, które właśnie zaczęliście wydawać, znalazło się, na szczęście, wiele informacji o charakterze naukowym, czy raczej popularnonaukowym. To chyba właściwy kierunek działania i wreszcie odpowiedź na prośby Czytelników „Fantastyki", żeby unaukowić czasopismo. Tylko że ci, którzy zechcą obydwa wydania kupować będą musieli za to sporo płacić. Napiszcie o szansach podróży na inne planety naszego Układu Słonecznego i o tym czy Lem ma rację w swoim „Fiasku", że nie będzie się można porozumieć z istotami inteligentnymi, spotkanymi we Wszechświecie. Mnie się zdaje, że Lem nie ma racji. Inteligentne istoty, nawet z różnych planet, na pewno się jakoś zdołają dogadać, nawet jeśli nic wzajemnie o swoich obyczajach nie wiedzą. Krytykujecie Lema, piszecie o jego, jak to określacie, pesymizmie czy katastrofizmie, a nie wyjaśniacie naukowo kwestii zasadniczej. Jak może być z tym porozumieniem, jeśli się spotkamy. A przecież to najważniejsze.

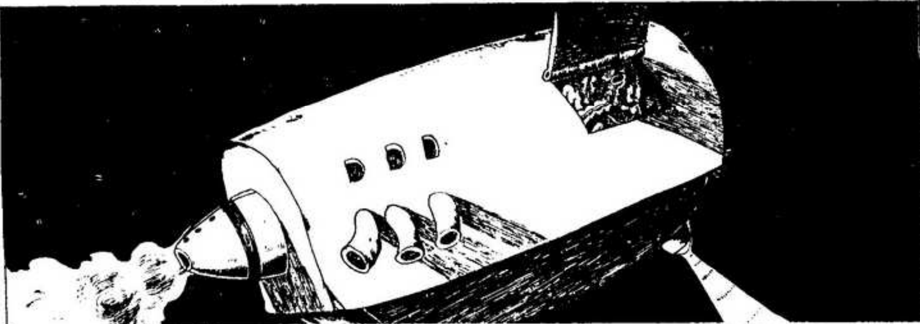
Stanisław Gromko z Warszawy

Moim zdaniem bardzo źle się stało, że wyszła „Mała Fantastyka", to znaczy, że ona wyszła jako kwartalnik, a nie jako miesięcznik. Chyba bardziej najmłodszym i młodym potrzeba takiego pisma, niż nam, dorosłym. Dlaczego nie poradziliście się w tej sprawie swoich czytelników, czemu nie załatwiliście jakiejś ankiety przez kuratoria szkolne. Uważam, że szkoły powinny prenumerować takie pismo, które niejako ma za zadanie wyprzedzanie teraźniejszości i ukazywanie rzeczy, jakich można jutro oczekiwać. Dotychczas w podręcznikach szkolnych fantastyka, tak bardzo dziś frapująca młodych, traktowana była po macoszemu i ukazanie się Waszego pisma, a raczej pisemka, może tę sytuację zmienić. Życzę wszystkiego najlepszego na nowej drodze.

Zygmunt Graulich z Wrocławia
(13 lat)

Ja tylko jedną kwestię pragnąłbym od razu wyjaśnić: będziemy już niedługo drukowali w kolorach prawie wszystkie strony „Małej Fantastyki"! I to stale! Inne sprawy niech pozostaną jeszcze przedmiotem dyskusji między Czytelnikami.

Redaktor



Uwaga Czytelnicy!

Nasz wydawca, Krajowe Wydawnictwo Czasopism informuje:

*Począwszy od tego numeru (3/88) uległa zmianie cena miesięcznika „Fantastyka". Obecnie wynosi ona **200 zł.** Od numerów 1/88 wzrosły również ceny dodatków kwartalnych: „Małej Fantastyki – do **150 zł**, a „Komiksu-Fantastyki" – do **280 zł.***

Przykra dla nas konieczność podwyższenia cen wynikła ze znacznego wzrostu kosztów papieru, druku, transportu, energii itd. Nowe ceny pokrywają w najniezbędniejszej tylko wielkości niezależny od wydawcy wzrost samych kosztów wydawania „Fantastyki", „Małej Fantastyki" i „Komiksu-Fantastyki".

Krajowe Wydawnictwo Czasopism

Ian Watson

W duchu Lukrecjusza

(Ghost Lecturer)



Willy Dommer

Gdy tylko Lukrecjusz, goły jak święty turecki, zmaterializował się w ognisku Pola Roseberry'ego, podbiegł do niego jeden z techników i zarzucił mu na ramiona płaszcz kąpielowy. Drugi technik zaopatrzył starożytnego Rzymianina w parę sandałów.

Ubranie się w prawdziwą togę wymaga co najmniej pół godziny, płaszcz kąpielowy musiał więc na razie wystarczyć.

Potem podszedł Jim Roseberry, żeby powitać czcigodnego gościa i wyjaśnić – po łacinie – sytuację. Jim autentycznie promieniował dobrodusznością; czuło się, że można mu ufać. Z tymi jasnymi błękitnymi oczami, leniwym krokiem i nastroszoną aureolą szpakowatych włosów wyglądał jak przyjaźnie nastawiony miś, który tylko pragnie was uściskać.

– Mistrzu – oświadczył – witaj! Ludzie przyszłości pozdrawiają ciebie, który masz umrzeć. Dzięki naszej nauce porwaliśmy cię z łoża śmierci, aby uczcić twoją mądrość... – I tak dalej.

Tytus Lukrecjusz Karus słuchał z przekrzywioną głową. Był to niski, chudy jegomość z ondulowanymi, piętrowymi lokami nad szerokim, pobrużdżonym czołem. Nos miał długi i cienki; żywe piwne oczy kryły się pod ciężkimi powiekami.

Nie wyglądał na kogoś umierającego, ale Jim wytłumaczył mi poprzedniego wieczoru, że przy porwaniu umierającego z kontinuum i przedłużeniu jego ostatnich chwil o siedem dni w teraźniejszości, efekt Roseberry'ego skutecznie ożywia delikwenta na czas jego wizyty u nas.

Co do mnie, to początkowo przypuszczałam, że zmartwychwstańcy nie są wcale prawdziwymi ludźmi, ale raczej czymś w rodzaju ektoplazmy, jak duchy na seansach spirytystycznych. Jim zapewnił mnie, że nie – autentyczne ciało i krew. I że gdybym była jak on topologiem kontinuum, rozumiałabym dlaczego.

Autentyczne ciało i krew: to poddało mi parę pomysłów na ożywienie programu. Bo, oczywiście, dla nas, ludzi z telewizji, kłopot polegał na tym, że wykłady Laureatów Nagrody Roseberry'ego nie stanowiły, łagodnie mówiąc, bombowego materiału. Naturalnie wiadomość o efekcie Roseberry'ego i jego fantastycznym zapleczu naukowym wywołała sensację. Ale z kontynuacją programu był kłopot. Charles Darwin okazał się zwyczajnie nieciekawy, co zaś do drugiego zmartwychwstańca, Galileusza... no cóż, tłumaczenie komputerowe w monotonnym języku maszynowym to prawdziwy środek nasenny, a nie mogliśmy oczekiwać, że miliony telewidzów wypożyczą sobie sprzęt hipnopedyczny, żeby poznać język starowłoski. Jedynie [illegible] o ożywieniu Jezusa Chrystusa

skłoniły nas do zakupienia praw telewizyjnych do Lukrecjusza, żeby zachować opcję na następne wskrzeszenia. Bo przecież kogo obchodzi Lukrecjusz i co on ma do powiedzenia światu?

W ten oto sposób wylądowałam jako reżyser tego programu. Jedynym wyjściem było skoncentrowanie się na sprawach osobistych: na tygodniu, który po wykładzie ten stary Rzymianin miał spędzić z rodziną Roseberry'ego. Teraz wiedziałam już, że wydobycie osobistego charakteru tej wizyty będzie zależało wyłącznie ode mnie.

Z chwilą, gdy minął pierwszy szok, Lukrecjusz podszedł do całej sprawy wskrzeszenia z godnym podziwu spokojem – choć z mojego punktu widzenia nie byłoby korzystne, gdyby zachowywał spokój przez cały tydzień.

Na razie przeszliśmy wszyscy z pokoju wskrzeszeń z plątaniną kabli, aparatem matrycy czasoprzestrzennej i innymi cudami do sąsiedniego pomieszczenia z kanapkami, ciasteczkami i colą przed udaniem się na wykład...

...który Muhammed i Carl posłusznie sfilmowali i nagrali. Lukrecjusz stojąc na podium dzielił się z zaproszonym audytorium swoimi poglądami na temat teorii atomów i natury wszechświata. Było jasne, że 99 albo całe 100 procent materiału trzeba będzie wyrzucić. Myślami byłam z Tonym, który teraz pracował w domu Roseberry'ego, znajdującym się na terenie Instytutu, rozmieszczając w nim według mojej specyfikacji automatyczne minikamery i ukryte mikrofony.

Po chwili zaczęłam obserwować Jima Roseberry'ego i zwróciłam uwagę, jak co jakiś czas uśmiecha się do siebie słuchając wykładu, jak potakująco kiwa głową.

Pomyślałam, że coś jest niezupełnie w porządku z Jimem...

Później, kiedy rozeszło się audytorium złożone z laureatów Nobla i innych grubych ryb, poszliśmy ścieżką między rododendronami do domu Roseberry'ego, zostawiając za sobą lustrzane szyby i beton Instytutu: tylko Jim, Lukrecjusz i ja. Rzecz jasna, w asyście Carla i Muhammeda, którzy utrwalali bezcenną chwilę.

Lukrecjusz albo nie był przyzwyczajony do naszych nowoczesnych sygnałów, albo z opóźnieniem odczuł szok, bo już po chwili potknął się i wpadł na mnie. Skorzystałam z okazji, żeby go wziąć pod rękę.

– Czy to prawda, mistrzu, że oszalałeś po wypiciu napoju miłosnego? – szepnęłam. (Było to coś, co, ku mojej radości, wygrzebała moja asystentka Karen. Nasz Rzymianin podobno umarł w ataku szału nadużywając afrodyzjaków. Niezależnie od tego zawsze był typem maniakalno-depresyjnym, stale przerzucającym się od ekstazy z powodu uroków świata do ponurego przerażenia nieustanną rzezią. Chociaż bardzo starał się zachować filozoficzny spokój).

– Na litość boską – syknął Jim usłyszawszy.

Lukrecjusz spojrzał na Jima z wyrzutem.

– Czy wciąż jeszcze wierzysz w bogów?

Przez cały czas ściskał mnie za rękę. Widocznie moje wysokie buty, miniszorty i stanik zrobiły na nim wrażenie. Licho wie, co myślał o Muhammedzie kręcącym się wokół nas z kamerą. Czarny niewolnik z wachlarzem?

Na kolację tego pierwszego wieczoru zostały zaproszone dwie osoby z popołudniowego audytorium: gruby astrofizyk Max Stein oraz Ingrid Langholm, specjalistka od fizyki cząsteczkowej, która przyszła w długiej pomarańczowej sukni z organdynowami wstawkami dyskretnie odsłaniającymi ciało. Nasza gospodyni, Martha Roseberry była kobietą zdecydowanie Rubensowską: tęgą, różową i upudrowaną. Córka, Harmony, przemądrzała nastolatka, była również pulchna i na dodatek pryszczata z powodu zamiłowania do tłustych racuszków. Obie, matka i córka, wyraźnie traktowały Jima jak pierwszego po Bogu.

Muhammed i Carl udali się do pobliskiego motelu; Tony został odesłany do kuchni, skąd japońska służąca Machiko donosiła napoje i potrawy filipińskiego kucharza. Za każdym razem, kiedy Machiko wchodziła do pokoju, Lukrecjusz z zadziwieniem obserwował jej wschodnie rysy. Wreszcie między wędzonym łososiem a szparagami spytał, czy to Egipcjanka, na co Jim wybiegł do swojego gabinetu, by wrócić z globusem: jeszcze jednym nowoczesnym cudem, który miał olśnić naszego Rzymianina na dodatek do światła elektrycznego, telewizji i ustępu z bieżącą wodą. Słuchając opowieści Jima o tym, jak to zbadaliśmy i odwzorowaliśmy każdy cal na Ziemi a nawet dotarliśmy na Księżyc, zaczęłam rozumieć, co w nim jest podejrzanego.

Epokowy wynalazek Jima pozwalał wyrywać dawnych geniuszy z ich czasów, rzekomo, żeby ich uhonorować i zapewnić, że przyszłe pokolenia doceniają trud ich życia. Ale potem Jim mógł (bardzo grzecznie) wykazać im, gdzie się pomylili albo czego nie zrozumieli. I o ile więcej wiemy teraz. „Brawo, chłopcze, niewiele się pomyliłeś! Byłeś na dobrej drodze, brawo! Ale..."

To dlatego wybierał do wskrzeszania uczonych. Artysta jak Mozart albo Szekspir nie dałby się zbić z tropu; uczonemu można było zaimponować wyższą wiedzą. W ten sposób Jim Roseberry zyskiwał przewagę nad Darwinem, Galileuszem czy kim tam jeszcze.

Lukrecjusz był wprawdzie poetą, ale jego poezja miała jedynie popularyzować naukę. Był w starożytnym Rzymie kimś w rodzaju Carla Sagana.

Następnie podano boeuf Strogonoff z pilawem. Max Stein pochłonął trzy porcje, ale Lukrecjusz tylko swoją rozgrzebał.

– Jak ci smakuje jedzenie, mistrzu Lukrecjuszu? – spytała Martha po łacinie. (Wszyscy, oczywiście, spędziliśmy noc pod urządzeniem hipnopedycznym).

– Gorzkie – odpowiedział. – Kwaśne.

Podała mu solniczkę. Harmony zademonstrowała jej użycie. Lukrecjusz spróbował i skrzywił się.

– Czy szorstkie atomy kaleczą twój język? – spytał Jim z błyskiem rozbawienia w oku.

Na szczęście burgund zyskał uznanie gościa.

Przy deserze (mus cytrynowy i racuch dla Harmony) rozmowa zeszła się na elektrony i kwarki oraz Wielki Wybuch. Ingrid Langholm wykazała dużo pomysłowości przy tworzeniu łacińskich słów opisujących, co się dzieje, kiedy rozpada się to, co niepodzielne. Nadeszła kawa oraz koniak i Lukrecjusz krzywiąc się zażądał drugiego koniaku. Wciąż jeszcze zachowywał spokój, ale na jak długo? Siedziałam obok niego niewinnie ocierając się nogą o jego płaszcz kąpielowy. (Dzisiaj było za wcześnie. Może następnej nocy...)

Wtedy usłyszałam grzmot. Jim zerwał się i podszedł rozchylić zasłony. Za oknem była czarna, bezksiężycowa noc, bez jednej gwiazdy. Wiatr jakby się nasilał.

– Szykuje się paskudna pogoda – powiedział Jim.

Max spojrzał na zegarek i wstał.

– Czas na mnie! – Wyciągnął rękę do Lukrecjusza. – Naprawdę miło było z tobą rozmawiać, mistrzu!

– Mnie również – powiedziała Ingrid i też wstała.

Lukrecjusz popatrzył na wyciągniętą dłoń Maxa.

– Nie trzeba – powiedział. – Nie czuję potrzeby wymiotowania.

– Boże! – jęknęła Martha.

– Rzymskie uczty były tak obfite, mamo, że goście zwykle musieli wymiotować między daniami – wyjaśniła Harmony.

– Więc to była uczta? – spytał Lukrecjusz. – Jeżeli tak, to podziwiam jej skromność, jeżeli nie smak.

– Niech mnie diabli! – rzuciła Martha.

Przyjęcie dobiegło końca.

Spędziłam okropną noc w jednym z pokojów gościnnych. Budziła mnie nawracająca burza. Co godzina rozlegały się od nowa grzmoty i światło błyskawic przeciskało się przez zasłony. Prawie bez przerwy wył upiorny wiatr. Kilkakrotnie zdawało mi się, że słyszę czyjś krzyk lub skrzek sowy. Czułam się jakaś zagrożona i schowałam się z głową pod elektryczną kołdrę, mimo że było mi tam za gorąco.

Kiedy wstałam rano, wiatr szalał nadal. Przez niebo pędziły ogromne galeony obłoków, ich żagle piętrzyły się aż gdzieś do stratosfery.

Okno mojej sypialni wychodziło na zagajnik, który oddzielał nas od autostrady. Wśród szarej zieloności dostrzegłam coś jaskrawo pomarańczowego.

Nagle wydało mi się, że cała grupa drzew, na które patrzę jakby .... ruszyła ku mnie, zrzucając welon za welonem, które frunęły w moją stronę. Odczuwałam zetknięcie z każdą cienką kopią krajobrazu jak fizyczne uderzenie po oczach. To, na co patrzyłam, wysyłało ku mnie swoją powierzchnię. Przez chwilę pomyślałam, że to nawrót halucynacji narkotycznych sprzed lat, ale potem skoncentrowałam się na tej pomarańczowej plamie.

To była Ingrid Langholm na drzewie.

Halucynacja? Chyba jednak nie.

Ubrałam się pośpiesznie i poszłam obudzić Tony'ego i Jima Roseberry'ego. Jeżeli Ingrid spędziła całą noc na drzewie podczas burzy, to niewątpliwie miała po temu jakieś uzasadnienie.

Kiedy wracaliśmy do domu podtrzymując słaniającą się Ingrid w podartej sukni, Martha Roseberry nie zważając na pogodę wyszła nam w szlafroku naprzeciw. Lukrecjusz w swoim płaszczu kąpielowym był tam również.

– Co się stało? – krzyknęła Martha.

– Nawaliło mi przednie koło – jęknęła Ingrid. – Dętka.

– Popsuło się koło w jej rydwanie – wyjaśnił po łacinie Jim, pamiętając o obowiązkach gospodarza.

– Nie miałam latarki... Chciałam wrócić... – i wtedy ten cholerny lew...

– Lew zapędził ją na drzewo i potem kręcił się w pobliżu.

– Lwy boją się piania koguta – zauważył z miną mędrca Lukrecjusz.

– Co? – zdziwiła się Martha.

– Dlatego uciekł o świcie. Świnie nie znoszą pachnideł i majeranku, a lwy boją się koguta. – Lukrecjusz przyglądał się biednej Ingrid z ponurą satysfakcją. Jej wieczorowa suknia była przemoczona i podarta. Makijaż spłynął, włosy opadły jej na twarz mokrymi kosmykami. Wyglądała jak ostatnia gałganiara.

W tym momencie twarz Ingrid oderwała się i popłynęła na mnie, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Wyglądało to tak, jakby miała nieskończoną liczbę masek, które kolejno odklejają się i fruną w powietrzu bez straty dla niej. Martha również z niedowierzaniem przetarła oczy.

Tymczasem Jim był pochłonięty wpatrywaniem się w rozszalałe niebo. Drżącą ręką wskazał w górę. Z chmury szczerzyła się na nas olbrzymia twarz, która zmieniła się w ryczącą paszczę lwa, a potem rozpłynęła się, kapiąc jak wosk.

– Widzieliście to?

– Czasami na niebie samoczynnie powstają cienkie błony obrazów – podpowiedział Lukrecjusz.

Jakby tego było mało, dwie sąsiednie jodły nagle stanęły w ogniu. Jim zbliżył się do Lukrecjusza.

– A w takim razie, co jest powodem tego?

– Wiatr pociera drzewo o drzewo. Zapalają się od tarcia.

Nieustanne smagnięcia wiatru wytrząsały atomy mojego ciała i umysłu z taką szybkością, że czułam się, jakbym całą noc nie spała. Traciłam gęstość i potrzebowałam jedzenia, żeby zapełnić ubytki. (Jakaś część mnie pytała inną część „Co też mi przychodzi do głowy? Wytrząsać atomy? Tracić gęstość?"). Moje ręce i nogi drżały. Nie zauważyłam skradającej się w trawie żmii, dopóki Tony nie ostrzegł mnie okrzykiem.

Natychmiast trąciłam mojego ducha, żeby wprawił w ruch moje ciało. (Co ja plotę?). Lukrecjusz od niechcenia splunął na żmiję. Ta w jednej chwili skręciła się, ugryzła własny ogon i znieruchomiała.

Lukrecjusz zaśmiał się z satysfakcją.

– Na szczęście była z tych, które ludzkie splunięcie zabija.

Chwiałam się na nogach. W piecu zderzających się chmur zbierały się ziarna ognia. Nagle wystrzelił z nich piorun i uderzył w ziemię całkiem blisko nas.

– Co się tu u diabła dzieje? – krzyknął Tony.

– Muszę szybko coś zjeść – zwróciłam się do Marthy. – Bardzo proszę! Straciłam zbyt wiele atomów i mój duch słabnie.

– Czy zaczęłaś jakąś nową terapię? – spytała Martha z błyskiem zainteresowania.

– Lepiej wejdźmy czym prędzej do środka – poradził Jim.

Jedliśmy wafle z syropem klonowym; gładkie atomy syropu sprawiały chyba przyjemność podniebieniu Lukrecjusza. Wkrótce burza zaczęła się uspokajać.

Jim posyłał mi przez stół złowrogie spojrzenie.

– Co się dzieje? Powiem ci, co się dzieje. Te „błony", które odrywają się od powierzchni i uderzają o twoje oczy, to sposób, w jaki według naszego przyjaciela działa zmysł wzroku. A my widzimy to tak, jakby to się działo naprawdę. I tak samo jest z całą resztą tych wariactw! Udziela nam się jego widzenie świata. Jakimś cudem to się... uzewnętrznia. I powiem ci dlaczego. Bo go podnieciłaś! Tym, jak jesteś ubrana. Albo raczej rozebrana!

– A cóż złego jest w szortach i staniczku? Co innego, gdybym przyszła tylko pomalowana.

– Obserwowałem cię przy kolacji. Wywołałaś w nim atak gorączki miłosnej.

– Co to takiego? – spytała Harmony.

– Czy musimy o tym mówić przy naszym gościu? – powiedziała uspokajająco Martha.

– A, do diabła z tym. – Mówiłam z głębi siebie. Językiem przycinałam dźwięki w słowa, kształtowałam je wargami. (Przynajmniej tak to odczuwałam.) – Do diabła z moim strojem i moralnością! Ważne jest, czy to, co się z nami dzieje, jest możliwe?

– To jest jego wyobrażenie o świecie wzięte do-

Zdecydowanie sądzę, że moje obrazy są formą komunikacji. Uwielbiam, kiedy ludzie jakoś na nie reagują. Obawiam się jednak, że traktuję publiczność jako coś drugorzędnego. Gdybym teraz stwierdził, że to, co robię, nie odpowiada jej, robiłbym dalej to samo. Określiłbym siebie jako malarza romantycznego. Nie jestem akceptowany na rynku profesjonalnym, ale mam tę radość, że wielu ludziom podoba się akurat to, co robię.



Patric Woodroffe

słownie... i doprowadzone do absurdu... Widocznie jakiś uboczny skutek Efektu Roseberry'ego, którego nie wziąłem pod uwagę. Z Darwinem, a nawet z Galileuszem, znajdowaliśmy się generalnie na tej samej długości fali... nowoczesnego światopoglądu naukowego – plótł Jim.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

– Zamiast więc, żebyś ty pouczał Lukrecjusza, to on dostosowuje rzeczy do swoich niedowarzonych starożytnych poglądów? No wiesz, tego już za dużo!

– Przepraszam. Muszę załatwić kilka telefonów.

Harmony posłała mi mordercze spojrzenie i wybiegła za ojcem. Miałam nadzieję, że ukryte kamery i mikrofony działają i wszystko to nagrywają. Pod nieobecność Jima Ingrid, zawinięta w zapasowy płaszcz kąpielowy, piła kubek za kubkiem gorącej kawy. Po chwili Lukrecjusz odkaszlnął, pewnie, żeby oczyścić gardło z kleistych atomów.

– Rzeczywiście, muszę przyznać, że czułem atak miłosnej gorączki. Czy nigdy nie osiągniemy stanu równowagi? Czy nigdy nie damy posłuchu słowu Mistrza?

– Jakiego Mistrza? – spytała Ingrid.

– Epikura.

– Aha.

– A jednak... jeżeli skoncentrować się na wadach kobiety... niezależnie od tego, jak piękna wydawała się z początku... – Spojrzał przeciągle na Ingrid, która po nocy na dworze przypominała utopionego szczura. A ja, ku swojemu rozczarowaniu, zrozumiałam, że ona podziałała na Lukrecjusza bardziej niż ja.

Może to i lepiej! W przeciwnym razie to ja mogłabym wyglądać teraz tak jak ona. A jednak żmija skradała się do mnie... Mogłam sobie niemal wyobrazić jak puchnę i bredzę, a z moich wnętrzności płynie czarna wydzielina... Skąd mi się biorą takie myśli? Nie wolno mi tak myśleć!

Po chwili wrócił Jim, a za nim Harmony.

– Telefon działa. Te małe atomy nadal biegają po drutach. Anomalie mają charakter czysto lokalny. – Usiadł i początkowo unikał mojego wzroku; dlatego, że go przejrzałam. – Zastanawiałam się, jaki to ma zasięg.

– Ja też – powiedziała Ingrid. – Gdyby był tu zamiast Lukrecjusza Jezus Chrystus, gdyby to było Jego powtórne przyjście, moglibyśmy odczuwać radość, pokój i prawdziwą miłość. Przez parę dni. W jednym małym zakątku świata.

Wspaniale, pomyślałam. Brawo, Ingrid. Naciśnij ten guzik jeszcze raz. Próbowałam forsować sprawę wskrzeszenia Jezusa, ale ilekroć poruszyłam ten temat, Jim zawsze się wykręcał, aż zaczęłam podejrzewać, że sam rozpuszczał plotki na ten temat, żeby wyciągnąć z telewizji grubą forsę dla Instytutu.

Ingrid zaczerwieniła się.

– Modliłam się trochę zeszłej nocy. Stary zwyczaj, dawno zapomniany. Pomogło mi to doczekać do rana.

Może zresztą nie byłoby to wcale takie piękne! Lukrecjusz był ateistą. Czy chcielibyśmy, żeby tu latali prawdziwi archaniołowie... i żeby Szatan we własnej osobie pukał do drzwi?

– Jak już powiedziałem – podjął Jim – jest to problem lokalny. Rzeczywistość nieco się rozchwiała w sąsiedztwie naszego przyjaciela. Jest zdecydowanie bardziej plastyczna. Ulega jego wyobraźni, a wyobraźnię zawsze miał silną! Dlaczego tak się dzieje za wcześnie jeszcze wyrokować. Zastanowimy się nad tym wspólnie w Instytucie. Zaryzykowałbym, że jest to funkcja tego, jak daleko zapuszczamy się w przeszłość. Widocznie im głębiej sięgamy, tym bardziej naruszamy czasoprzestrzeń. Nie martwcie się, wróci do dawnego kształtu.

– Jak on wróci do domu – zauważyła Harmony, dość ponuro.

– Tymczasem będziemy musieli uważać. Starajcie się go nie denerwować.

– Kto to jest Jezus Chrystus? – spytał Lukrecjusz.

– Hm. To długa historia – powiedział Jim. – Myślę, że można go nazwać nauczycielem. Jak Epikura.

– Był Synem Bożym – wtrąciła Ingrid ze spuszczonymi oczami.

– Bóg? – rozzłościł się Lukrecjusz. – To może i ja jestem bogiem, skoro mogę wywoływać burze i pioruny? Przecież wykazałem już przekonująco w swoim poemacie, że to nonsens. Piorun uderza, gdzie chce. Czy urządzacie sobie ze mnie kpiny?

– Ależ skąd – pośpiesznie zapewnił go Jim. – Chodzi o to, że rzeczywistość jest trochę bardziej skomplikowana niż myślałeś, Mistrzu... Spójrzcie – powiedział siląc się na lekki ton – przejaśnia się. Chodźmy się trochę przewietrzyć. To nam dobrze zrobi. – Przeszedł na chwilę na angielski. – Wezmę na wszelki wypadek strzelbę myśliwską. Będę udawał, że to laska. – A po łacinie. – Chyba nie napotkamy więcej lwów, prawda Mistrzu?

Lukrecjusz poczuł się urażony.

– Nie odpowiadam za czyjeś halucynacje. Widzi się czasem dzikie zwierzęta tam, gdzie ich nie ma, bo umysł jest nieustannie atakowany przez obrazy; a jeżeli ktoś się boi, bo mu się na przykład w nocy popsuł rydwan, i myśli o dzikich bestiach, wówczas umysł wybiera spośród tych obrazów...

– Oczywiście, oczywiście – powiedział Jim. – Nie będziemy myśleć o lwach, prawda? Nikt z nas! Będziemy myśleć tylko o rzeczach przyjemnych, jak kwiaty i poezja. Pójdziemy nad staw, karmić gęsi. To zawsze działa kojąco. Weź trochę racuchów dla ptactwa – zwrócił się do Harmony.

Jim wypchnął nas za drzwi tak gwałtownie, że nie zdążyłam wezwać z motelu Carla i Muhammeda, ale poszedł z nami Tony z minikamerą założoną pośpiesznie na jednym ramieniu i mikrofonem kierunkowym na drugim. Ingrid odłączyła już od nas i Martha kładła ją do łóżka, wyruszyliśmy więc w piątkę: ja, Tony, Lukrecjusz i Jim z córką.

Wiatr ucichł. Chmury szybko się rozpraszały. Kiedy wychodziliśmy z domu, nagle zaświeciło słońce. Pech chciał, że podniosłam wzrok... i błona słonecznego kręgu z siłą uderzyła mnie w twarz. Atomy ognia oparzyły moje gałki oczne.

– Słońce! – wrzasnęłam. – Nie patrzcie w słońce! – Trzeba było całej minuty, zanim odzyskałam wzrok i jeszcze długo oczy mnie zawodziły; rozbiegały się i łzawiły. Tony przez chwilę mi pomagał, ale go odtrąciłam. Chciałam, żeby filmował, a nie prowadził mnie jak kiedyś Antygona Edypa.

Ian WATSON

Brytyjski autor, znany już z dwóch opowiadań zamieszczonych na tych łamach („Powolne ptaki", nr 5/87, i „Zimne światło", nr 8/87), tym razem przedstawia świat współkształtowany przez poglądy naukowe. Co by było, gdyby zespół poglądów naukowych danego czasu stanowił rzeczywiste odbicie świata? Poemat Lukrecjusza był wszak popularnym wykładem ówczesnego stanu nauk przyrodniczych. Watson pokazuje co by się stało, gdyby zetknęły się dwa światopoglądy i oba były prawdziwe. Jest też w tym opowiadaniu znakomita refleksja na temat wiecznej sztuki i przemijającej nauki.

L.J.

Po drodze do stawu przechodziliśmy przez zagajnik, wilgotny i ciepły. Przesiane przez gałęzie słońce było tu całkiem przyjemne. Coś, co początkowo uznałam za gigantyczną purchawkę wyrastającą z mokrej gleby nagle pękło i wyrzuciło z siebie małe beczące koźlę. Maleństwo chwiejnie podeszło do pobliskiej narośli, z której zaczął wypływać biały sok. Rozkraczone koźlę chwyciło tę narośl pyszczkiem i chciwie ssało. Rzeczywiście, ssało mleko z piersi ziemi!

Ta narośl była widocznie sutkiem. Co znaczyło, że ta purchawka, teraz rozdarta, była... nie grzybem, lecz zakorzenionym łonem!

Ze zdumieniem przyglądaliśmy się, jak koźlę rośnie w oczach. Wkrótce pasło się radośnie na trującym ciemierniku, który wyrósł w pobliżu.

Lukrecjusz zmarszczył czoło i cmoknął.

– To dziwne. W waszym starym, rozkładającym się świecie gleba powinna rodzić samorzutnie co najwyżej robaki i drobne żyjątka. To jest coś niezwykłego.

– Nieprawdaż? – wtrącił zgryźliwie Jim.

– Jeżeli ziemia może rodzić kozy, to dlaczego nie lwy? – zauważyła Harmony. – O rety, tato, wszystko może nam wyskoczyć spod nóg. Ja się boję. – Jednak jakoś dziwnie nie wyglądała na przestraszoną, raczej na... jakby to powiedzieć... ożywioną.

Lukrecjusz potrząsnął głową.

– Nadal utrzymuję, że lew był halucynacją. Zawsze należy wybierać najrozsądniejsze wyjaśnienie każdego zjawiska. Chociaż w tym przypadku...

– A, zamknij się – warknął Jim pod nosem. Jednak właśnie wtedy (jak sobie później uświadomiłam) sprawiał wrażenie dziwnie zadowolonego.

Szliśmy dalej.

Staw otaczały trawniki. Nasza grupka wciąż jeszcze znajdowała się w cieniu, ale trawnik zalewało jaskrawe światło. Uważałam, żeby nie spojrzeć po raz drugi w pobliże słońca, ale zapamiętałam, że wydało mi się odległe zaledwie o kilka mil i wcale przy tym nie większe. Nocny deszcz parował z trawy. W tym momencie widziałam wszystko bardzo wyraźnie.

Nad staw zmierzał klucz kanadyjskich gęsi. W jednej chwili leciały sobie beztrosko, w następnej spadały jak kamienie z nieba na trawę. Pac, pac. Martwe.

Przez jedną szaloną sekundę myślałam, że to Jim uniósł swoją strzelbę i strącił te gęsi w niewiarygodnym i na dodatek bezgłośnym popisie celności. Ale nie; Jim nadal podpierał się strzelbą, jak starzec laską w zagadce Sfinksa.

– A jaka jest przyczyna tego, Mistrzu? – spytał Jim lodowato. – Lubiłem te ptaki.

Lukrecjusz podrapał się w brodę.

– Widocznie wytworzyła się próżnia. Ziemia przegniła na skutek nadmiernych deszczów, a teraz jest chłostana słońcem. W rezultacie unoszą się trujące opary, wypierając powietrze.

– Ależ tak! Że też na to nie wpadłem! Czy może być inne wyjaśnienie?

Lukrecjusz obserwował całe zdarzenie ze spokojem.

– Musimy wierzyć świadectwu naszych zmysłów interpretowanemu przez Rozum. Mam jednak pytanie.

– Pytaj.

Pac, pac, pac. Na trawę spadły trzy kaczki-krzyżówki.

– Posługując się Rozumem odkryłem przyczynę zarazy: śmiercionośne chmury atomów. Jednak różne powietrze w różnych krajach rodzi charakterystyczne choroby. I tak elefantiasis spotyka się tylko w Egipcie, podczas gdy wole jest związane z Attyką. Powiedz mi, jaka jest charakterystyczna choroba tego kraju, Ameryki?

– Głównie rak i choroby serca – zauważył Tony, który, zdawało się, był całkowicie zajęty spadającymi ptakami.

– Jezu, po co mu to mówisz? Mistrzu, przyczyną chorób nie są atomy w powietrzu. To znaczy, najczęściej...

– Może tak jest w okolicy tego lasku – Tony wskazał w górę. – Uwaga, następne ptasie kamikaze.

W tym momencie wzrok mi się zmącił, jakby moje oczy zaatakowały atomy powodujące kataraktę. Usłyszałam krzyk Harmony „Potwór!", potem strzał, a potem głuchy odgłos.

– Na Mojżesza, zabiłeś go – krzyknął Tony.

Mój wzrok wrócił do normy. Jim stał ze strzelbą przy ramieniu. Harmony zasłaniała dłońmi usta w teatralnej pozie przerażenia; racuszki się jej rozsypały. Lukrecjusz leżał na wznak i wyglądał na nieboszczyka.

– Widzieliście tego potwora? – paplała Harmony.– Ział ogniem! Tato nas uratował!

– Jak to uratował? – spytał Tony. – Kula trafiła Lukrecjusza.

– Co za straszny wypadek – mówił Jim. To okropne. Mam nadzieję, że masz to wszystko na taśmie.

– Oczywiście, że nie! Patrzyłem w tamtą stronę. Żadnego potwora nie widziałem.

– Był podobny do lwa – powiedziała Harmony. – Tylko gorszy. Ział ogniem. Teraz znikł.

– A ty co widziałaś? – zwrócił się Tony do mnie. – Potrząsnęłam głową.

Miałam bardzo poważne podejrzenie, że Jim Roseberry zabił Tytusa Lukrecjusza Karusa z premedytacją. Z zawiści, że tak zaćmił jego, Jima Roseberry'ego.

Zapewne uważał też, że dokonał zabójstwa doskonałego. No bo jak można być oskarżonym o morderstwo, jeżeli ofiara zmarła przed dwoma tysiącami lat.

Potem nastąpiło zamieszanie. Pośpieszyliśmy do domu, gdzie Jim przez dłuższą chwilę okupował telefon. Gdy tylko stało się to możliwe, wezwał z motelu Carla i Muhammeda; w chwilę później rycząc i błyskając przyjechał buick z kapitanem i porucznikiem policji, wyprzedzając o pierś mikrobus telewizji.

Jim widocznie zdążył już gdzieś zadzwonić, zanim zawiadomił o wypadku policję, bo dwaj oficerowie byli pełni szacunku i zrozumienia, i co więcej, jeszcze w drodze nad staw stwierdzali, że sprawa wykracza poza ich kompetencje.

Jim kiwał zatroskany głową i mówił, że ze względów czysto naukowych ciało musi być jak najszybciej dostarczone do Instytutu i poddane dematerializacji, chociaż jako obywatel uważał za swój obowiązek, i tak dalej.

Kiedy doszliśmy nad staw, stali tam już z noszami ludzie z Instytutu. Zadawszy kilka rutynowych pytań kapitan i porucznik dali znak, że można ciało zabrać i odeszli.

Martwy Lukrecjusz odszedł również. Wrócił do swojego czasu, gdzie już i tak był bliski śmierci. Przez co w starożytności nikt nie zauważy żadnej różnicy; może prócz tego, że teraz Lukrecjusz będzie miał dziurę w piersi. Jeżeli rzeczywiście doprowadzony do utraty zmysłów afrodyzjakiem zasztyletował się na śmierć, mogło to nie budzić zdziwienia. A może to morderstwo, popełnione w naszym czasie, stało się przyczyną wersji o samo-



Patric Woodroffe

trafił znaleźć sztyletu, którego przecież nie było...

Dobra robota, Jim!

Tyle, że na nic się to nie przydało.

Ja to pierwsza zauważyłam, kiedy w ślad za ciałem zmierzaliśmy do Instytutu i twarz Jima odkleiła się i kilkakrotnie popłynęła w moją stronę.

– Hej! – krzyknął Carl, patrząc ze strachem na moją twarz.

Trąciłam Jima w ramię.

– Czy coś zauważyłeś?

– Chcesz powiedzieć, że efekt się utrzymuje. Hmm, myślałem, że to zaniknie po jego śmierci...

– Naprawdę?

Zaczerwienił się.

– Widocznie zaniknie dopiero, kiedy pozbędziemy się ciała. A ty uważaj, co mówisz.

– Nie martw się o mnie.

I tak odprowadziliśmy Lukrecjusza o sześć dni wcześniej niż przewidywaliśmy. Odszedł z sali wskrzeszeń przy akompaniamencie wyładowań elektrycznych i małego uderzenia dźwiękowego. A z naszego programu wyszły nici, pomyślałam.

Ale w drodze powrotnej do domu Roseberry'ego wydało mi się, że słyszę daleki ryk lwa.

– To tylko grzmot – powiedział Jim uspokajająco i spojrzał w niebo.

Stanął jak wryty, zbladł. Bo z najbliższej chmury patrzyła znajoma twarz. Usta Lukrecjusza w chmurze otwarły się i bluznęła z nich krew czerwona jak zachód słońca.

A więc jednak efekt nie ustąpił. Utrzymywał się. I chyba wiedziałam dlaczego. To dlatego, że Lukrecjusz umarł tutaj, w teraźniejszości. Jego duch przepoił już okolicę w sposób aż nadto oczywisty, dzięki efektowi Roseberry'ego wynikającemu z naruszenia czasoprzestrzeni. Ponieważ zginął tutaj, wniesione przez niego zmiany zostały tu utrwalone. To, co Jim odesłał w starożytność było tylko kawałem mięsa.

Teren Instytutu był teraz nawiedzony. Meteorologicznie, optycznie, psychologicznie nawiedzony.

Rozpętywały się burze. Drzewa stawały w płomieniach. Ptaki spadały z nieba. W powietrzu unosiły się zwidy. W chmurach pojawiały się twarze. Ludzi ogarniał szał miłosny.

Jedno było pewne: sława Lukrecjusza przetrwała w nowoczesnym świecie. Dzięki Jimowi. Kilka mil kwadratowych miało niewątpliwie charakter lukrecjański.

Jak na ironię sam Lukrecjusz wyśmiewał się z wiary w życie pozagrobowe. Co stwierdziłam, kiedy przeczytałam po tym wszystkim „O naturze wszechrzeczy".

Odkryłam również, że nasz Rzymianin nigdy nie wierzył w ziejące ogniem potwory. „Skoro ogień spala wszystkie znane zwierzęta, nawet lwy – argumentował wielce rozsądnie – to żadne zwierzę nie może ziać ogniem". W tym miejscu Harmony przesadziła. Co tylko dowodzi, że spiskowała ze swoim tatusiem. Byli niewątpliwie zachwyceni widząc tę kózkę rodzącą się z łona purchawki.

W jednym miejscu Strefa Lukrecjusza wykraczała nieco poza teren Instytutu, obejmując odcinek autostrady stanowej. Ponieważ nie można bezpiecznie prowadzić, kiedy obrazy biją człowieka po oczach, autostrada stała się praktycznie nie do użytku. Część terenów prywatnych również została objęta czarami. Jim znalazł się więc w tarapatach.

powiedziałam, nie można zamordować nieboszczyka, wkrótce jednak musiały go dopaść pozwy sąsiadów, których nieruchomości straciły na wartości. Nie wspominając o zarządzie dróg, zmuszonym do budowy wielce kosztownego objazdu.

Ci pracownicy Instytutu, którzy nie uciekli, zajmowali się badaniem nowego efektu Roseberry'ego, czyli rzeczywistości chaotycznej. Dość szybko przekonali się, że nawiedzenie blokuje stary efekt Roseberry'ego, co zatem idzie, w Instytucie nie mogło być dalszych wskrzeszeń.

Pewnego ranka Jim zadzwonił do mnie do telewizji. Wydawał się przygnębiony.

– Przyszło mi do głowy – powiedział – że moglibyście nakręcić tutaj, w Strefie Roseberry'ego, pierwszorzędny horror. (Oczywiście, nie używał nazwy Strefa Lukrecjusza). Mamy tutaj przecież autentyczne fenomeny.

– Myślisz, że ktoś chciałby grać w Strefie, gdzie można zarazić się plagą albo zostać zwęglonym piorunami?

– To zróbcie tutaj zdjęcia plenerowe i zbudujcie scenariusz wokół tutejszych zjawisk, a potem znajdźcie podobne, ale bezpieczne miejsce dla aktorów. – Jego ton był niemal błagalny.

– Czy mi się zdaje, czy słyszę pobrzękiwanie niemal pustej skarbonki?

– Posłuchaj, to wywoła znacznie większe zainteresowanie niż wykłady laureatów. Albo nawet kazanie Jezusa na żywo czy pokazanie, jak idzie do łazienki.

– Ale teraz nie możemy już zrobić programu z Jezusem. I wcale nie żałuję. Prawdę mówiąc, sama rozkręciłabym kampanię, żeby do tego nie dopuścić. Nie, Jim. Ale pozwól, że dam ci z dobrego serca pewną radę. Uciekaj stamtąd jak najszybciej.

– Co?

– Zwiewaj, póki czas. Wiem, że zamordowałeś Lukrecjusza i jego Strefa też o tym wie. Ona tylko gra na zwłokę.

To prawda. Prędzej czy później Strefa zgotuje Jimowi jakiś paskudny koniec. Gorszy niż wszystkie procesy sądowe. Może coś podobnego, co spotkało Ateńczyków: odrażające wrzody i złośliwe krwotoki złej krwi spływającej do genitalii, przez co jedni mężczyźni mogli ratować życie tylko za cenę samokastracji, podczas gdy inni całkowicie zapominali kim są. Jak opisuje Lukrecjusz w makabrycznym i psychotycznym finale poematu „O naturze wszechrzeczy".

– Chyba zwariowałaś – powiedział Jim.

Nie, to ty znalazłeś się wśród urzeczywistnionych produktów jego zwariowanego umysłu.

Oczywiście Jim nie chciał słuchać. Był przecież kustoszem tajemniczego zjawiska natury.

W zasadzie biedny stary Lukrecjusz pragnął w życiu jedynie ciszy i spokoju. Już samo wskrzeszenie go było czymś dość niemiłosiernym. Ale wskrzesić go, a potem zamordować, to było już szczególne okrucieństwo. Nic dziwnego, że Lukrecjusz umierał w ataku wściekłości: był wściekły na Jima.

W tydzień później żmija ukąsiła Harmony, która jednak przeżyła: na intensywnej terapii, z dala od Strefy.

W dwa tygodnie potem dom Roseberry'ego spłonął od pioruna. Jim przeniósł się do Instytutu.

Nie dalej jak wczoraj dowiedziałam się, że Jim zapadł na nieznaną chorobę. Lukrecjańska zaraza nie jest czymś przyjemnym. Ale nie można powiedzieć, że go nie ostrzegałam.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

Przysięgam Apollinowi – lekarzowi, i Asklepiosowi, i Hygei, i Panakei oraz wszystkim bogom i boginiom i wzywam ich na świadków, że dotrzymam przysięgi i będę spełniał moje obowiązki z wykorzystaniem wszelkich umiejętności i doświadczeń. Wszelkie moje poczynania podporządkuję dobru i pomyślności chorego, będę go bronić przed każdą krzywdą i szkodą. Wstępując do jakiegokolwiek domu będę działał dla dobra i szczęścia chorego, wystrzegał się każdej nieprawości i błędu, a zwłaszcza okaleczenia ciała mężczyzny czy kobiety, człowieka wolnego czy niewolnika.

(Z tekstu lekarskiej przysięgi Hipokratesa).

Ludvík Souček

PRZYSIĘGA HIPOKRATESA

(Hippokratův slib)

Witam pana i życzę bardzo, bardzo przyjemnego dnia, panie doktorze – zaszczebiotał głęboki i uspokajający kobiecy alt. – Jestem przekonana, że spał pan doskonale. Mam dla pana dobre wiadomości: dziś będzie wspaniały dzień, żadnej ulewy, a jeśli chodzi o smog...

Dr Contest z westchnieniem przewrócił się na łóżku i nacisnął guzik powstrzymując falę optymizmu z taśmy magnetofonowej. Dla BB (Budzika Bella) każdy nadchodzący dzień był wspaniały, choćby nawet miał nastąpić potop, a każdej nocy pod skrzydłami BB towarzyszyły, jak wiadomo – najkoszmarniejsze sny.

Więc dzisiaj znów skończył się kolejny urlop.

– Naprawdę nad jeziorami było wspaniale – powiedziała Joan, niemal czytając w jego myślach. Czasem miał wrażenie, że naprawdę potrafi zgadywać myśli. Zresztą pewnie nie było to takie trudne, bo nie miał nigdy jakichś szczególnych pomysłów czy pragnień.

– Wspaniale – przytaknął i pocałował ją w ramię. – Dzień dobry, Joan.

– Dzień dobry, Paul. Mam nadzieję, że dziś będzie lepiej z mlekiem i bułkami.

Podreptała boso do windy zaopatrzeniowej. Tak, bułki i mleko już były. Roznosiciel tym razem nie miał żadnych kłopotów. I bardzo dobrze, bo Paul nie miał ochoty zaczynać pierwszego dnia nowej pracy od sucharków i kawy ze skondensowanym mlekiem.

– W nocy była strzelanina – powiedziała znad kuchenki elektrycznej. – Nie obudziłeś się?

– Nie – skłamał. – Wiesz, to na pewno jakieś szczeniaki z korkowcami. Hałas jest nieodłącznym atrybutem wieku dojrzewania.

Ale ten krzyk, przechodzący w rzężenie... nie... Kiedy go usłyszał – który to już raz z rzędu? – wpadł na zwariowany pomysł, żeby zejść na dół. Na szczęście w końcu tego nie zrobił. Nawet z przysięgą Hipokratesa nie należy przesadzać. Zresztą wkrótce był już na miejscu pancerny samochód milicji. Podobno pełnią w nim dyżury nawet jego koledzy, aby w razie potrzeby natychmiast byli pod ręką.

Skończył śniadanie.

– No, to cześć, Joan. – Tak było lepiej, a właściwie było to jedyne wyjście.

– Cześć, Paul. Znowu za miesiąc, prawda? Będę za tobą tęskniła.

– Mam nadzieję – skrzywił się w uśmiechu. – I uważaj na siebie, mała!

– O, o, o, oczywiście, może pan być spokojny, panie doktorze!

Pocałował ją w usta, w rękę i w małe, różowe i trochę jeszcze poodciskane od snu ucho. Mechanicznie sięgnął rękami do kieszeni. Okulary, portfel, zapalniczka... Wszystko było na swoim miejscu. Wspaniały dzień.

O tej porze ulica była jeszcze pusta, ale ślady strzelaniny zdążyły już zniknąć. Automatyczne polewaczki wszystko już widocznie sprzątnęły. Doktor wsunął do ust i dziurek od nosa tampony antysmogowe i rześko ruszył do przystanku kolejki, odległego na szczęście tylko o kilkadziesiąt metrów.

– Już do pacjenta, panie doktorze? – krzyknął sąsiad, właściciel sklepu warzywnego.

Właśnie małą ciężarówką przywiózł z targu dostawę świeżego towaru. Było to dość ryzykowne, ale opłacalne. – Zawsze trzymam za was kciuki – uśmiechnął się i z plastykową skrzynką pełną marchwi zniknął pod uchyloną roletą pancerną.

Dr Contest przez chwilę zastanawiał się, za kogo właściwie sklepikarz trzyma kciuki: za lekarzy czy pacjentów? Tak czy inaczej było to zupełnie zbędne.

Przystanek kolejki pachniał wodą i płynem dezynfekcyjnym. Contest usiadł w rogu pustego przedziału. Jeździł tędy tylko raz na miesiąc, więc nawet nie wiedział, czy te poranne kolejki też mają swoich stałych pasażerów. Byłoby ciekawe ich poznać.

Wagon miał oczywiście klimatyzację, więc doktor mógł wyjąć tampony. Nawet przez tych kilka kroków filtr zdążył już zszarzeć, ale o tej porze roku było to naturalne. Wcisnął się w kąt; wprawdzie od zeszłego roku w spe-

cjalnie niebezpiecznych miejscach tory chronione były przez stalowe ściany, wypadków zdarzało się znacznie mniej, a ilość zranień przy użyciu broni palnej była właściwie minimalna, ale diabeł nigdy nie śpi. Przy prędkości dwustu kilometrów na godzinę nawet zwykły kamień może człowieka nieźle poharatać, tym bardziej że w oknach nie ma kuloodpornych szyb. Towarzystwo kolejowe tłumaczyło to na plakatach, które wisiały w każdym przedziale. Agresja jest, jak wiadomo, czymś powszechnym i nie dającym się opanować, więc lepiej, gdy wyładowuje się ona w rzucaniu kamieni niż w podkładaniu bomb; zresztą w cenę biletu wliczone są również koszta pełnego ubezpieczenia.

Miasto skrycie, powoli budziło się do życia – fantastyczny, nieludzki ul. Kolejka chwilami chowała się pod ziemią, by potem znów wystrzelić z tunelu na mosty i nadziemne części trasy w nieregularnym rytmie zmian świateł i ciemności, podkreślanej miękkimi lampami luminafoków. W którymś momencie przy wyjeździe z tunelu dr Contest dostrzegł bladego, chorobliwie wyglądającego młodzieńca, próbującego bez specjalnej emocji zwalić na tory jakąś kłodę czy belkę. Pociąg tylko przemknął koło niego i jedynie na siatkówce oka doktora jeszcze przez chwilę istniało utrwalone, choć powoli blednące odbicie, niczym zdjęcie wykonane przy pomocy flesza. Kolejki już od dawna wyposażone były w urządzenia, spełniające te same funkcje, co niesamowite i malownicze lemiesze przed lokomotywami słynnej Union Pacific, usuwające z drogi żywe i martwe bizony.

Gdzieś w pobliżu, zapewne w sąsiednim wagonie, rozsypało się okno. W chwilę później na korytarzu pojawiło się dwóch wesołych monterów z nową taflą szkła. W ciągu minuty znów wszystko będzie w porządku. Kolejka to był pod każdym względem najprzyjemniejszy środek komunikacji.

Doktor wysiadł na ostatnim przystanku, a kryty, ruchomy chodnik dowiózł go do holu dworca. Był jedynym podróżnym.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – odezwał się głos niemal identyczny z głosem synogarlicy z Budzika Bella, szkolony na fonokursach; specjalny głos kobiet-pracownic przeznaczony dla mężczyzn-klientów. Głos należał do blondynki z boksu informacyjnego. Bardzo ładna dziewczyna, pomyślał dr Contest, choć kuloodporna szyba trochę deformowała jej twarz.

– Nie... a właściwie tak. Proszę wezwać mój wóz, z Trzynastego Garażu! Niech ktoś go tu przyprowadzi. Jestem doktor Contest.

– To bardzo rozsądne, panie doktorze – dziewczyna z macierzyńską troską pochwaliła jego zamiar. – Oczywiście zaraz to załatwię.

Oczywiście zaraz to załatwiła. Po kilku minutach przed dworcem zatrzymał się niebieski oldmobil Contesta z wielkimi, rzucającymi się w oczy emblematami Eskulapa na masce, dachu i drzwiach. Czasem się to opłacało, choć nie zawsze.

– Bardzo przepraszam, szefie – odezwał się stary Murzyn, gdy Contest usadowił się za kierownicą. – Nie podrzuciłby mnie pan z powrotem do firmy? To tylko kawałek, za rogiem. Pan się nie gniewa, szefie.

Nie spieszył się za bardzo – w porównaniu z nie kończącym się miesiącem tych kilka sekund nie miało żadnego znaczenia. A ulice były jeszcze zupełnie puste. Wszyscy dopiero jedli śniadanie i szykowali się do jednoczesnego wyjścia.

Dopiero wtedy chodniki błyskawicznie zaroją się, jak gniazda termitów.

– Bardzo dziękuję, szefie – Murzyn ukłonił się tak, jak zapewne czynili to jego przodkowie znad Missisipi. – Wiedziałem, że pan doktor będzie równy gość.

Dr Contest uśmiechnął się do niego przyjaźnie. Był z siebie dumny, że pozbawiony jest wszelkich rasistowskich uprzedzeń. Zresztą dla lekarza coś takiego jak podziały rasowe nie powinno nigdy istnieć. Przysięga Hipokratesa zabrania rozróżniać nie tylko białych, czarnych, żółtych i wszystkich innych, ale nawet przyjaciół i nieprzyjaciół. A przecież ten czarny dziadek nie jest i nigdy nie będzie nieprzyjacielem. To [illegible].

Odczuł potrzebę mówienia, całkiem naturalną pośród tej trzydziestomilowej, milczącej pustyni.

– Słyszał pan kiedyś o Boonie? Danielu Boonie? – spytał Murzyna.

– Jasne, szefie – przytaknął staruch.

– Mając dwadzieścia dwa lata przeniósł się kilkaset mil dalej od cywilizacji, na pustkowie, bo miał wrażenie, że poprzednie miejsce jest już przeludnione. Rozumie pan? A wtedy było tam najwyżej parę osób na milę kwadratową.

Murzyn popatrzył na niego podejrzliwie i zrozumiał, że powinien się roześmiać, co też zrobił, ale niezbyt przekonywająco.

– Tak, ale to chyba musi być inny Boone. Ja myślałem o tym refreniście z Blue Tigers, szefie.

Contest postanowił nie dać sobie popsuć humoru. Za żadną cenę.

Na autostradzie włączył automatycznego kierowcę – kable ułożone pod powierzchnią szosy uchwyciły samochód w pole siłowe, a przednie i tylne radary samoczynnie utrzymywały bezpieczną odległość od kilku zmotoryzowanych rannych ptaszków, które wyjechały już z Miasta. Mógł teraz bezpiecznie pogrążyć się we wspomnieniach. Myślał o Joan, o różowym i trochę odciśniętym od snu uchu, podobnym do delikatnej muszli morskiej, o wspaniałym miesiącu spędzonym nad jeziorami. Jego praca całkiem mu odpowiadała. W ten sposób przynajmniej z Joan nie nudzą się sobą nawzajem. A przynajmniej tak długo, dopóki tego nie rzuci i nie zajmie się normalną praktyką lekarską. Contest oczywiście nie wyrzekł się marzeń o tym, aby bezinteresownie pomagać ludziom, stać się szanowanym obywatelem jakiegoś miasteczka, któremu wszyscy się kłaniają, czy nawet asystować przy urodzinach nowych obywateli. Być może kiedyś wybiorą sobie z Joan takie miejsce, gdzie mogliby wspólnie osiąść, ale na razie nie było o tym mowy.

Zatopiony w myślach o mało co nie przejechał nie oznakowanej bocznej drogi, znikającej wśród zakurzonych pagórków. Po kilkuset metrach kończyła się ona masywną, stalową bramą, którą z obydwu stron otaczał gęsty, zwieńczony drutem kolczastym płot. Doktor wysiadł i wsunął rękę do małej skrzynki, umieszczonej na słupku. Analizatory chemiczne w mgnieniu oka ustaliły kod aminokwasów jego potu i przekazały je gdzieś dalej, gdzie porównano go z kodami osób uprawnionych do wejścia na teren obiektu. Brama bezgłośnie się otworzyła. Ta sama procedura powtarzała się jeszcze kilka razy – w czasie dwóch kontroli w skrzynce odsunęła się metalowa klapka, kryjąca oko kamery. Strumień tęczowo opalizującej i wydającej ostry zapach cieczy, wyrzucony przez niewidoczne otwory, spryskał szyby samochodu.

W niskiej dolinie wśród pagórków stało kilka domów z blachy falistej, a w pobliżu nich widać było stację meteorologiczną ze zdewastowanymi, zepsutymi urządzeniami, których nikt nie używał i nie miał zamiaru używać. Koło domków, przy kilku samochodach osobowych i czarnym transporterze opancerzonym z groźnie sterczącym dwulufowym działkiem szybkostrzelnym, kręciło się ośmiu, dziesięciu mężczyzn w kombinezonach i białych fartuchach. Czterej żandarmi, których motocykle stały w cieniu transportera, w swoich długich, białych rękawicach, białych hełmach i z białymi pasami kabur pistoletów, wyglądali w tym surowym, skromnym otoczeniu jak czterej gotyccy rycerze, którzy w końcu zdecydowali się na odwiedziny w swych lennach.

– Sie masz, doktor! – przywitał go jeden z mężczyzn w białym fartuchu, gdy tylko samochód stanął i doktor postawił nogę na zdeptanej, żółtej trawie. – Jak tam Joan? Widzę, że najwyższy czas, żebyś trochę odpoczął.

Contest zrobił przyjazny grymas. Chłopaki z Centrum nie grzeszyli zbytnią oryginalnością, ale byłoby dziwne, gdyby było inaczej.

– Wszystko gotowe, Bill?

– Jasne, Paul, wszystko w najlepszym porządku. Materiał już na dole, jak zwykle. Dwanaście sztuk. Ale zupkę musisz tym razem odebrać osobiście. Strasznie się z tym cackają.

– Coś specjalnego? – Contest zwrócił się do małego, śniadego mężczyzny, opierającego się o jedno z wielkich kół transportera. Tylko wyblakłe i zakurzone złote dystynkcje na kieszonce kombinezonu zdradzały wyższego oficera. Wydawało się, że nie dosłyszał pytania; bez pośpiechu dopalił papierosa, pieczołowicie wdeptał go w trawę i dopiero wtedy odpowiedział:

– Nic. Superspecjalnego! Szefowie już się nie mogą doczekać, co pan im za miesiąc dostarczy, Contest.

Doktor wzruszył ramionami. To samo, co zawsze. Protokoły, fotografie, schematy, wykresy, kilka bloków tkanki do badań mikroskopowych, materiał bakteriologiczny. Ocena materiału już do niego nie należy. Dzięki Bogu.

– Major ma humor numer siedemnaście – mruknął ścichapęk Bill – to znaczy najgorszy, jaki można sobie wyobrazić. Wlekli się tutaj z Dugway przez sześć godzin. Najwyżej trzydzieści mil na godzinę, żeby przypadkiem tego nie rozbić. Z przodu żandarmi, z tyłu żandarmi, a na górze helikopter. Jakby wieźli prezydenta albo nawet jakąś gwiazdę filmową.

Major milczał. Wyciągnął następnego papierosa z pomiętej paczki i zapalił.

– Przywieźli też jakieś antidotum. Może, powtarzam: może do czegoś się nadaje. Jeśli chcesz, możesz je sobie zostawić.

– Po co? – Contest wzruszył ramionami – przecież wiesz tak samo jak ja, że...

Bill przytaknął.

– Jasne, że wiem. No to niech to wezmą z powrotem. Podobno jest na razie tylko jedna porcja. Teraz na pewno do Dugway pobiją wszelkie rekordy, żeby sobie trochę poprawić humor. Mam rację majorze? Jasne, że mam.

– Proszę, doktorze – śniady major wręczył mu zapieczętowaną paczuszkę, niewiele większą od pudełka cygar. – Niech to panu nie ucieknie. Diabli wiedzą, co by się stało.

– Nie tylko diabli. Ja też wiem – odparł Contest. – Albo przynajmniej potrafię to sobie trochę wyobrazić.

– Nie wiadomo – major obrzucił go szybkim spojrzeniem. – Zresztą sam pan zobaczy. No, proszę już iść, doktorze! Chcielibyśmy już wracać.

Contest skinął głową, włożył pakiet do teczki i kiwnął do zebranych mężczyzn. Niektórzy odpowiedzieli mu unosząc kciuk, inni uśmiechem. Tylko na twarzach żandarmów nie drgnął żaden mięsień.

– Aha, przy okazji... – doktor odwrócił się jeszcze z udawaną obojętnością. – Już dawno chciałem pana spytać... Ja wiem, że to głupie pytanie, ale właściwie po co to wszystko robimy? Przecież konwencja w sprawie broni chemicznych i biologicznych...

Wzrok majora zrobił się raptem lodowaty, a mięśnie szczęk napięły się, jakby coś przeżuwał.

– To nie ma nic wspólnego z bronią, ale z obroną przed epidemiami. Powierzono to nam, bo mamy u nas mniejszy burdel niż cywile. Jasne?

Contest zrozumiał, że był to bardzo nierozważny i w dodatku chybiony strzał.

– Jasne. Ja tylko tak...

Wszedł do najbliższego, nędznego domku z blachy falistej. W rzeczywistości krył on w sobie żelbetowy bunkier, nadziemną część schronu, zdolnego przetrwać nawet atak jądrowy, o ile oczywiście bomba nie spadłaby wprost na niego. Automatyzację ograniczono tu do niezbędnego minimum – człowiek był jednak pewniejszy. Zstępował na dół kręconymi schodami otwierając i zamykając za sobą stalowe przegrody, które po kilku minutach zostaną spryskane skutecznym środkiem bakteriobójczym. Osiemdziesiąt schodów. Drzwi. Sto schodów. Drzwi. Sto dwadzieścia schodów. Wreszcie dotarł do laboratorium, systemu podziemnych pomieszczeń, zapewniających wprawdzie skromne, ale całkiem przyjemne warunki do spędzenia tu całego miesiąca (okres ten w żadnym wypadku nie mógł być skrócony) oraz wszystko, co potrzeba do przeprowadzenia badań. Był tu właściwie w domu.

Przeszedł przez korytarzyk. Zza tafli pancernego szkła wpatrywało się w niego z ciekawością dwanaście umieszczonych w klatce szympansów. Zauważył dwa potężne samce ostrzegawczo szczerzące kły i młodą samicę z szympansiątkiem, kurczowo uczepionym sierści na matczynej piersi. A więc próba ma być jak najwszechstronniejsza, pomyślał. Jego zwierzchnikom widać bardzo na tym zależy. No cóż, on zrobi wszystko, co w jego mocy, to oczywiste.

Wyjął ze skrytki w ścianie telefon i nacisnął guzik.

– Halo, Bill? Jasne, wszystko w absolutnym porządku... Tak, odezwę się jutro o zwykłej porze. Teraz będę miał trochę roboty... No, jasne... Nie, z całą pewnością...

Takie ostrzeżenia i pouczenia były zupełnie zbędne. Centrala z Dugway zrobiła po prostu wszystko, aby zapobiec wszelkim niespodziankom. Chyba, żeby facet w laboratorium stał się nagle niebezpiecznym szaleńcem. Ale może i o tym pomyślano. Kto wie?

Contest chciał już skończyć rozmowę i wcale tego nie ukrywał.

– Co takiego, Złota Śmierć? A od kiedy to mamy w Dugway poetów? No, jasne... YX 106 brzmi zdecydowanie... Oczywiście. Cześć!

Małpy obserwowały go z uwagą i zatroskaniem. Samica karmiła młode piersią.

– No co, dzieci? – Contest przyjaźnie zwrócił się do szympansów, choć te nie mogły go słyszeć. – Już się zabieram do roboty.

Przebrał się w dres, tenisówki i stary, sprany fartuch laboratoryjny. Dopiero teraz było mu wygodnie. Potem wyjął z teczki zapieczętowany pakiecik i ostrożnie, delikatnie wsunął go do niklowej skrzynki opatrzonej ciężkim, przykręcanym zamkiem. Automatyczne ramię natychmiast przeniosło paczkę do pustej klatki, umieszczonej pomiędzy pozostałymi. Obydwa stare samce przyglądały się temu podejrzliwie, czekając, co będzie dalej i czy będzie to dobre dla ich stada.

Pakunek leżał teraz na podłodze metalowej klatki. Contest przez chwilę gimnastykował swoje długie, szczupłe i wypielegnowane palce jak pianista przed szczególnie trudnym koncertem, a potem usiadł w głębokim fotelu na wprost oszklonej ściany. Nacisnął guziczek na jednym z pulpitów. Gdzieś spod sufitu trysnęły nagle snopy oślepiającego światła i zalały pustą klatkę. Doktor wsunął obie ręce do otworków biomanipulatora tak głęboko, że aż wokół łokci zacisnęły mu się gumowe mankiety. Do skóry nadgarstka, dłoni i palców przylgnęły dziesiątki tysięcy czujników rejestrujących wszelkie drgnienia nerwów, wzmacniających je i przenoszących do plastykowo-stalowych rąk, zwieszających się jak pazury baśniowego straszydła z sufitu klatki. Stalowe łapy poruszyły się, ożyły. Palce rozwarły się kilkakrotnie. Małpy uciekły i powciskały się w kąty. Otwarte paszcze świadczyły o tym, że krzyczą ze strachu, ale mocna, gruba szyba nie przepuszczała żadnego dźwięku.

Sztuczne ręce, kierowane wprawnymi i delikatnymi ruchami Contesta, ostrożnie przełamały pieczęć, rozpakowały pudełko i podniosły wieko. W środku, w niewielkich przegródkach znajdowały się szklane ampułki z bezbarwną cieczą. Doktor przyjrzał się im z zainteresowaniem. Nie miały ani śladu złotego połysku. Roztwór był całkowicie przezroczysty, znacznie bardziej od dotychczasowych. No, zobaczymy...

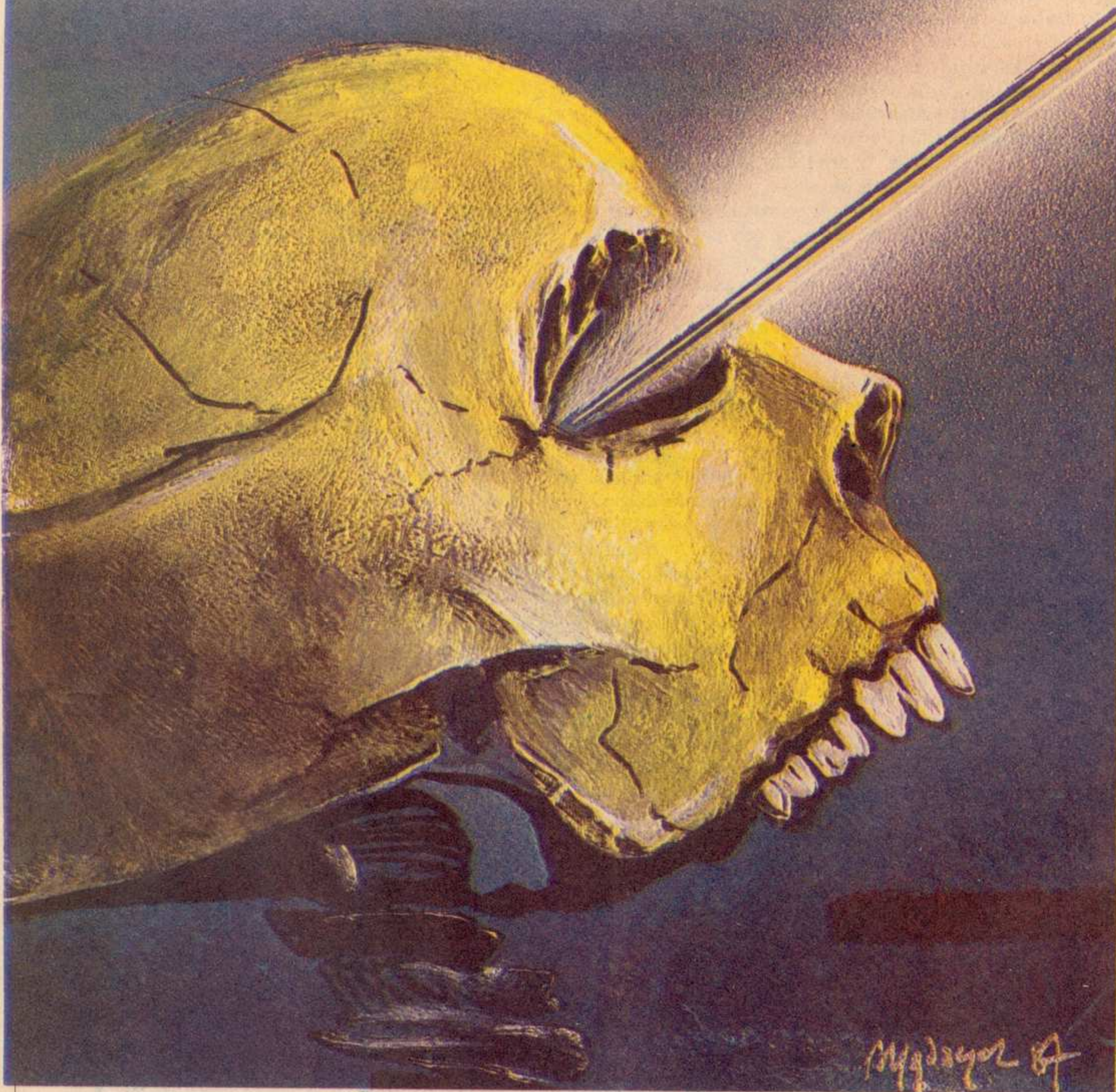
Czułymi palcami biomanipulatora wyjął ostrożnie jedną z ampułek i położył ją na podręcznym stoliczku. Potem zamknął kasetę, zapakował ją – raczej po to, żeby cieszyć się z własnej zręczności niż dlatego, aby to rzeczywiście było konieczne – i wsunął z powrotem do urządzenia transportującego, gdzie pozostanie aż do otrzy-

Ludvík SOUČEK

Autor uznany za najpopularniejszego pisarza SF w Czechosłowacji. Zmarł w roku 1978 w wieku lat zaledwie 52. Z wykształcenia lekarz, w ostatnich latach życia poświęcił się wyłącznie pracy pisarskiej. Jest autorem licznych powieści, z których trzy – o wyprawie w głąb Ziemi śladami bohaterów Verne'a – ukazały się w „Iskrach".

W późnych opowiadaniach Souček zaprezentował się od nieco innej strony niż w czysto rozrywkowych powieściach, stając się jakby prekursorem nowej czeskiej fantastyki, którą kilkakrotnie mieliśmy okazję przedstawiać.

L.J.



Michał Jędrczak

mania dalszych poleceń. Jedna ampułka z pewnością wystarczy. Pilniczek już był przygotowany i miniaturowa, szklana łza odłamała się. Contest szybko włożył otwartą ampułkę do otworu rozpylacza, też stojącego na podręcznym stoliczku. Wieczko automatycznie się zatrzasnęło. W ten sposób właściwie wszystko było gotowe. Wystarczyło tylko nacisnąć czerwony punkcik na bocznej ściance rozpylacza: natychmiast wytrysnął ledwo widoczny, białawy obłoczek, który w ciągu kilku sekund całkowicie się rozpłynął.

Dokonało się. Contest poczuł satysfakcję z powodu dobrze i czysto wykonanej pracy. Otworzył zasobniki z odmierzonymi porcjami pokarmu i wsypał do klatki banany, jabłka, marchew i jakieś ciasteczka, sporządzone zapewne według ścisłych wskazań weterynarzy w taki sposób, aby jak najbardziej smakowały szympansim łakomczuchom. Młoda szympansica dostała do klatki naczynie z mlekiem. Trzeba było, żeby Złota Śmierć – co za idiotyczna nazwa – krążąca teraz w milionach niewidzialnych punkcików po wszystkich klatkach, przeniknęła do organizmu różnymi drogami, a więc także przez układ pokarmowy. Tak, jakby się to działo w rzeczywistości.

Teraz już doktor Contest mógł się pogrążyć w lekturze którejś ze swych ulubionych książek, mógł spać albo rozgrywać ze sobą niekończące się partie szachów. Badania rozpoczną się dopiero za sześć godzin. Nawet gdyby usnął, urządzenie sygnalizacyjne i tak go obudzi.

Czas w podziemiach płynął nadspodziewanie szybko. O ustalonych porach wpuszczany był do klatek gaz usypiający. Nieruchome małpy, podobne do zmiętoszonej kupki szmat, podjeżdżały na transporterze do pięknych, szczupłych, baśniowych i przerażających palców biomanipulatora. Grubościenne probówki napełniały się rubinową krwią, żółtawym płynem mózgowym i bursztynowym moczem, a potem wędrowały do zamrażalników. Po chwili małpy zaczynały się budzić. Początkowo ruszały się niezdarnie, przewracały się i padały, a niektóre nawet dostawały torsji, ale strumienie wody błyskawicznie przywracały absolutną czystość.

Na razie nic się nie działo. Następnego dnia Contest nacisnął przycisk telefonu, aby zameldować Billowi i jednocześnie opowiedzieć, że z tą ich Złotą Śmiercią nie będzie chyba nic nadzwyczajnego, że bruceloza czy nosacizna z poprzedniej serii prób były zdecydowanie skuteczniejsze. Jednak rozmyślił się. Może właśnie na tym polega sens tej powolnej, niezauważalnej, a przez to jesz-

cze bardziej niebezpiecznej epidemii? Długi okres inkubacyjny z lekarskiego punktu widzenia daje sporo ciekawych możliwości – zakażeni nosiciele rozbiegliby się we wszystkie strony zanim zdołano by ich rozpoznać i odizolować. Hm... Ale w końcu to nie jego sprawa.

– Poważnie? – zdziwił się Bill. – No, zobaczymy, stary. Przecież jeszcze nie koniec. Aha, a tak na marginesie, Paul, to miałem rację. W drodze powrotnej do Dugway major grzał tak ostro, że się wykopyrtnęli. Nie, nic poważnego, tylko kilka razy przekoziołkował. Można się było tego spodziewać. No, dobra, to trzymaj się tam jakoś na dole i jutro się znów odezwij.

Trzeciego dnia telefon ogłuchł, choć Contest kilkakrotnie naciskał guzik i starym, wypróbowanym sposobem dmuchał i stukał w mikrofon. Nie było to jednak po raz pierwszy, a poza tym nic się nie działo: wszystko zostało już wcześniej przygotowane, zaś doktor wcale nie tęsknił do kontaktu ze światem. Chyba że świat oznaczał Joan, lecz w tym wypadku nie było o tym mowy.

Telefon już się nie odezwał, a małpy mimo długotrwałego pobytu pod ziemią, wielokrotnych narkoz i analiz czuły się świetnie. Tylko młode szympansiątko dziesiątego dnia zdechło, lecz Contest sądził, że był to efekt pobierania płynu mózgowo-rdzeniowego, co u takich małych istot zawsze połączone jest z ryzykiem. Usunął szympansiątko i spalił je. Samica w klatce jeszcze długo szukała dziecka, a jej otwarta paszcza była niemym symbolem rozpaczy w tym oddzielonym, niedostępnym świecie. Poza tym żadne ze zwierząt nie zdechło.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym Contest wydał ostatnie porcje jedzenia. Schowki były teraz puste. Do następnego miesiąca chłopaki z Dugway znów je muszą napełnić. Przewertował jeszcze zapiski i stwierdził, że są wystarczająco dokładne, uzupełnione systematycznie robionymi zdjęciami. Po prostu próba tym razem się nie udała i komuś za to zmyją głowę, ale jego to nie dotyczyło.

Teraz zabił małpy gazem nerwowym, który już wycofano z Dugway, bo były nowsze i skuteczniejsze środki. Contest właściwie nie potrafił sobie wyobrazić, jakie mogą istnieć jeszcze bardziej skuteczne środki: po wpuszczeniu gazu małpa chwytała się czarnymi łapami za gardło i waliła się na ziemię z wytrzeszczonymi oczami. Ta śmierć była błyskawiczna.

Przeprowadził jeszcze rutynowe sekcje zwłok, które potwierdziły jego przypuszczenia: najprawdopodobniej małpy nie zachorowały. Ale niech już się tym martwią koledzy z Dugway, dla których pobrał próbki tkanek do badań mikroskopowych. Na koniec spalił trupy w elektrycznym piecu, elegancko zasłał łóżko oraz ułożył figurki szachowe i książki. Przypomniał sobie, że następnym razem musi zabrać ze sobą nową porcję kryminałów, bo prawie mu się skończyły.

Spojrzał na zegarek – był czas. Już przy wyjściu przypomniał sobie o pudełku z pozostałymi ampułkami preparatu YX 106. Złota Śmierć, co za kretyńska nazwa. Chyba nie była groźna, zresztą urządzenie transportujące zostało już dawno wysterylizowane. Odkręcił wieczko i wsunął pakiecik do teczki.

Na schodach trochę się zadyszał. Mimo codziennych ćwiczeń, jak zwykle przez miesiąc pobytu tutaj, wyszedł trochę z formy. Otwierał jedne po drugich ciężkie, pancerne drzwi. Potężne pompy, zasilane prądem z małej elektrowni atomowej, umieszczonej w najniższych kondygnacjach całego obiektu, z matowym huczeniem odsysały płyn dezynfekcyjny i stopniowo wyłączały blokadę drzwi. Ostatni obrotowy zamek podobny był do mechanizmu zabezpieczającego włazy łodzi podwodnych. Oparł się ramieniem o drzwi i uchylił je. Po miesiącu do podziemnego korytarza wdarł się promień słońca. I jeszcze coś: potworny, słodkawy smród.

Doktor Contest wszedł do środka. Na ziemi leżało coś, co kiedyś było Billem, lecz teraz przypominało kupę spleśniałych szmat. Można byłoby sądzić, że to martwa małpa, gdyby nie resztki twarzy, posypanej jakimś złotym proszkiem. W kącie pod tarczą radaru leżał drugi, poskręcany trup.

– Nie – jęknął Contest. – Nie, nie...

Wyszedł na zewnątrz. Zakurzone pagórki z nędzną trawą i niskie chmury były wciąż takie same. Jego samochód jak zwykle stał pod wiatą. Otworzył drzwi i ruszył. Pojechał drogą wiodącą do autostrady. Wsunął dłoń do pierwszej skrzynki analizatora, lecz brama ani drgnęła. Mechanizm był martwy. Contest wdrapał się na płot nie zważając na drut kolczasty, który ranił go i szarpał ubranie. Dopiero po drugiej stronie przypomniał sobie, że zostawił teczkę z preparatem YX 106, który nigdy nie był Złotą Śmiercią. Właściwa Złota Śmierć pozostała w transporcie, którym major rozbił się wracając do Dugway. Nie zastanawiał się, w jaki sposób na to wpadł. Wiedział z całą pewnością, że tak właśnie było.

Powrót do teczki oznaczał nową kalwarię drutów.

Do autostrady doszedł w łachmanach, zakrwawiony i pokryty kurzem. Nie było tu żadnego ruchu. Pas dla automatycznych samochodów świecił pustką, tylko na skraju szosy zobaczył kilka rozbitych aut, które wzajemnie na siebie wpadły. Jeden metaliczny chrysler tornado stał tuż przy przeciwnym pasie. Wydawał się nieuszkodzony. Contest ruszył w jego stronę. Wolno, noga za nogą. Już nie miał siły biec i nie spieszył się do tego, co zobaczy. Odetchnął, gdy spostrzegł, że wielki luksusowy samochód jest pusty. Jego właściciel był jeszcze w stanie wysiąść i umrzeć o kilka kroków dalej, przy budce telefonicznej, kiedy usiłował sprowadzić pomoc. Czas, a pewnie także ptaki i robactwo, nie pozostawiły wiele z jego twarzy, lecz i tak w miejscach, gdzie była skóra, doktor dostrzegł złoty pył. Mężczyzna obsypany złotem. Eldorado.

– Nie – jęknął znów doktor. – Nie. To nie może być prawda. Nie może. Nie...

Usiadł za kierownicą i ostrożnie wyminął trupa. Zdążał w kierunku Miasta przeciskając się wśród spiętrzonych wraków samochodów, wyglądających jak koszmarne pomniki destruktywizmu.

Na przedmieściach, niedaleko miejsca, gdzie zawsze stawiał swój samochód, musiał się zatrzymać. Auta, martwe ciała i pokiereszowane ciężarówki z przyczepami całkowicie zatarasowały przejazd. Rozejrzał się bezradnie, gdy nagle przy wejściu do jednego z domów dostrzegł jakiś ruch. Krzyknął i zataczając się zaczął biec w tamtą stronę. A jednak, a jednak...

Na schodach siedział stary Murzyn i powoli kiwał głową z boku na bok. W prawo, w lewo, w prawo, jak wahadło. Był to ten sam Murzyn, który przed miesiącem przyprowadził jego samochód. A może inny. Nie miało to znaczenia. Nie miało to żadnego znaczenia.

Contest odczekał chwilę, aż mu się uspokoi serce, aż opadnie z gardła na swe właściwe miejsce.

– Mam lekarstwo – powiedział. – Jestem... Jestem lekarzem. Rozumie pan? Mam lekarstwo!

Ostatnie słowa już krzyczał, ale Murzyn tylko kiwał głową w prawo i w lewo, w prawo i w lewo. Wreszcie spojrzał na Contesta.

– Lekarstwo. Więc pan ma lekarstwo?... – sięgnął ręką za siebie, wyciągnął strzelbę i wymierzył w brzuch Contesta. – Wynoś się! Wynoś się stąd, ale już!!!

Doktor odwrócił się i jak marionetka potykając się pobiegł ulicą. Było to trudne. Wszędzie na chodnikach i na jezdniach leżały ciała, posypane niczym złotym proszkiem. Wszędzie. Po prostu wszędzie.

Przełożył **Andrzej Sławomir Jagodziński**


Patric
Woodroffe

Wojciech Maziarski

Wir

— Tak, panowie – rzekł pułkownik – sytuacja zmusza nas do podjęcia energicznych kroków. Dobrze wiecie, że położenie pogarsza się z dnia na dzień. Jeśli tak dalej pójdzie, już za rok nie będziemy w stanie zapewnić Miastu energii.

Przez uchylone okno docierał do sali szum ulicy. Popołudniowe słońce grzało jeszcze mocno, a jego ukośne promienie padały na spocone twarze kilkunastu mężczyzn. Kapitan Young przechylił się do tyłu i wyjrzał na zewnątrz. Miasto tętniło codziennym życiem – na chodnikach, między barwnymi straganami mrowiły się tłumy przechodniów, a jezdnią przelewał się strumień samochodów i konnych zaprzęgów. Na rogu ulicy dwaj policjanci żywo gestykulując spierali się z grupą półnagich dzikusów uzbrojonych w noże i włócznie. Najwyraźniej tłumaczyli przybyszom, iż wchodzenie z bronią do Miasta jest zakazane. Tamci niewiele z tego rozumieli. Uparcie podsuwali policjantom pod nos pomięte, brudne dokumenty i wskazywali na konia, na którego grzbiecie znajdowała się przeznaczona na sprzedaż żywność. Wreszcie niechętnie zawrócili w stronę bram Miasta, by zdeponować u celników swoje włócznie.

Pomiędzy samochodami dumnie błysnął okazały powóz. Zapewne z dawna oczekiwany ambasador Imperium Rzymskiego – pomyślał Young. Naprzeciwko, pod ścianą oszklonego domu siedział inwalida w mundurze armii francuskiej z czasów pierwszej wojny światowej. Z zapałem mówił coś do zgromadzonych wokół niego ludzi. Zarabiał na życie opowiadaniem kombatanckich historii. Young odwrócił się i przeniósł wzrok na zgromadzonych w sali mężczyzn.

– Zaczyna też brakować lekarstw – ciągnął pułkownik. – Warsztaty nie mogą nadążyć z reperacją zużywających się maszyn, a produkcja nowych, jak sami wiecie, jest prawie niemożliwa.

– Co się staremu stało? – szeptem zwrócił się do Younga siedzący obok oficer policji. – Zawsze wszystkich uspokajał, twierdził, że „jakoś-to-będzie"...A tu nagle taki pesymista.

– Widocznie coś złego się szykuje – Young pochylił się w stronę rozmówcy. – Zdaje się, że muzułmanie przygotowują wielką wyprawę przeciwko niewiernym...A Daladier śle z Paryża rozpaczliwe prośby o pomoc, bo mu Wikingowie pustoszą Bretanię.

– Sądzę więc, że konieczne jest szybkie podjęcie środków mogących zagwarantować naszemu Miastu bezpieczny rozwój – ciągnął szef. – Zdajecie sobie sprawę, że w obecnej sytuacji nasza egzystencja jest całkowicie uzależniona od prestiżu i sławy, jaką się cieszy nasz ośrodek. Jeśli Miasto podupadnie, to koniec handlu i wymiany dyplomatycznej. A nie muszę chyba tłumaczyć, co to oznacza. Kierownictwo podjęło więc decyzję o uruchomieniu programu rozwojowego. Rozpoczniemy go od poszukiwań rud metali i nowych źródeł energii. Jutro wyślemy zwiad lotniczy. Samolot wystartuje o świcie i przez pięć godzin będzie lecieć w kierunku północnym nieustannie filmując teren. Zainstalujemy też detektor metali. Dalsze kroki uzgodnimy po przeanalizowaniu zebranych materiałów. Kapitanie Young, pan obejmie dowództwo, dobrze?

No, oczywiście, znowu on. Dzicy atakują Miasto – kapitanie Young, niech pan to załatwi, Hunowie grożą wojną – kapitanie Young, niech pan idzie pertraktować. Niedaleko Miasta widziano dinozaura – kapitanie Young, niech pan to sprawdzi. A cóż to ja jestem?! – wściekał się w głębi ducha – chłopak na posyłki?! Superman?! A dlaczego nie ruszy tyłka ten cywilny flejtuch? Albo ten policyjny tłuścioch?...Miał już dosyć. Niewiele brakuje, a dzieciaki zaczną go prosić o autograf, pomyślał, a on też przecież chciałby pożyć trochę w spokoju. Potem na przekór własnym myślom odruchowo skinął głową.

– No to w porządku, panowie, koniec odprawy.

Kapitan Artur Young wyszedł na ulicę i rozejrzał się w poszukiwaniu ustronnego i klimatyzowanego baru. Wzrok jego padł na oszklone drzwi „Gwiazdki", za którymi majaczyły zarysy przytulnego wnętrza. Szybkim krokiem wszedł do środka i skinieniem przywołał kelnera.

– Whisky z lodem!

– Bardzo mi przykro, ale whisky już nie ma. W całym Mieście. To ostatni alkohol, jaki jeszcze można dostać – powiedział kelner pokazując butelki z rumem.

– Niech będzie – westchnął kapitan.

Kelner przyniósł kieliszek i chciał odejść, lecz Young go zatrzymał.

– A jak i to się skończy?

– Nie wiem, proszę pana...Albo zamkniemy lokal, albo...przejdziemy na alkohol produkowany przez dzikich. Tyle że nie będzie chyba na to wielu chętnych. Podobno ich kobiety żują jakieś liście czy ziarno, potem wypluwają i papka fermentuje. Wypiłby pan coś takiego?

– Bo ja wiem? Ale niech się pan nie martwi, nawiązaliśmy kontakty z Rzymem, oni robią uczciwe wino.

– Oby nam sprzedali. Rzym... – powiedział kelner z zadumą. – Tam pojechała moja żona. Trzy lata temu, na urlop. A ja zostałem tutaj. A później przyszedł Wir i sam pan wie.

Kapitan zamyślił się. Od tamtej pory minęły już trzy lata, a wciąż jeszcze nie mógł się przyzwyczaić. Był jednym z pierwszych, którzy zauważyli działanie Wiru. Jechał wtedy samochodem do przyjaciół mieszkających pod Miastem. Był wczesny świt, autostrada ledwo maja-

czyła w bladych promieniach wschodzącego słońca i nic nie zapowiadało kataklizmu. Żadne grzmoty, trzęsienia ziemi, łuny pożarów. Nic. Tylko cisza, śpiew ptaków i szum wiatru. A jednak...W miejscu, gdzie szosa się urywała przechodząc w pustynny step, wysiadł z wozu, by przetrzeć oczy. Jeszcze w to nie wierzył. Sądził, że jest po prostu bardzo śpiący i wzrok go zawodzi. Wątpliwości rozwiała dopiero pierzasta strzała z kamiennym grotem, która świsnęła mu nad głową i rozbiła przednią szybę samochodu.

Szybko dopił rum, rzucił na stół parę drobnych monet i wyszedł. Musiał się dobrze wyspać, jutro czekał go ciężki dzień. Nie pierwszy już w tym zwariowanym świecie. I chyba nie ostatni.

Samolot przelatywał nad ziemiami ludów pierwotnych. Maszyna, prowadzona pewną ręką pilota, bez przeszkód pokonywała kolejne kilometry. Przed pięcioma minutami łączność z bazą nieoczekiwanie się urwała. W uszach Younga dźwięczały jeszcze ostatnie, przerywane trzaskami słowa pułkownika: „trzymajcie się, chłopcy, wróćcie przed zmierzchem".

Trzeci członek załogi, starszy geolog, spokojnie naciskał klawisze elektronicznego aparatu i fachowym okiem spoglądał na zielonkawy ekran detektora.

– No i co? – zapytał kapitan.

– Nic. Ani śladu żelaza.

Artur wzruszył ramionami, wyłączył słuchawki i zapadł w drzemkę.

Obudził go trzask dartego metalu. Chciał się zerwać z fotela, lecz okazało się, że już to zrobił. Leciał koziołkując i obijając się o nitowane ściany samolotu. Przez ułamek sekundy widział wykrzywioną strachem twarz geologa i wirujące kontury kabiny. W następnej chwili zdążył spostrzec jakąś metalową strzynkę, która z prędkością pocisku zbliżała się do jego głowy. Później nie widział już nic.

Gdy się obudził, stwierdził, że leży na zakrwawionym ciele kolegi. Nad nim wznosił się ogon samolotu, a przez dużą wyrwę w poszyciu napływał do środka blask słońca. Poruszył się. Drżącym ruchem oparł się o ścianę kabiny pilota, która – nie wiadomo dlaczego – znajdowała się pod nim. Wstał. Umysł pracował na zwolnionych obrotach. Starał się zebrać myśli, lecz nie pozwalał na to uporczywy szum w głowie. Obmacał w półmroku ciało kolegi. Gdy dotarł do głowy, wiedział już, że niewiele mu może pomóc. Otworzył więc klapę prowadzącą do kabiny pilota, lecz nawet tam nie schodził. Spojrzał na dół i powolnym ruchem opuścił drzwi z powrotem. Później nie kontrolował już tego co robił. Przed oczyma latały mu czerwone płaty i strzępy obrazów Była wspinaczka po ścianie maszyny...otwór w podartej blasze...przeciskanie się między ostrymi kawałkami metalu...

Gdy się drugi raz obudził, był już zmierzch. Leżał na trawie pod ogonem roztrzaskanego samolotu. Z wysiłkiem wstał i obmacał swoje kości. Wyglądało na to, że wszystkie są całe. Stał na niewielkiej polance pomiędzy splątanymi drzewami, ich zielone konary tworzyły nad głową sufit przedarty jedynie w miejscu, gdzie w niebo sterczał stalowoszary ogon samolotu. Później zastanawiając się nad tym wszystkim doszedł do wniosku, że nie był całkiem przytomny. Nie przyszło mu nawet do obolałej głowy, by wydobyć z rozbitej maszyny żywność, apteczkę czy spróbować uruchomić radiostację. Ruszył przed siebie rozgarniając rękami gęste zarośla. Był na tyle oszołomiony, że gdy trafił na inną, nieco większą polanę, nie zdziwił go widok drewnianej chaty i stającej w drzwiach młodej dziewczyny, która uśmiechając się zapraszała go do środka. Sądził, że oto zaczęły się halucynacje i bez protestu poddał się woli pięknego, ciemnowłosego omamu.

– Dlaczego tak późno? – zapytał omam i Young z przerażeniem stwierdził, iż stan jego zmysłów jest gorszy niż przypuszczał.

– Czekam na ciebie już tak długo – ciągnął omam. – Chodź, przygotowałam zioła, które przywrócą ci siły.

Kapitan Artur Young jęknął. Z rezygnacją położył się na posłaniu ze zwierzęcych skór i zasnął. A ciemnowłosy omam długo jeszcze chodził po izbie, gotował w kociołku tajemnicze mikstury i szeptał coś pod nosem.

– Obudź się, powinieneś coś zjeść – usłyszał łagodne słowa. W pierwszej chwili był przekonany, że to Marta przygotowała śniadanie i jest zniecierpliwiona tym, że tak długo wyleguje się w łóżku. Lecz z Martą rozstał się w zeszłym roku i nie zostawił jej przecież klucza do mieszkania. Zdziwiony uniósł powieki, lecz zaraz je z powrotem zamknął. Policzył do trzech i podjął jeszcze jedną próbę. To samo. Tym razem jednak nie zamknął już oczu. Otworzył je jeszcze szerzej i dla lepszego wyrażenia swych uczuć opuścił szczękę. Ciemnowłosy omam stał nad nim, a w blasku wschodzącego słońca był jeszcze piękniejszy niż poprzedniego dnia. Ciało dziewczyny okrywały miękkie futra zwierząt, a długie sploty włosów spływały na ramiona i plecy.

– A która godzina? – zapytał Artur. Nie dlatego, że był tego ciekawy. Chciał po prostu usłyszeć swój głos.

– Nie wiem – roześmiała się zjawa – lecz ptaki śpiewają już od dawna.

– Ach tak – jęknął i uniósł się na posłaniu. Postanowił, że wytrzyma to do końca. Wziął z rąk omamu kubek ciepłego mleka i duszkiem wypił. Fakt, że doznawał także halucynacji smakowych był niepokojący. W chwilę po tym jak odstawił kubek przywidziała mu się także jajecznica.

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytał majak.

– A co mam mówić...? – zawiesił głos nie widząc, jak się zwrócić do ponętnej halucynacji.

– Ach, nie wiesz, jak mam na imię! – odezwała się jakby zgadując jego myśli. – Nazywaj mnie jak chcesz. Możesz mi mówić Wela. Chcesz? Podoba ci się? Wela... Wela... roześmiała się i klasnęła w dłonie.

– Wela?

– Nie podoba ci się? A jak chcesz? – posmutniała.

– Sam nie wiem...

– No to mów mi Rath... Tak zwraca się do mnie Darto.

– Rath?

– Mhm.

– Dobrze, niech będzie Rath.

– Rath... Rath... Jestem Rath! Od dzisiaj jestem Rath! – cieszyła się zjawa klaszcząc w dłonie. Nagle spoważniała.

– Długo na ciebie czekałam – powiedziała z wyrzutem. – Nie mogłam przybrać żadnego imienia, dopóki cię tu nie było. Darto mówi mi „Rath", lecz nie wiedziałam, czy ci się to spodoba. Ale teraz już na pewno jestem Rath! Jestem Rath! – podskakiwała i kręciła się w kółko jak mała dziewczynka.

– A kto to jest Darto? – spytał zgnębiony Young.

– Poznasz go jeszcze, on tu gdzieś musi być. Jeszcze go zobaczysz – zapewniała pospiesznie. – Chodź, pokażę ci okolicę – wyciągnęła do niego dłoń. – Musisz wszystko poznać, żeby sobie dawać radę, gdy mnie czasem nie będzie.

– Nie będzie?

– Nie martw się, nie będę cię zostawiała na długo. Tyle czasu na ciebie czekałam, że muszę się teraz tobą nacieszyć. Ale czasem muszę wyjść... No chodź!

Wyszli przed chatę. Polana iskrzyła się w słońcu, ponad zielonymi konarami drzew widniał błękit porannego nieba.

– Zobacz – powiedziała Rath pokazując na drzewa. – To jest mój Las... To znaczy, nasz Las. Trzymałam go dla ciebie. Chcesz go? Podoba ci się?

– A po co mi on? – niezbyt uprzejmie zapytał Artur. Dziewczyna wygięła usta w podkówkę i rozpłakała się. Artur stał bezradny.

– No nie płacz. Podoba mi się! Tylko... tylko co ja z nim zrobię?

Rath rozpogodziła się.

– Możesz z nim zrobić, co chcesz – powiedziała ocierając łzy. Jest twój.

Nagle zupełnie znieruchomiała. Zaczęła nasłuchiwać. Przyłożyła dłoń do ucha i wpatrywała się w gęstwinę. W jej oczach rozbłysły dziwne ogniki.

– Zaczekaj tu! – rzuciła. – Zaraz wrócę... – Wbiegła między splątane zarośla.

Artur oparł się o drzewo i otarł z czoła pot. Czuł się niedobrze, ręce mu drżały, chwiał się na miękkich nogach. Gorączkowo rozważał co robić dalej. Wydawało się, że omamy minęły. Wróci więc do rozbitego samolotu i spróbuje uruchomić radio. A nuż uda się nawiązać łączność z Miastem... Poza tym spodziewał się znaleźć apteczkę, broń i jakąś dodatkową odzież. Miasto jest daleko i Bóg wie, jakie niebezpieczeństwa czyhają po drodze... Rozejrzał się wokół próbując ustalić miejsce katastrofy. Powrót tam zajął mu piętnaście minut, lecz gdy dotarł na miejsce, ku swemu zdumieniu stwierdził, że maszyna zniknęła. Rozejrzał się po polance i obszedł pobliskie zarośla. Nie było wątpliwości – to właśnie to miejsce. Przeciągnął ręką po trawie i podniósł dłoń do oczu. Na palcach tłusto lśniła cienka warstwa oleju. Zgnębiony usiadł na brzegu polany. Starał się znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego wszystkiego, co wydarzyło się od wczorajszego wieczora. Jeszcze raz podniósł do oczu swą rękę i obejrzał ją ze wszystkich stron. Badanie to utwierdziło go w przekonaniu, że jest żywy, a wszystkie jego zmysły funkcjonują w sposób najzupełniej normalny. Zresztą samo uczucie niezwykłości sytuacji, jakiego doświadczał, potwierdzało fakt, że zachował zdolność racjonalnego myślenia. Skoro więc żyję i jestem normalny – myślał to znaczy, że wszystko to jest prawdą. Rath naprawdę istnieje, samolot naprawdę zniknął pozostawiając po sobie jedynie kałużę rozlanego oleju, a ja naprawdę siedzę w samym środku lasu, który – jeśli wierzyć słowom tej zdziwaczałej nimfy – należy do mnie. A jeśli Rath i jej chata istnieją naprawdę, to znaczy, że prawdziwe są też mleko i ser, które widział w izbie. Poczuł głód. Wzruszył ramionami, wstał, wrócił do chaty.

Rath czekała na progu.

– Gdzie się podziewałeś tyle czasu? Był tu Darto, chciał cię poznać, ale musiał już sobie pójść... – powiedziała z lekkim wyrzutem.

– Poszedłem obejrzeć Las – odpowiedział z uśmiechem starając się, by jego słowa brzmiały jak najnaturalniej.

– No i jak, podoba ci się?

– Jest bardzo piękny.

– No widzisz! Wiedziałam, że ci się spodoba.

– Słuchaj, Rath – powiedział z powagą – muszę z tobą porozmawiać...

– Przecież właśnie to robisz – odpowiedziała dziewczyna ze szczerym zdziwieniem.

Zachowywała się tak infantylnie, że trudno było oczekiwać, iż udzieli mu konkretnych informacji. A Young potrzebował informacji. Musiał się dowiedzieć, gdzie jest, co się stało z samolotem i przede wszystkim, jak się stąd wydostać. Przez chwilę milczał i zastanawiał się, w jaki sposób sformułować pytania. Ponieważ jednak nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, uśmiechnął się żałośnie i powiedział:

– Jestem głodny...

– Już, już – ożywiła się. Odwróciła się i wbiegła do chaty. Po chwili wróciła z powrotem trzymając w ręku ser i owoce. – Masz, jedz. To dobrze, że czujesz głód. Wracają ci siły.

– Słuchaj, Rath – zaczął znowu – czy nie wiesz, co się stało z samolotem?

– Nie mów, kiedy jesz – powiedziała, karcąco podnosząc do góry palec. Wyglądała tak komicznie, że Artur nie mógł opanować śmiechu.

– Nie śmiej się ze mnie! To bardzo nieładnie – powiedziała urażona i opuściła głowę.

– Nie śmiałem się z ciebie – odrzekł przełykając ostatni kawałek sera. – Naprawdę... Ale czy rzeczywiście nie wiesz, co się stało z samolotem?

– A co to jest?

– To... no, to jest to, czym tu przyleciałem. Jeszcze wczoraj było tam na polanie – wskazał palcem w stronę miejsca, gdzie nastąpiła katastrofa.

– Aha to paskudne żelastwo! Posłałam je z powrotem. Nie podobało mi się. Śmierdziało... – ze wstrętem zmarszczyła nos.

– Jak to „posłałaś"?!

– No... po prostu. Poszłam tam i powiedziałam tym dwóm, którzy byli w środku, żeby to zabrali i wynieśli się.

– Tym dwóm... w środku?

– No tak. Byli tam tacy dwaj, przecież ich znasz. Leżeli w środku i było mi ich nawet żal, bo bardzo ich bolało. Przyniosłam więc zioła i kiedy wydobrzeli, zabrali to swoje paskudztwo i polecieli z powrotem.

Dziewczyna nie zdawała sobie chyba sprawy z wrażenia, jakie wywierały jej słowa. Siedziała na ziemi i mrucząc pod nosem bawiła się źdźbłem trawy.

– Ale przecież... oni nie żyli! – wyjąkał wreszcie.

– No właśnie. Dlatego zrobiło mi się ich żal i przyniosłam zioła.

– Ach... – stęknął oszołomiony kapitan. – I gdzie oni teraz są?

– Skąd mam wiedzieć? Polecieli sobie... Pewnie tam skąd przylecieli. Dlaczego mnie męczysz?! – wybuchnęła nieoczekiwanie. – Czy zrobiłam coś złego?!

– Nie, nie... – odrzekł pospiesznie. – Ale, widzisz, to byli moi przyjaciele...

– Chyba że tak. Zaczekaj chwilę.

Zamknęła oczy, zacisnęła dłonie i pogrążyła się w jakimś odrętwieniu czy medytacji. Artur, nie mając zielonego pojęcia, jak się zachować, siedział bez ruchu czekając, aż wreszcie oprzytomnieje. Po minucie dziewczyna otworzyła oczy, przygładziła włosy i zdyszana jak po dużym wysiłku rzekła z przekonaniem:

– Są już w domu.

– Skąd wiesz? – wyrwało się Arturowi.

– Zapytałam ich.

Zapytała ich. Po prostu... Siedział pogrążony w rozmyślaniach i nie zauważył nawet, kiedy Rath wstała i zniknęła we wnętrzu chaty. Zdumiony kręcił głową i mamrotał pod nosem przekleństwa.

– Rath! – zawołał wreszcie.

– Taaak? – zapytała wychylając się przez drzwi.

– Aaa... czy nie mogłabyś i mnie... tam posłać?

Na twarzy dziewczyny zjawiło się przerażenie. Zbladła, szeroko otworzyła oczy, wargi jej zadrżały. Zbielałą dłonią kurczowo chwyciła się występu ściany, jakby się bała, że upadnie.

– Chcesz sobie pójść?

Artur nie mógł pojąć wzburzenia, jakie ujrzał w jej oczach.

– No... ja... a dlaczego pytasz? – wyjąkał nie wiedząc co odpowiedzieć.

Rath nadal milczała wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Wreszcie zacisnęła usta i powoli się odwróciła. Oparła się o ścianę chaty, a jej ciałem wstrząsnął płacz.

– Cholera... – mruknął Young. Nic nie rozumiał, lecz wstał, podszedł do dziewczyny, objął ją i powiedział łagodnym głosem:

– Nie, nie płacz. Nigdzie nie pójdę.

Trzy tygodnie minęły od chwili, gdy kapitan Artur Young trafił do chaty Rath. W ciągu tego niedługiego czasu zdążył się już przyzwyczaić do nowego otoczenia. Poznał wszystkich przyjaciół dziewczyny. Szczególnie przypadł mu do gustu Darto, który – jak się okazało – był niezwykle sympatycznym jeleniem. Myśl o powrocie do Miasta budziła w Arturze coraz większą niechęć. Niewątpliwie największy wpływ na to miała sama Rath, której uroda, dziewczęcy wdzięk, a przede wszystkim bezgraniczna miłość do Younga na tyle go rozbrajały i zniewalały, że sam nie wiedząc kiedy, zaczął uważać Las za swój drugi dom. Rath traktowała ten stan rzeczy jako coś całkiem naturalnego i do głowy jej nie przyszło, by pytać Younga o jego plany na przyszłość. Rankiem na ogół wybiegała z domu zostawiając śpiącego kapitana i

ciąg dalszy na stronie 45

Wilcza Klątwa -3

Komorowski * Ziemkiewicz

















Wilcza Klątwa






















TU DAZGRAD!




KLONG!


TAM UCIEKŁ! GOŃCIE GO!

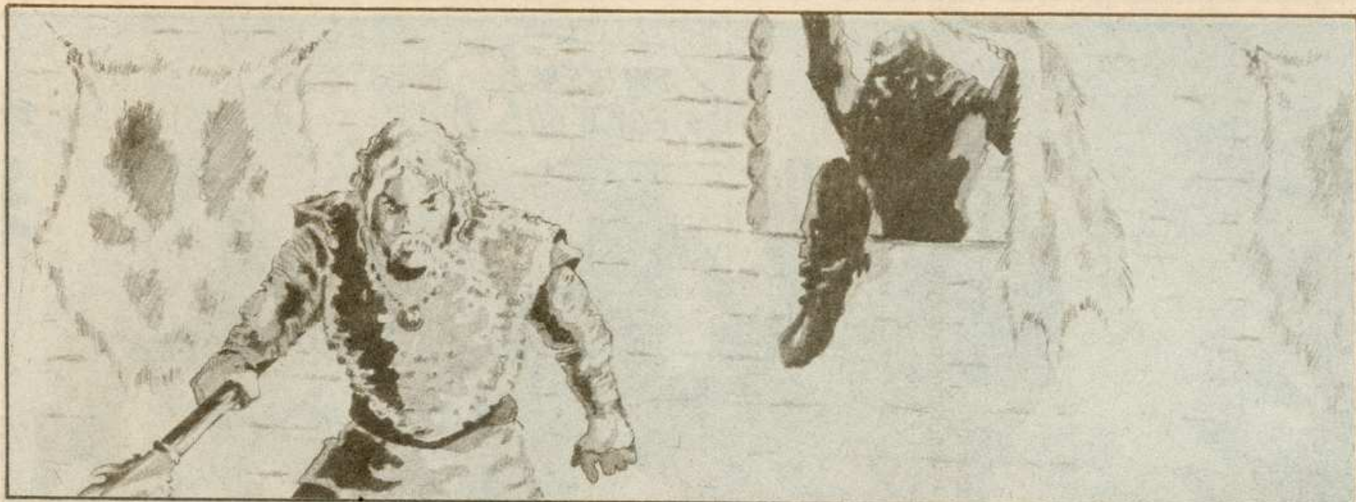

SLORD?
PANIE, ZA MNĄ!

Wilcza Klątwa















wir

ciąg dalszy ze strony 20

znikała w Lesie, gdzie, jak twierdziła, ma do załatwienia wiele ważnych spraw. Artur nie wnikał, na czym owe sprawy polegają i nie prosił, by go zabierała ze sobą. Wystarczyła mu świadomość, że dziewczyna wróci po kilku godzinach przynosząc mleko i świeże owoce. Zazwyczaj czekał na nią przed domem siedząc w cieniu starego dębu i próbując zgadnąć, z której strony przybiegnie dzisiaj. Z biegiem czasu zauważył, że z coraz większą niecierpliwością oczekuje tych powrotów. Jednakże gdzieś na dnie jego świadomości tkwiło przekonanie, że cała sielanka jest snem, który pewnego dnia trzeba będzie przerwać i wrócić do codziennych zajęć w mieście. Rath także musiała być świadoma tych wahań, bo którejś nocy, gdy zmęczeni całodziennym chodzeniem po Lesie położyli się na miękkich zwierzęcych skórach, nie pozwoliła się objąć i odsunąwszy się od niego, w milczeniu wpatrywała się w ciemność.

– Dlaczego chcesz tam wrócić? – spytała.

Young, który właśnie myślał o Mieście, nie znalazł w sobie dość sił, by zbyć pytanie jakimś wykrętem czy kłamstwem.

– Bo muszę – odpowiedział cicho.

– Opowiedz mi o tym twoim świecie. Jaki on jest?

Kapitan przełknął ślinę. Cóż mógł jej powiedzieć? Wszystkie tamtejsze problemy były tak dalekie, tak abstrakcyjne, że tłumaczenie ich dziewczynie wydawało się bezcelowe.

– Opowiedz – powtórzyła ze zniecierpliwieniem.

– No dobrze – westchnął – opowiem ci. Więc tak. Długo po tym, kiedy ty odeszłaś z tego świata, na Ziemi powstały wielkie państwa. Żyli w nich ludzie, którzy poznali wiele rzeczy. Potrafili zmienić bieg rzek, wysuszać bagna, zalewać wodą pustynie, nauczyli się robić wielkie maszyny, które wykonywały za nich pracę i woziły ich po ziemi, wodzie i w powietrzu...

– Takie jak to śmierdzące żelastwo, które spadło do Lasu?

– Tak, właśnie takie.

– To mi się nie podoba – powiedziała z niechęcią. – Ono śmierdziało. Ja też umiem wysuszać bagna i przywoływać deszcze, a nie potrzebuję do tego żadnych paskudztw...

– Tak, wiem – powiedział z przekonaniem Artur. – Ty potrafisz wiele rzeczy, ale kiedy odeszłaś, ludzie zapomnieli, jak to się robi. Nie potrafili już sobie poradzić bez tych maszyn. Czas płynął, a oni coraz bardziej przywiązywali się do tych... tych... no, paskudztw. Ale dzięki nim byli coraz potężniejsi. Im dłużej płynął czas, tym więcej umieli. I sądzili, że tak będzie zawsze, że zawsze będzie płynąć czas, a oni będą poznawać wciąż nowe rzeczy. Wymyślili naukę, którą nazwali fizyką. I dzięki niej wiedzieli bardzo dużo, ale nie wiedzieli jednego. Nie wiedzieli, że prąd czasu jest taki, jak prąd wody. Że czasami płynie równym nurtem, lecz czasami zdarzają się w nim wiry, które go mogą cofnąć i zmącić. I tak właśnie się stało. Nikt z tych ludzi tego nie przeczuwał, bo wszyscy przyzwyczaili się do równego, jednostajnego nurtu. Aż tu nagle pewnego dnia cały ten świat znalazł się w takim wirze, który wszystko powywracał do góry nogami. W niektórych miejscach czas cofnął się o całe tysiące lat, w innych o kilka wieków. I gdy Wir przeszedł, na całej Ziemi panował okropny bałagan. W niektórych miejscach żyli ludzie zupełnie dzicy, w innych istniały już państwa, ale jeszcze bardzo prymitywne.

– I ja też, prawda? I Las. My też istniejemy, bo przywołał nas ten Wir?

– Tak – powiedział kapitan zdziwiony, że dziewczyna tak łatwo przyjmuje wszystko do wiadomości. – Tak, Rath. Nie spotkalibyśmy się, gdyby Wir nie przywołał cię z dalekiej przeszłości...

– Wiem, wiem – powiedziała jakby do siebie. – Kiedy żyłam po raz pierwszy, szukałam cię, ale nie mogłam cię znaleźć, bo ciebie po prostu jeszcze nie było... A gdy zaczęłam żyć drugi raz i pomyślałam o tobie, to od razu wiedziałam, że jesteś.

– Ależ Rath – powiedział zdumiony Young – to niemożliwe. Nie możesz pamiętać swojego pierwszego życia...

– Mogę. Mówię ci przecież, że pamiętam. Wiesz, że ja mogę wiele rzeczy, które później ludzie zapomnieli... Tak, pamiętam, że było mi bardzo smutno...

Young z niedowierzaniem kręcił głową.

– Oj, nie kłóć się. Kiedy ci mówię, że pamiętam, to pamiętam i już. Powiedz lepiej, kiedy ty żyłeś. Ile minęło czasu, zanim przyszedł Wir i cię przywołał?

– Widzisz, w chwili, gdy on przyszedł, ja byłem w samym środku. Tam, gdzie czas się po prostu zatrzymał. I gdy Wir minął, ja byłem taki sam, jak przedtem. I całe moje Miasto. Ono się nie zmieniło, jest dalej takie, jak przedtem. Ale dookoła nas czas cofnął się o całe tysiąclecia.

– Jesteś pewny? – w oczach Rath zamigotały figlarne ogniki.

– No tak, przecież wiem...

– A skąd wiesz? Przecież inni też zapewne tak myślą. Na przykład ci dzicy... Nie rozumieją, skąd się tam wzięło twoje Miasto. Nie było go i nagle hop! Jest! Może myślą, że to czas nagle skoczył do przodu, a oni żyją tak, jak żyli.

Artur ze zdziwienia rozdziawił usta. W rzeczy samej! Ta dziewczyna ma rację. Nikomu nie przyszło to do głowy, lecz przecież rzeczywiście mogło tak być. Z zadumy wyrwał go głos Rath.

– Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, dlaczego musisz tam wrócić.

Właśnie, dlaczego? Young sam nie wiedział, skąd się w nim wziął ten niepokój wzywający do przerwania sielanki i do powrotu do dawnego świata. Wiele razy o tym myślał i zawsze gdzieś w głębi jego jaźni odzywał się ten sam rozkazujący głos: „Musisz!". Ale dlaczego? Na to pytanie rozkazujący głos nie dawał odpowiedzi. Niejednokrotnie kapitan próbował analizować swą podświadomość, lecz nigdy nie zdołał dotrzeć do źródeł tego uczucia. Nie, z pewnością nie był to głos przyjaźni, lojalności, czy innych uczuć, które niegdyś wiązały go z Miastem. Teraz jego prawdziwymi przyjaciółmi byli mieszkańcy Lasu, postacie osób, z którymi los złączył go kiedyś (przed wiekami?) w tamtym świecie zblakły, spłowiały, stały się fantomami coraz bardziej ginącymi w jasnej mgle unoszącej się każdego ranka nad leśnymi polanami.

– Nie wiem, Rath – odpowiedział. – Po prostu... czuję to.

Dziewczyna ze zrozumieniem pokiwała głową. Widać było, że przyjmuje do wiadomości wyjaśnienie Artura i choć perspektywa rozstania napawa ją smutkiem, to jednak jest skłonna uszanować jego decyzję wynikającą z jakichś tajemniczych, lecz z pewnością ważnych powodów. Zapewne zresztą wyjaśnienie w rodzaju „czuję to" było dla niej warte tyle samo albo wręcz więcej niż jakiekolwiek racjonalne argumenty.

– Ale później wrócisz, prawda? – zapytała takim tonem, jakby uważała to za oczywiste.

– Tak wrócę, na pewno – odpowiedział Young z przekonaniem.

Tej nocy zasnęli bardzo późno.

Gdy się obudził, stwierdził, że leży niedaleko Miasta. Zerwał się na równe nogi i osłupiały rozglądał się wokół. To, co widział, nie było chyba snem – kilka kilometrów od niego wznosiły się betonowe mury, zza których wyzierały znajome kontury dachów. Drogą, która przebiegała nie opodal, ciągnęła kawalkada półnagich

dzikusów objuczonych workami z mięsem i owocami. Kierowali się w stronę bramy spiesząc najwyraźniej na targowisko, gdzie za przywiezioną żywność spodziewali się dostać noże i kuchenne naczynia. Nieco dalej niezgrabnie wlókł się rozklekotany ford. Kierowca prowadził wóz bez wprawy: samochód zwalniał, szarpał, zataczał się od rowu do rowu. Young ze zdziwieniem obserwował te ewolucje. Gdy samochód zbliżył się na dostateczną odległość, kapitan dostrzegł za kierownicą łysego jegomościa w rzymskiej tunice. Widok był zarazem osobliwy i zabawny. Young wyszedł na skraj drogi i zamachał ręką. Kierowca niezdarnie zatrzymał forda i rzucił Arturowi pytające spojrzenie.

– Nie podwiózłby mnie pan do Miasta? – zapytał kapitan.

– Niech pan wsiada – Rzymianin otworzył drzwi i wskazał miejsce koło siebie.

– Przesiadacie się z rydwanów na samochody? – spytał rozbawiony Artur z lekkim niepokojem obserwując nieudolne wysiłki kierowcy, który starał się okiełznać narowistą maszynę.

– To dar władców Miasta dla naszego Imperatora – z godnością odparł Rzymianin. – Jestem ambasadorem Cesarstwa. – Z dumą wypiął pierś.

– Aha. No to bardzo mi przyjemnie. – Young nie wiedział, jak kontynuować rozmowę.

– Piękna maszyna – wybawił go z kłopotu ambasador. – Wreszcie Imperator będzie mógł spokojnie i bezpiecznie podróżować. Nic mu już nie grozi po drodze...

– Chyba wasz władca ma wystarczającą eskortę, żeby się nie bać zbójców? – zdziwił się Young.

– Zbójcy? – drwiąco rzucił kierowca. – Któż by się obawiał zbójców? Wystarczy kilku zbrojnych, żeby rozpędzić tę bandę zbuntowanych niewolników.

– Więc kto? – spytał kapitan. Niezbyt go interesowały fobie cesarza Rzymu, lecz nie chciał być nieuprzejmy wobec dostojnego kierowcy.

– Błękitne obłoki – odpowiedział ambasador. – Strasznie się rozpleniły w ostatnim okresie. Nie ma dnia, żeby kogoś nie porwały. Muszę panu powiedzieć – zniżył głos i pochylił się w stronę kapitana – że gdy nasz orszak wjeżdżał do Miasta, widziałem na niebie jeden z nich. I wy możecie mieć z nimi kłopoty. No, ale mając takie rumaki... – stuknął ręką w kierownicę.

Zatrzymali się przy punkcie kontrolnym i Young wyskoczył z samochodu. Miasto wyglądało tak samo, jak w chwili, gdy je opuścił. Szybko przebiegł przez zatłoczone ulice kierując się w stronę budynku Rady Koordynacyjnej. Spokojniejszym już krokiem wszedł przez szerokie oszklone drzwi, uśmiechnął się do portiera i wdrapał się na pierwsze piętro, gdzie urzędował Główny Koordynator. Rozmawiał właśnie przez telefon, lecz widząc kapitana przerwał w pół słowa i wytrzeszczył oczy.

– Dzień dobry, szefie – grzecznie pozdrowił go Young. – Przepraszam, że tak długo się nie pojawiałem.

Pułkownik nie odpowiedział, tylko niemo mrugał oczami wpatrując się w przybysza. Po chwili przyszedł do siebie, mruknął coś w słuchawkę i zerwał się z miejsca.

– Na miłość boską, Young, pan żyje? – wykrztusił. – Nie do wiary! Niech pan siada! Susan! – krzyknął do sekretarki – dawaj tu koniak, szybko! Niech pan wszystko opowiada – zwrócił się do kapitana.

Young nie wiedział, co powiedzieć. Przeżycia ostatnich trzech tygodni wydały mu się raptem tak nierealne, że nie był pewien, czy mimo wszystko nie padł ofiarą halucynacji. Może w ogóle nie wyjeżdżał z Miasta i wszystko to było jedynie snem?

– Niech pan lepiej powie, co z samolotem i załogą – odrzekł wymijająco.

– Wszystko w porządku. Wrócili bezpiecznie i przywieźli cenny materiał. Odkryliście bardzo bogate złoża żelaza. Tylko po co w ogóle lądowaliście? Mieliście polecenie dokonania lotu zwiadowczego. Lądowanie i nocowanie na nieznanym terenie to, pan wybaczy, głupota.

Young potulnie skinął głową.

– Ale co się z panem działo? Gdzie pan zniknął?

– No... po prostu zabłądziłem w lesie i nie mogłem trafić z powrotem...

Pułkownik patrzył na niego podejrzliwie. W jego spojrzeniu kryło się niedowierzanie. W końcu jednak, widząc, iż Young nie ma ochoty na szczegółowe wyjaśnienia, machnął ręką i napełnił kieliszki.

Kapitan wypił koniak i poprosił o papierosa. Zaciągnął się gorzkawym dymem i poczuł, że z wolna zaczyna wracać do równowagi. Uliczny szum napływający przez okno, spocona twarz szefa, znajome biurko ze starym telefonem – wszystko to działało uspokajająco i pozwalało wierzyć, że są jeszcze na świecie takie miejsca, gdzie można zaufać zmysłom. W milczeniu palił papierosa i delektował się normalnością sytuacji. Pułkownik pierwszy przerwał milczenie.

– W czasie pańskiej nieobecności zaszło trochę zmian. Na lepsze! Po pierwsze, sytuacja polityczna nieco się ustabilizowała. Udało się nam porozumieć z muzułmanami i wydaje się, że w najbliższym czasie nie musimy się obawiać wojny. W ciągu paru dni powinien się tu zjawić ich poseł. Ten układ będziemy musieli opłacić korzystnym dla nich traktatem handlowym. Ale z tym nie powinno być problemów... Sam pan wie, że dzięki waszej wyprawie udało się wykryć złoża żelaza. W tej chwili opracowujemy plan ich eksploatacji, a w przyszłym miesiącu rozpoczniemy poszukiwania ropy. Jak pan widzi, perspektywy przedstawiają się całkiem nieźle. Jest jednak jeszcze jedna sprawa... Dokładnie trzy tygodnie temu radar zasygnalizował pojawienie się nad Miastem jakiegoś obiektu.

– Samolot? – ożywił się Young.

– To właśnie nie jest do końca jasne – pułkownik rozłożył ręce. – Chyba tak... ale nikt nie słyszał szumu silnika. Na pewno nie było to stado ptaków czy coś w tym rodzaju, bo przesuwało się bardzo szybko i tor lotu był... hm, dość charakterystyczny. Ten obiekt zachowywał się tak, jakby dokonywał planowej obserwacji Miasta. Fachowcy wykluczają przypadek. Twierdzą, że to coś postępowało zgodnie z wszystkimi kanonami sztuki zwiadowczej. A poza tym... kilka osób w Mieście widziało obiekt i przekazało nam swoje spostrzeżenia. Z tym, że nie bardzo wiem, jak traktować te relacje.

– Dlaczego?

Szef uderzył ręką w blat stołu.

– Ci ludzie twierdzą, że widzieli coś, co leciało bezgłośnie na dużej wysokości i wyglądało jak niebieski kłąb pary.

– Coś takiego. To jakaś bzdura.

– Też mi się tak wydawało, ale opis toru lotu podany przez tych ludzi dokładnie pokrywał się z wynikami obserwacji radarowej.

– Także teraz wymyślają UFO? – drwiąco zapytał Young. – Mało im Wiru?... Niewiarygodne.

– Niewiarygodne? – ironicznie uśmiechnął się pułkownik. – A co by pan pomyślał pięć lat temu, gdyby ktoś powiedział, że wkrótce będzie pan jadał na obiad pieczeń z dinozaura? Musimy wziąć pod uwagę każdą ewentualność. Wydałem już polecenie, by obserwacja radarowa obejmowała nie tylko przestrzeń nad Miastem. Kilka dni temu zamontowano parę stacji radarowych na terenach podmiejskich. Niech pan przyjdzie rano o ósmej, zbiera się Rada, będziemy się zastanawiać, co z tym fantem począć. A na razie proszę iść do domu i porządnie się wyspać...

Gdy wyczerpany Young dotarł do domu i ciężko runął na łóżko, nad Miastem zapadł zmierzch. Pomimo zmęczenia kapitan długo nie mógł zasnąć. W głowie kłębiły mu się setki nieposkładanych myśli, a w uszach niczym alarmowy dzwon dudniły uporczywie powracające, ciepłe słowa: „ale później wrócisz, prawda?... prawda?..." Zmęczony przewracaniem się z boku na bok usiadł na łóżku, zapalił lampę i włożył do ust papierosa. Intensywny aromat tytoniu wypełnił pokój i przywrócił mu jasność myślenia. W milczeniu obserwował niebieskawy dymek, który zwijał się wokół lampy i porywany strumieniem gorącego powietrza odpływał

Tak naprawdę nie zastanawiam się, po co to wszystko. Dla mnie to jest życie – to jest to, co robię.



Patric Woodroffe

znad żarówki. Starał się skupić i raz jeszcze przemyślał słowa pułkownika. Niewątpliwie doniesienia radarzystów miały duże znaczenie, ale... Ale co mnie to obchodzi! – Poczuł nagle, że sprawy Miasta są dalekie, obce i nie wywołują w nim żadnych emocji. Nie rozumiał dokładnie tej zmiany, jaka zaszła w jego psychice, lecz im dłużej o niej rozmyślał, tym bardziej dochodził do przekonania, iż jedynym miejscem, ku któremu ciążą jego myśli jest niewielka polana w gęstym lesie i pachnąca ziołami ciemnowłosa dziewczyna. Świadomość zerwania się więzi uczuciowej, która go łączyła z wszystkim tym, co do niedawna było jego światem, nie sprawiała mu nawet przykrości. Czuł, że jego świat przeniósł się po prostu o kilka tysięcy kilometrów i zaszył się w gęstwinie Lasu. Nie mógł odtworzyć w pamięci twarzy dawnych przyjaciół. Ich postacie stawały się coraz bledsze, wypłowiałe, a zamiast nich pojawiała się mu przed oczami smukła sylwetka Darto pijącego wodę z sennego, roziskrzonego słońcem strumienia. Z uśmiechem zadumy sięgnął po następnego papierosa. Nowa smużka błękitnego dymu wzbiła się w powietrze jeszcze bardziej odrealniając obraz znajomego pokoju. Starał się nie myśleć o ostatnich wydarzeniach i o sprawie tego UFO czy, jeśli ktoś woli, podejrzanego kłębu pary. Jednakże na samym dnie jego umysłu tkwiło coś, co nie dawało mu spokoju. Jakieś dziwne przeczucie, które powracało z natrętną uporczywością. Nie wiedział, co to jest, lecz niepokój, jaki go ogarnął, dobitnie świadczył o tym, że gdzieś w głębi jego świadomości zachodzą procesy, których nie jest w stanie kontrolować, a które mają duże znaczenie. Nieruchomo wpatrywał się w kłęby wznoszącego się dymu. Nie mogąc dojść przyczyn swego niepokoju machnął ręką, wstał i poszedł do kuchni zaparzyć herbatę. Nalał wody do poobijanego czajnika i postawił go na kuchence. Widok starego, wysłużonego naczynia przypomniał mu owego rozsypującego się forda, którego z takim przejęciem prowadził tłustawy jegomość w rzymskiej tunice. Jeszcze teraz wspomnienie to rozbawiło go, więc roześmiał się półgłosem. Lecz nagle śmiech zamarł mu na ustach. Tajemniczy prąd, który płynął gdzieś w głębi jego świadomości, wydostał się nagle na powierzchnię i rwącym nurtem przetoczył się przez jego umysł. Z wrażenia usiadł na taborecie i z otwartymi ustami wpatrywał się w kłęby pary buchającej z czajnika. Po chwili wstał, podszedł do telefonu i wykręcił numer amabasady Imperium Rzymskiego.

– Przepraszam, że to tej porze... – rzucił do słuchawki. – Jechałem dziś z panem do Miasta, zna mnie pan. Proszę koniecznie przyjść jutro na posiedzenie Rady Koordynacyjnej Miasta. To bardzo ważne! Jutro o ósmej rano... – i nie czekając na odpowiedź rzucił słuchawkę na widełki. Później długo jeszcze przewracał się z boku na bok, a dzwon powtarzający w jego uchu „prawda... prawda..." stawał się coraz cichszy.

Zebranie rozpoczęło się z niewielkim opóźnieniem. Kapitan Young wywołał sporą sensację. Większość zgromadzonych w sali mężczyzn dawno już uznała go za ostatecznie zaginionego. Gdy wrzawa ucichła się, pułkownik zagaił:

– Przedmiot dzisiejszych obrad jest znany wszystkim. Nie mam żadnych nowych informacji, proponuję więc od razu przejść do sedna sprawy. Na początek...

– Chwileczkę! – dobiegł z kąta głos Artura. Kapitan zerwał się z krzesła i prowadząc pod rękę rzymskiego posła wyszedł na środek sali. Odprowadzały go zdziwione spojrzenia – członkowie Rady dopiero teraz zauważyli ambasadora Imperium.

– Sądzę, że nasz dostojny gość będzie potrafił wzbogacić nasze wiadomości na temat owego tajemniczego obiektu. Panie ambasadorze, kiedy pan przybył do Miasta?

– Drugiego sierpnia – odpowiedział nieco zmieszany poseł spoglądając na członków Rady. Nie wiedział jeszcze, do czego zmierza jego rozmówca.

– No właśnie – podchwycił Young. – Drugiego sierpnia. Tego samego dnia radar zasygnalizował pojawienie się nad Miastem tego dziwnego „kłębu pary". Panie ambasadorze – ponownie zwrócił się do gościa – mówił pan wczoraj, że w Rzymie widziano już podobne obiekty?

– Ach, chodzi panu o błękitne obłoki. Tak, rzeczywiście, wielu poddanych Imperatora doświadczyło ich działania na własnej skórze...

– Co pan ma na myśli? – zapytał ktoś z sali.

– No... – niepewnie zaczął ambasador – przecież te obłoki... porywają ludzi.

– Jak to porywają?!

– Sam raz to widziałem. Nadlatują nad ofiarę, ogarniają ją, po czym odlatują. Razem z człowiekiem. Wiele osób zginęło w ten sposób. Zapewne tysiące.

Członkowie Rady ze zdumieniem wpatrywali się w posła. Przez chwilę panowała cisza przerywana jedynie stukaniem długopisu, którym bawił się pułkownik.

– Jak pan myśli, czym są te obłoki? – zapytał Young.

– To na pewno wysłannicy bogów – ściszonym głosem odrzekł ambasador. – Bogowie potrzebują niewolników.

Gdy po pięciu minutach poseł cesarza opuścił budynek Rady Koordynacyjnej, wśród uczestników narady zapanowała konsternacja. Pierwszy odezwał się pułkownik.

– Panowie! Wiem, że to, co przed chwilą usłyszeliśmy, jest szokujące, lecz jednak nie mamy innego wyjścia, jak przyjąć te informacje do wiadomości. Osobiście myślę, że są one zgodne z prawdą. A jeśli tak, to znaczy, że stoimy w obliczu całkiem nowego zjawiska, to jest... całkiem nowego zagrożenia. Nie wiemy, czym są te obiekty, nie wiemy, dlaczego porywają ludzi, nie wiemy też, czy ich zabijają, czy... co w ogóle z nimi robią. Ale jedno jest pewne: nie mamy tu do czynienia ze zjawiskiem naturalnym. Wydaje mi się, że obiekt, który się pojawił nad Miastem przed trzema tygodniami, dokonywał rekonesansu. Należy się spodziewać, że w ślad za nim przyjdą następne.

– Czy myśli pan, że w grę może wchodzić... jakaś obca cywilizacja? – zapytał Young.

– A czy ma pan jakieś inne wytłumaczenie? – rozległ się z sali ten sam głos, co uprzednio.

Pułkownik skinął głową. Rzeczywiście. Nie nasuwało się żadne inne wytłumaczenie tych zdumiewających faktów. Osobiście był przekonany, że tak właśnie jest. Sugerował to już zresztą kapitanowi Youngowi w czasie ich ostatniej rozmowy, lecz widząc, z jakim lekceważeniem i niedowierzaniem przyjął on jego teorię, nie miał teraz odwagi wystąpić z nią publicznie. A przecież wszystkie elementy tak zgrabnie do siebie pasowały! Ni stąd, ni zowąd przychodzi Wir, który niszczy całą, praktycznie rzecz biorąc, cywilizację Ziemi. No cóż – mógłby ktoś powiedzieć – przypadek, złośliwość natury... Lecz teraz nagle zjawiają się te tajemnicze obłoki i zaczynają porywać ludzi. Też przypadek? A dlaczego nie zjawiły się parę lat wcześniej, gdy jeszcze istniały armie, potężne środki techniczne, radary i tak dalej? Dlaczego właśnie teraz, kiedy są niemal bezbronni? No tak, tylko że – jeśli przyjąć teorię o zielonych ludzikach porywających bogobojnych mieszkańców Ziemi – nadal nie wiadomo, po co te obiekty ich porywają. Czyżby kosmici byli aż tak wygłodzeni? A może zakładają zoo? – Podniósł wzrok i spojrzał po sali.

– Panie majorze – zwrócił się do Ruba, dowódcy Miejskich Sił Zbrojnych. – Jakie środki zabezpieczające pan proponuje?

– No cóż, panie pułkowniku, obawiam się, że niewiele mogę zrobić. Brak ludzi, sprzętu... Nie mamy broni, która nadawałaby się do niszczenia celów w powietrzu.

– A w Muzeum Wojska? – zapytał ktoś.

– Tam są jedynie jakieś stare działa z XX wieku. Nawet nie próbowaliśmy ich wyciągać. No, co prawda, nie było takiej potrzeby... Teraz można by spróbować, ale to się może nie udać. Mamy też laser, ale to jest aparat małej mocy i obawiam się, że...

– Czy nie można by zainstalować go na którymś z samolotów? – przerwał szef.

– Można, to nawet dobry pomysł. Jeszcze dziś wydam odpowiednie polecenia. Poza tym mogę zaproponować jedynie niemilitarne środki bezpieczeństwa. Takie jak wczesne ostrzeganie, na przykład syrenami. Wydaje mi się, że w chwili pojawienia się na niebie takiego obiektu, należy natychmiast zaalarmować ludność, która powinna ukryć się w domach.

W chwilę później zebranie dobiegło końca. Członkowie Rady zaczęli wstawać z foteli. Sala pomału opróżniała się, lecz pułkownik nadal siedział na miejscu. Widząc przechodzącego Younga przerwał rozmyślania i skinął do kapitana ręką.

– Mam do pana prośbę. Chciałbym zorganizować stałe dyżury na lotnisku. Czy mógłby się pan tym zająć?

– Oczywiście – odpowiedział Young, choć wcale nie był zachwycony perspektywą dodatkowej pracy. Miał przecież nadzieję, że w ciągu kilku najbliższych dni uda mu się uporządkować wszystkie swoje miejskie sprawy i... Ale niestety dał się już wciągnąć w wir tutejszego życia i czuł, że tak długo się stąd nie ruszy, jak długo nie wyjaśni się sprawa tych cholernych latających talerzy czy obłoków pary.

Następne dwa tygodnie spędził na organizowaniu dyżurów na lotnisku. Cały czas pochłaniały mu dojazdy do domu i do budynku Rady i wreszcie, zdenerwowany ciągłym pośpiechem, postanowił przenieść się na lotnisko na stałe. Wygospodarowano dla niego osobny pokój, do którego przywiózł walizkę z najniezbędniejszymi rzeczami i jako tako się urządził. W innej sytuacji mieszkanie takie byłoby dla niego udręką, lecz teraz, gdy niemal wcale nie prowadził prywatnego życia, był z tego rozwiązania zadowolony. Przez cały czas był na miejscu i osobiście mógł doglądać wszystkich spraw. A było ich niemało. Najbardziej martwiła go opieszałość, z jaką toczyły się prace przy samolocie, który postanowiono wyposażyć w laser. Codziennie zaglądał do hangaru i popędzał techników. Równie uciążliwe było organizowanie łączności ze stacjami radarowymi, które znajdowały się poza Miastem. Wieczorami, gdy wreszcie był wolny, wyskakiwał do pobliskiego baru na lampkę dobrego rzymskiego wina i samotnie wracał do swego nieprzytulnego pokoju. Wszystko to męczyło go, lecz mając świadomość tymczasowości swego położenia nie przejmował się i powtarzał w duchu: jeszcze dwa dni, jeszcze trzy dni, jeszcze trochę. Jednakże to „trochę" przeciągało się coraz bardziej, a tymczasowość stawała się stanem normalnym. Od czasu do czasu, gdy już zasypiał, przypominał mu się Las, lecz wspomnienia te stawały się z dnia na dzień bledsze, odleglejsze, zaś głos, który szeptał mu do ucha jedno słowo: prawda?... prawda? cichł coraz bardziej.

— Gotowe, panie kapitanie – powiedział technik i z dumą wypiął pierś.

Young podszedł do samolotu i położył rękę na kadłubie maszyny.

– Wreszcie! – powiedział spoglądając na zamontowany laser. – Będzie działać?

– Musi – powiedział technik z przekonaniem.

Artur skinął głową i odszedł w stronę budynku dyspozytorni. Rzucił na biurko marynarkę i zadzwonił do pułkownika, by mu zameldować o zakończeniu prac. Szef ucieszył się, powiedział kilka miłych słów i pochłonięty ważnymi sprawami odłożył słuchawkę. Kapitan markotnie usiadł na krześle i zapatrzył się w ścianę. Chwilowo nie miał nic do roboty i czuł w sobie dziwną pustkę. Westchnął, spojrzał na zegarek i postanowił, że jeszcze raz obejrzy samolot. Właśnie do niego dochodził, gdy potężny megafon umieszczony na szczycie wieży kontrolnej zachrypiał:

– Kapitanie Young! Zgłasza się stacja radarowa!

W pierwszym odruchu chciał się rzucić w kierunku dyspozytorni, lecz zaraz zmienił zamiar i wskoczył do maszyny. Nałożył słuchawki i włączył pokładową radiostację:

– Halo, tu Young! – krzyknął w mikrofon. – O co chodzi?

– Leci! – szczeknęło w słuchawkach.

– Dawajcie pilota! – rozkazał. – I połączcie mnie bezpośrednio z tymi radarzystami!

W słuchawkach coś trzasnęło, zaszumiało i po chwili rozległ się głos:

– Nadlatuje od południa na wysokości czterystu metrów, prędkość pięćset kilometrów na godzinę. Pospieszcie się, zaraz będzie nad Miastem!

– Halo, wieża kontrolna! – wrzasnął. – Natychmiast zaalarmować Miasto! Co jest do cholery z tym pilotem?!

– Już leci! – usłyszał zdenerwowany głos.

Rzeczywiście, po kilku sekundach do kabiny wdrapał się zdyszany chłopak dopinający w biegu klamry lotniczego kombinezonu.

– Startuj! – krzyknął kapitan.

– Już, już! Niech pan wyskakuje...

– Nie ma czasu! Zostaję tutaj. Leć!

Chłopak posłusznie usadowił się w fotelu i zaczął pstrykać wyłącznikami. Z daleka, od strony Miasta dobiegło ponure wycie syren, lecz po chwili zagłuszył je huk silnika. Samolot drgnął i potoczył się w stronę pasa startowego. Kapitan przycisnął do uszu słuchawki starając się wyłowić z nich jakieś słowa.

– Przelatuje nad murem! – przedarło się przez trzaski.

– Jest tam! – zawołał pilot.

Artur spojrzał we wskazanym kierunku i dostrzegł niebieskawą chmurę, która zbliżała się do centrum Miasta.

– Leć prosto na nią! – krzyknął do pilota. Tamten skinął głową, zacisnął wargi i kapitan zauważył, że jego ręce na drążkach sterowniczych zbielały.

– Czy obrona naziemna jest gotowa? – rzucił do mikrofonu.

– Tak – zatrzeszczały słuchawki – oba działa są przygotowane!

Chmura leciała z niezbyt wielką prędkością i w miarę zbliżania się do centrum Miasta opuszczała się coraz niżej. Young spojrzał w dół. Ulice były wymarłe – zaalarmowani ludzie pospiesznie ukryli się we wnętrzach domów. Przeniósł spojrzenie na tajemniczy obłok, który krążył właśnie nad śródmieściem. „Jak jastrząb, który wypatruje ofiary" – przemknęło mu przez głowę. W tym momencie chmura nagle zamarła. Jeszcze przed chwilą leciała, a teraz raptownie zatrzymała się w miejscu. O cholera! – pomyślał zdumiony niewiarygodną ewolucją, lecz – jak się okazało – był to dopiero początek. Obłok gwałtownie rzucił się w stronę samolotu.

– Leci na nas! – wrzasnął przerażony pilot.

– Widzę – odpowiedział kapitan niewiele spokojniejszym głosem.

Chmura zbliżała się w oszałamiającym tempie.

– Uciekaj! – krzyknął pilotowi.

Maszyna zawyła i runęła w dół. Chmura jakby się zawahała, lecz zaraz ruszyła w pościg.

– Uważajcie! – jęknęły słuchawki. – Jest za wami, siedzi wam na ogonie! Dwie!!! Są już dwie!

– Jak to dwie?! – wrzasnął Young.

– Nie wiem! Podzieliła się na dwie mniejsze!

– Strzelajcie! – zawył Young i czekał.

– Nic z tego – dobiegło go po chwili. – To beznadziejne!

– Słuchaj – uderzył pilota w ramię – odwróć się do niej przodem i ładuj w nią z lasera! Ile wlezie!

Pilot skinął głową. Silniki samolotu znowu zawyły i maszyna niezdarnie zaczęła zawracać. Po chwili obrócili się o sto osiemdziesiąt stopni i ujrzeli przed sobą dwa równolegle lecące obiekty.

– Już! – krzyknął Young.

Palec pilota nacisnął jakiś guzik i spod brzucha maszyny wytrysnęła cienka świetlista smuga. Jej koniec ginął w błękitnym obiekcie, który nie zważając na to zbliżał się coraz bardziej. Pilot panicznie zawył i przeniósł promień na drugi obiekt. I tym razem bez żadnego rezultatu.

– Nie bierze go! – jęknął i poderwał samolot do góry chcąc przelecieć nad nieprzyjacielem. Ale oba obłoki były szybsze. Zbliżyły się na odległość kilku metrów i rzuciły się na samolot.

Nie był to sen. Raczej coś w rodzaju paraliżu. Jego mózg przez cały czas funkcjonował normalnie. W spoconej dłoni czuł śliski metal obudowy mikrofonu, a w udo uwierała go klamra pasa. Nie mógł jednak wykonać żadnego ruchu. Nie widział też kształtów kabiny samolotu. Przed oczami jaśniała mu jedynie niebieska poświata. Stracił poczucie czasu – nie wiedział, czy do chwili ogarnięcia maszyny przez błękitną chmurę minęły minuty czy sekundy. A może godziny? Nie czuł też żadnego przeciążenia. Nieruchomo wisiał w jasnoniebieskiej fluorescencji, w której nie istnieją żadne kierunki. Góra i dół straciły swe znaczenie. Był tylko wszechogarniający błękit. I cisza. Niewiarygodna cisza. Nigdy jeszcze nie słyszał takiej ciszy. Tak właśnie wyobrażał sobie głuche milczenie międzygwiezdnej przestrzeni, którego nie zakłóca nawet szum mieszających się prądów powietrza. Początkowo próbował zastanawiać się nad swym położeniem, lecz zaraz popadł w zupełne odrętwienie. Czuł, że mózg pracuje mu coraz wolniej. Myśli zaczęły mu się plątać, biegać w kółko. Utworzyły zamknięty krąg, który wirując coraz bardziej się zaciskał. Wreszcie stał się jednym świetlistym punktem, który niebiesko jarzył się we wnętrzu czaszki. Nie miał już żadnych myśli. Pogrążył się w dziwnym śnie. Właściwie nie był to sen. Raczej coś w rodzaju paraliżu.

Błękitny punkt eksplodował. Rozprysnął się we wszystkie strony i znów stał się wirującym świetlistym kręgiem. Wirował coraz szybciej i szybciej. Young otworzył oczy. A może wcale ich nie otwierał? Może przez cały czas jego oczy były otwarte? W każdym razie nagle zaczął widzieć, dostrzegać zamglone kontury, poruszające się cienie. Minęła też upiorna cisza. Do jego uszu docierały jakieś szumy, niewyraźne dźwięki – zniekształcone i dudniące, jakby dobiegały z głębokiej studni. Ale jednak dźwięki. Słyszał je.

Jeden z cieni zbliżył się do jego twarzy. Przez chwilę wisiał nad nim. Kapitan mrugnął oczami. To był pierwszy ruch, jaki udało

Wojciech MAZIARSKI

Ur. 24 I 1960 r. w Chorzowie. Student Uniwersytetu Warszawskiego na Wydziale Hungarystyki. Współpracuje z „Fantastyką" jako tłumacz i obserwator węgierskiego rynku SF. Napisane w 1985 r. opowiadanie „Wir" jest jego literackim debiutem.

(mp)

Patric Woodroffe



Nagle obraz się wyczyścił. Ujrzał jakieś przewody, rurki, ro-czewki. Tkwiły w uchwycie dziwnego aparatu, którego część zwisała nad jego głową. Pod plecami czuł chłód twardej, chyba metalowej, powierzchni. Powolnym ruchem obrócił głowę w lewo. Ujrzał dużą salę zastawioną metalowymi stołami czy łóżkami. Na wielu z nich leżeli ludzie. Dostrzęgł nawet pilota samolotu. Chyba jeszcze nie oprzytomniał, bo wytrzeszczonymi oczyma nieruchomo wpatrywał się w przestrzeń. Jego nogi i ręce były przytwierdzone do stołu masywnymi klamrami. Taka sama klamra obejmowała go w pasie. Ten widok do końca otrzeźwił kapitana. Spróbował poruszyć ręką. Na nadgarstku poczuł ucisk. Spojrzał w kierunku własnych stóp, lecz widok przesłoniła mu klamra wznosząca się na wysokości jego brzucha. Przez chwilę leżał bez ruchu i gorączkowo się zastanawiał. Rozmyślania przerwał mu odgłos miękkich kroków kogoś zmierzającego ku środkowi pomieszczenia. Z nienaturalnie wykręconą głową, zaciskając zęby wpatrywał się w to miejsce, gdzie według jego rachub powinna się pojawić postać idącego. Pomylił się o parę metrów. Niska sylwetka wyłoniła się znacznie bliżej. Szybko dostosował wzrok i gdy obraz wyostrzył się, serce Younga zamarło. Ujrzał niskiego, najwyżej półtorametrowego stwora, który przebierając pałąkowatymi nóżkami podchodził kolejno do wszystkich łóżek, spoglądał na leżących ludzi i coś poprawiał w aparaturze wiszącej nad ich głowami. Stworzenie nie wyglądało groźnie, raczej karykaturalnie. Niskie, chude ciało okrywała jakaś tkanina, a łysa głowa błyszczała w zimnym blasku reflektorów zawieszonych pod sufitem. Young odwrócił spojrzenie i zamknął oczy. A jednak szef miał rację – to rzeczywiście zielone ludziki. No, może nie zielone, ale... Pod wpływem hałasu, jaki rozległ się bezpośrednio nad jego głową, powtórnie otworzył oczy. Pół metra od swojej twarzy dostrzegł wielkie szare oczy. Nie patrzyły na niego. Ich właściciel pochłonięty był manipulowaniem przy głowicy tajemniczego aparatu. Coś w niej przestawiał, przełączał i wreszcie zbliżył całe urządzenie do czaszki kapitana. Dopiero teraz spojrzał na leżącego. Grube mięsiste wargi bezgłośnie się poruszyły i Young ujrzał lepkie, śluzowate wnętrze bezzębnych ust. Później pałąkowata istota odwróciła się i odeszła w stronę kolejnego łóżka. Odgłosy kroków dobiegały kapitana jeszcze przez jakieś pięć minut. Potem oddaliły się i ucichły gdzieś z tyłu.

Young leżał z zamkniętymi oczami. Czekał.

Nie trwało to długo. W pewnym momencie poczuł na czole ucisk. Szybko otworzył oczy próbując dostrzec przedmiot, który go dotknął. Jednakże nie zobaczył nic: pół metra od jego głowy wisiała jedynie głowica aparatu. Lecz ucisk nie ustawał, był coraz bardziej natarczywy i z wolna przenosił się w głąb czaszki, jakby owo coś przenikało przez kość i zagłębiało się w jego mózgu. Po chwili tkwiło już gdzieś w środku. Kapitan miał wrażenie, jakby jakieś zwierzę wielkości myszy penetrowało zakątki jego umysłu. Gdzieś na dnie swej jaźni czuł miękkie, nieprzyjemne dotknięcia. Wreszcie obmacywanie ustało – „mysz" znieruchomiała i jakby zmieniła się w guz, który usadowił się w samym środku jego głowy.

– Imię i nazwisko – rozległ się głos. Nie dobiegał z zewnątrz. Brzmiał w umyśle kapitana.

Young milczał. Nie wiedział jak się zachować. Nie rozumiał celu tej penetracji i na wszelki wypadek wolał nie odpowiadać na pytanie.

Po chwili oczekiwania guz się poruszył. Wyciągnął mackę i musnął jakiś zakątek jego mózgu. Przed oczami eksplodował mu wulkan. W oczach wściekle zatańczył gejzer płomieni, a całe ciało przeszył potworny ból. Zawył i zemdlał. Tracąc przytomność zdążył jeszcze usłyszeć podobne wrzaski dochodzące z sąsiednich łóżek.

Ocuciło go niecierpliwe pukanie rozlegające się gdzieś w środku głowy.

– Imię i nazwisko – usłyszał znowu.

Pouczony poprzednim doświadczeniem natychmiast odpowiedział:

– Artur Young.

– Nie musisz mówić – rzekł głos. – Wystarczy, że pomyślisz. Stulecie?

– Początek XXI – pomyślał.

– Wykształcenie?

– Wyższe.

– Specjalność?

– Elektronik.

– Znakomicie – skwitował głos.

Zapadło milczenie. Głos nie odzywał się, lecz w mózgu kapitan nadal czuł tępy ucisk.

– Dobrze – usłyszał po chwili. – Wstań.

Krępujące go klamry rozpięły się, podniósł się więc i na drżą-[...] zaczął się podnosić.

– Nie rozglądaj się – usłyszał. – Gdy przyjdzie nadzorca, idź za nim.

– Kto taki? – zapytał w myśli.

– Twój nadzorca. Masz wykonywać jego polecenia.

Niespodziewanie wyrósł przed nim jeden z pałąkowatych stworów i gestem dał mu do zrozumienia, żeby ruszył za nim. Zdezorientowany Young stał przez chwilę w miejscu, lecz gdy tylko poczuł, że guz w jego głowie zaczyna wysuwać mackę, szybkim krokiem pobiegł za istotą. Mijali jakieś drzwi, sale, wnęki, lecz Young w obawie przed potwornym bólem nie miał odwagi rozejrzeć się wokół. Wyszli przed budynek i skierowali się w stronę niskich zabudowań widniejących nie opodal. Nadzorca wprowadził Younga do jednego z baraczków, w którym kapitan dostrzegł piętrowe prycze.

– Idź do ostatniego łóżka – usłyszał.

Przechodząc przez barak dostrzegł, że większość prycz była nieużywana. Jedynie przy niektórych leżały jakieś ręczniki, kawałki mydła i drobne przedmioty świadczące o tym, że łóżko ma właściciela. Stanął przy wskazanej pryczy.

– Możesz się położyć i odpocząć – powiedział głos.

•

Kapitan Young dość szybko się nauczył, co należy robić, by uniknąć bolesnej kary. Po upływie tygodnia ataki bólu stawały się coraz rzadsze, a po dziesięciu dniach zupełnie ustały. Guz w jego mózgu nie był właściwie okrutny. Wykonywał swe funkcje z bezosobową sumiennością automatu i nie można było powiedzieć, by się szczególnie znęcał nad Arturem. Pilnował jedynie, by kapitan ściśle wykonywał wydane mu polecenia i nie wykraczał myślami poza strefę dozwoloną. Zresztą była ona dość rozległa. Prawdę mówiąc, mógł myśleć niemal o wszystkim. Guz na ogół nie ingerował i jedyną oznaką jego istnienia był tępy ucisk wewnątrz czaszki. Young nauczył się, iż ten wewnętrzny dozorca nie interesuje się właściwie jego myślami, dopóki nie przybierają one kształtów konkretnych planów działania. Mógł więc kląć w myślach, narzekać, wściekać się i wyobrażać sobie, że rozrywa na strzępy nienawistne pałąkowate istoty. Jednakże jeśli tylko zaczął się zastanawiać nad sposobami realizacji tych marzeń, guz przypominał o sobie brutalnie drażniąc ośrodek bólu w jego mózgu. Kary te były coraz słabsze – po pewnym czasie wystarczyło już tylko lekkie szturchnięcie, by kapitan zrozumiał, że powinien czym prędzej pomyśleć o czymś innym. Poza wymierzaniem kar guz spełniał wiele innych funkcji, znacznie mniej dotkliwych i rzec by można, że wręcz czuwał nad zdrowiem i bezpieczeństwem Artura. Budził go rano, by nie spóźnił się do pracy, informował go, kiedy może już pójść do swego baraku, gdy zaś kapitan czuł się źle lub był głodny czy spragniony, pozwalał mu na odejście od stanowiska przy taśmie. Pewnego dnia sam mu wręcz zakomunikował, że ma zostać w łóżku, bo jest przeziębiony.

Young miał więc możliwość spokojnego przemyślenia sytuacji, w jakiej się znalazł. Zresztą była ona na tyle oczywista, że nie potrzeba było wielkich medytacji. Nie mógł żywić najmniejszych wątpliwości co do swego statusu. Codziennie rano zrywał się z łóżka i pędził do zakładu, gdzie nadzorował produkcję nieznanych urządzeń elektronicznych, które montowali inni ludzie, na ogół Rzymianie. Był czymś w rodzaju kierownika linii montażowej, do zadań którego należy pilnowanie, by wyroby nie miały usterek. W przypadku trudności kontaktował się z guzem, który udzielał mu koniecznych wskazówek lub bezpośrednio w jego mózgu wyświetlał fragment schematu danej części. Tak więc kapitan miał pełną świadomość faktu, że jest niewolnikiem, który wykonuje dla tych cholernych pałąków najpodlejszą pracę. Sarkastycznie się uśmiechnął, gdy przypomniał sobie ironiczny stosunek kolegów z Rady Koordynacyjnej do tamtego rzymskiego dyplomaty, który przecież pierwszy stwierdził, że „bogom potrzeba niewolników".

Najbardziej dokuczała mu samotność. Guz stanowczo zabraniał rozmów z innymi ludźmi. Gdy wieczorem wracał do baraku, bez słowa kładł się na pryczę i starał się nie patrzeć na współtowarzyszy. Tamci również ze wstydem odwracali twarze, kiedy przypadkiem na nich spojrzał. Z upływem czasu ludzi w baraku przybywało. Kiedy się tu sprowadził, większość stanowili Rzymianie w tunikach i przedstawiciele jakiegoś dzikiego plemienia, lecz teraz coraz więcej było osób we współczesnych strojach, co skłaniało do przypuszczeń, że błękitne obłoki bez przeszkód grasują w bezbronnym Mieście. Niemożliwość nawiązania kontaktu z innymi sprawiła, że podjął próby rozmów z guzem. Starał się dowiedzieć od niego, kim są te pałąkowate istoty, skąd przybyły, jakie mają plany i tak dalej. Jednakże usiłowania te spełzły na

cał się doń w sprawach dotyczących bezpośrednio produkcji lub swojego zdrowia.

W miarę upływu czasu samotność ta pogłębiała się i powodowała u Younga stany depresyjne, które jednak nie wywoływały zaniepokojenia jego osobistego stróża. Myślami coraz częściej uciekał w przeszłość i wspominał swe dotychczasowe życie. Delektował się każdym okruchem wspomnień i z nabożeństwem odtwarzał w pamięci twarze przyjaciół. Najcenniejszym skarbem były dlań wspomnienia Lasu i Rath. Gdy zasypiał, starał się przywołać w pamięci obraz dziewczyny i próbował przypomnieć sobie zielony zapach jej chaty. W czasie któregoś z takich seansów spostrzegł rzecz, która go zastanowiła. Zauważył mianowicie, iż gdy tylko zaczyna myśleć o Rath, guz dziwnie drżał. Było to zaskakujące, myślenia o Rath, podobnie jak inne wspomnienia nie stanowiło przecież naruszenia obowiązujących zakazów. Chyba istotnie tak było, bo drżeniu guza nie towarzyszył atak bólu. Wyglądało na to, że jego stróż wahał się nie wiedząc, czy myśli podopiecznego przekraczają już dozwoloną granicę, czy jeszcze nie. Dziwne zachowanie guza było zastanawiające, lecz gdy począł o tym rozmyślać, doznał tak potwornego wstrząsu, że przez pół godziny skręcał się w męczarniach. Tak bolesnej i długotrwałej kary nigdy jeszcze nie otrzymał. Był nią zaniepokojony, jako że wydała mu się ona absurdalna i niezrozumiała. Chcąc dojść sprawiedliwości zapytał guza o jej przyczyny, ale jedyną odpowiedzią był kolejny półgodzinny atak. Od tej pory starał się unikać wspomnień związanych z Rath.

Pewnego dnia obudził się bardzo późno. Rozejrzał się po baraku i ze zdziwieniem stwierdził, że pozostali niewolnicy poszli już do pracy. Nie rozumiejąc przyczyn dla których guz pozwolił mu na dłuższe spanie, zapytał go:

– Czy jestem chory?

– Czekaj i milcz – odpowiedział guz.

Wciąż nic nie rozumiejąc wzruszył ramionami i powoli się ubrał. Po upływie godziny w drzwiach pojawił się pałąkowaty nadzorca. Gestem pokazał mu, że ma iść za nim. Zdezorientowany Young posłusznie podreptał za pokraką starając się jej nie nadepnąć. Weszli do małego pokoju, gdzie nadzorca kazał kapitanowi usiąść, po czym ulotnił się, zamykając za sobą drzwi. Artur siedział nieruchomo, lecz w pewnym momencie poczuł, że dzieje się w nim coś dziwnego. Guz usadowiony w jego mózgu nagle zaczął zmieniać swe położenie i przesunął się w stronę czoła. W następnej chwili zdumiony Young stwierdził, że ucisk przenosi się coraz bardziej ku kości czołowej, przenika ją i nagle rozpływa się w powietrzu. Przez dłuższy czas siedział bez ruchu. Jego umysł był wolny. Nie zdążył się jeszcze zastanowić nad tym, jak mógłby wykorzystać tę sytuację gdy drzwi znowu się otworzyły i do pokoju wszedł inny pałąkowaty stwór. Usiadł naprzeciwko kapitana za niskim biurkiem i zaskrzeczał:

– Sądzę, że w ten sposób łatwiej nam będzie rozmawiać – popukał się w czubek głowy krzywym paluchem.

Artur rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy. Nie sądził, że te istoty umieją się posługiwać jego językiem.

– Więc ty jesteś Artur Young? – zapytała pokraka.

Kapitan w milczeniu skinął głową.

– A jak się nazywał twój ojciec?

– George – odrzekł Young zastanawiając się, do czego tamten zmierza.

Pokraka wyjęła jakieś papiery i zaczęła je wertować.

– Zgadza się – powiedziała wreszcie, a jej bezzębne, zaślinione usta wykrzywił grymas, który przy dużej dozie dobrej woli można było wziąć za uśmiech. – No to pozwól, że się do ciebie będę zwracał „dziadku".

Kapitan szeroko otworzył oczy. Nie wiedział, czy na innych planetach też zdarzają się choroby umysłowe, lecz najwyraźniej ten oto osobnik ma absolutnego fioła. Nie chcąc go drażnić odpowiedział:

– Ależ bardzo proszę...

– Tak, no to pozwolisz, dziadku, że się przedstawię. Jestem Tom Young, naczelnik ludzkości.

Zdumiony Artur wpatrywał się w pałąka.

– Bo widzisz – ciągnął naczelnik – zrobiło mi się bardzo przykro, że mój przodek jest wśród niewolników i zadecydowałem, że przeniesiemy cię do gościnnego apartamentu. W końcu, jakby nie było, jesteśmy rodziną i należą ci się jakieś względy. Jesteś przecież krewnym samego naczelnika, a to ho-ho!... nie byle co!

– Co takiego? – wyjąkał Artur.

– No tak. Czemu się dziwisz? Tu mam wszystko zapisane – ...pokolenia. Wiem nawet, że twój ojciec był architektem i bardzo lubił łowić ryby...

Oniemiały kapitan wytrzeszczonymi oczami gapił się na naczelnika.

– Jak to? Ja... i pan... znaczy, że my... jak to rodzina?

– Zwyczajnie. Jest między nami różnica siedemdziesięciu pokoleń. Posłuchaj, twój syn Robert miał syna Mikołaja, a Mikołaj...

– Ale ja nie mam syna – wymamrotał pobladły Young.

– No, teraz nie masz. Ale kiedyś miałeś.

Oszołomiony Artur zaczynał pojmować. W tym momencie przypomniał sobie słowa Rath, której opowiadał, że Wir przyszedł właśnie w jego czasach. „Taki jesteś pewny?" – zapytała wtedy, a on nic na to nie potrafił odpowiedzieć. Lecz teraz zrozumiał, teraz wreszcie pojął. Jasne... Więc te pałąki... A ten zapluty worek kości jest rzeczywiście jego dalekim potomkiem! Boże święty! – mamrotał pobladłymi ustami.

– Tak, tak – ślinił się stwór. – Tak właśnie było. Miałeś szczęście w nieszczęściu. Gdyby nie ta katastrofa, nigdy byśmy się nie spotkali...

– Katastrofa?...

– Ano prawda... Ty o tym nie możesz wiedzieć. Wcale nie mieliśmy zamiaru robić na Ziemi takiego... no, jakby to powiedzieć, no wiesz, takiego grochu z kapustą. Plany przewidywały wskrzeszenie wieku XXV, ale coś tam nawaliło, pewnie technicy coś sknocili, no i proszę: dinozaury, dzikusy, Rzymianie. Ech! – machnął ręką. – To wcale nie miało tak wyglądać! Po co nam Rzymianie? Nie potrafią nawet porządnie przykręcić śrubki!

Osłupiały kapitan zaczynał rozumieć.

– A po co wam XXV wiek?

– Jak to po co? Przecież ktoś musi pracować. Popatrz na to – podsunął mu pod nos swoją zdegenerowaną łapkę. – Czy uważasz, że tym można pracować? Próbowaliśmy najpierw szukać siły roboczej w kosmosie, ale nic z tego nie wyszło. No więc naukowcy doszli do wniosku, że jedyne rozwiązanie to sięgnąć do rezerw ludzkich. Wyliczyliśmy, że w XXV wieku ludzie byli jeszcze zupełnie sprawni. No ale, jak sam wiesz, nie wyszło. Przed czasem nastąpił wybuch, który wszystko pomieszał, nawet nie zdążyliśmy skończyć budowy emitera kontrolnego.

– Czego?

– Emitera kontrolnego. Trudno przecież oczekiwać, żeby ci wskrzeszeni ludzie dobrowolnie wzięli się do roboty. Trzeba ich jakoś kontrolować i poganiać. No i sam widzisz: siły roboczej mamy pod dostatkiem, a nie możemy jej eksploatować. Każdy robi co chce, większość się nawet nie domyśla, po co ich wskrzesiliśmy. Sądzą, że mogą sobie biegać po lasach i polować na dinozaury.

– Ten emiter to takie coś, co kontroluje niewolników? Te guzy w głowie?

– Tak. Ale ten tutaj jest za słaby. To wersja laboratoryjna. Potrzeba nam urządzenia o dużo większej mocy, żeby objąć od razu całą Ziemię. Żeby wreszcie skończyć to marnotrawstwo siły roboczej... Tak. To się już na szczęście kończy. Emiter jest wreszcie gotowy i w najbliższych dniach włączymy go.

Kapitan zakrył twarz dłońmi. Wszystko to nie mieściło mu się w głowie. Potworne, potworne! – szeptał. Miał ochotę rzucić się na praprawnuka i rozerwać go na strzępy. Choć właściwie, gdy się dłużej nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że trzeba było zacząć wcześniej. Od solidnego przetrzepania skóry temu nieznanemu synowi Robertowi. A ten powinien był w porę sprać swego syna... jak mu tam było? Mikołaja! I tak dalej. Może to by coś pomogło. Ale teraz jest już za późno.

– Kiedy uruchomicie ten emiter? – zapytał drżącym głosem.

– Jutro, najdalej pojutrze. Ale nie martw się dziadku, ty nie będziesz musiał pracować. Jesteś w końcu przodkiem samego naczelnika.

Tej nocy, po raz pierwszy od dawna, kapitan Artur Young miał kłopoty z zaśnięciem. Leżał w ciemności i próbował się skupić. Wiedział, że sytuacja jest beznadziejna, lecz mimo wszystko jeszcze na coś liczył. Na co? Być może na cud. I gdy tak rozmyślał o cudzie, przypomniał mu się pewien drobny fakt, o którym prawie całkiem zapomniał. Być może wytarła mu go z pamięci tresura, której go poddało promieniowanie emitera kontrolnego. Lecz jednak wspomnienie to tkwiło gdzieś na dnie jego świadomości niczym mała iskierka świecąca we wszechogarniającym mroku. Po chwili rozbłysła i zmieniła się w drobny płomyczek, który grzał i dawał nadzieję. Rath... Kiedy myślał o Rath, emiter się zawahał. Może nie zawahał, ale... Young nie bardzo wiedział, jak określić to dziwne drżenie guza w głowie, które poczuł wówczas. Wewnętrzny głos mó[illegible]mu, że mia-

chwili przypomniał sobie słowa dziewczyny „Ja mogę wiele rzeczy". To była ostatnia szansa. Uczepił się jej kurczowo. Zamknął oczy, skupił się i pomyślał „Rath!". Przez chwilę czekał w napięciu. Powtórzył „Rath! Rath!" I nagle gdzieś daleko, a może właśnie wprost przeciwnie – gdzieś głęboko w nim, na samym dnie jego jaźni, coś zadrżało. Jakiś drobniutki listek poruszony słabym powiewem zamierającego wiatru. „Rath!" – krzyknął z całych sił.

– Jestem tu przecież – usłyszał znajomy głos. – Nie krzycz tak!

Ciężko dyszał, jak przy ogromnym wysiłku fizycznym.

– Dlaczego nie przychodzisz? Czekam i czekam... – w głosie kryła się wymówka.

– Nie mogę jeszcze – odpowiedział – ale już wkrótce będę z tobą.

– To bardzo dobrze. Darto też już nie może się doczekać, kiedy cię wreszcie zobaczy.

Uśmiechnął się. Długo jeszcze rozmawiał z dziewczyną i gdy wreszcie zasnął, na jego twarzy widniał uśmiech szczęścia i spokoju.

– To będzie bardzo ważny moment – powiedział pałąk Young. – Rzekłbym, przełomowy...

– Nie wątpię – kwaśno uśmiechnął się jego daleki przodek, kapitan Young, który stał obok z rękami związanymi na plecach.

– Już! – zaskrzeczał potomek w chwili, gdy niezgrabny, chudy palec innego stwora nacisnął zielony guzik.

Lampki urządzenia rozjarzyły się i w tym samym momencie kapitan poczuł na czole znajomy ucisk.

– Możecie go rozwiązać – z uśmiechem rzekł wnuczek. – Jest już pod kontrolą.

Dwa stwory podeszły do związanego Artura i przecięły więzy krępujące jego ręce. Wszyscy stali w milczeniu i uśmiechając się pod nosem wpatrywali się w metalowe pudło aparatu. Young oczami wyobraźni ujrzał dalekie Miasto i jego mieszkańców, którzy nie rozumiejąc, co się dzieje, łapali się za głowy. Widział tysiące, setki tysięcy ludzi powalonych atakiem potwornego bólu. Był jednak spokojny – wiedział, że nie potrwa to długo. Rzeczywiście: po chwili poczuł niewielką zmianę. Nie mógł jeszcze powiedzieć, na czym ona polega, lecz czuł ją wyraźnie. Guz też się chyba zorientował, że dzieje się coś niedobrego, bo gniewnie zadrżał. Ale w tym samym momencie na dnie umysłu kapitana zamigotał drobny płomyczek i nagle zaczął rosnąć. Stał się migocącą kulą, świetlistą bańką mydlaną, która rosła i rosła napierając na złowrogi guz. Kapitan czuł w sobie zaciętą walkę toczoną przez te dwie siły. Guz rozpaczliwie wyciągnął mackę, lecz nie był już w stanie dosięgnąć ośrodka bólu – macka ześlizgnęła się po migotliwej powierzchni kuli.

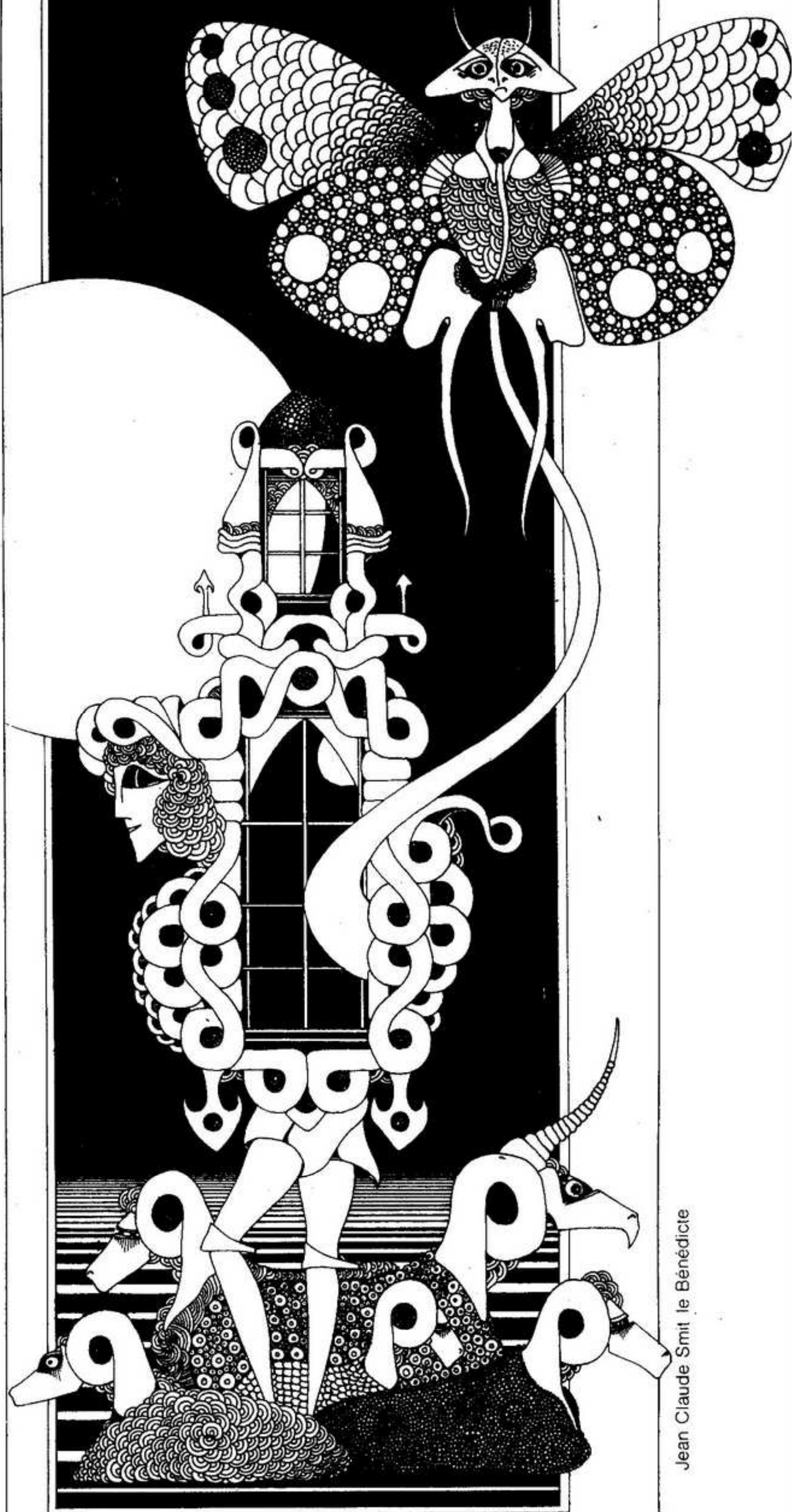
– Pospiesz się! – usłyszał zdyszany głos dochodzący jakby ze środka mydlanej bańki. – Pospiesz się... Nie wytrzymam długo! – głos przeszedł w nieartykułowany jęk bólu.

Kapitan zerwał się z miejsca i skoczył w kąt sali, gdzie dojrzał jakieś metalowe narzędzie. Wydarzenia rozgrywały się z niewiarygodną prędkością, ale jemu zdawało się, że mijają godziny. Jeszcze pięć metrów... potworny wrzask gdzieś w głowie... jeszcze cztery... ognisty błysk w środku czaszki, szamotanina, rozpaczliwy jęk... jeszcze metr... JUŻ!!!

– Prędzej, prędzej, już nie mogę! – chrypiał głos.

Nagły obrót, przestrzeń dzieląca go od kolorowych lampek emitera maleje – jakieś szare oczy, krzywa niezdarna łapka – co to jest? – metalowe narzędzie z trzaskiem wbija się w czaszkę pałąka, który z grymasem przerażenia na twarzy stara się go zatrzymać i zasłonić swym ciałem metalowe pudło aparatu – w głowie łoskot lawiny, wybuch wulkanu – wypełniający go ogień przesłania widok sali – głos w bańce przechodzi w przeraźliwy skowyt – gdzie jest ten cholerny emiter?! – nic nie widać poza upiornymi błyskami – prędzej! – ręka na oślep uderza metalowym narzędziem – jeszcze raz! – mózg kipi, fale ognia przelewają się przez czaszkę – jeszcze raz! – okruchy szkła sypią się na podłogę – czyjaś ręka wpija się w nadgarstek – półobrót, cios – trzask miażdżonej kości – nieludzki wrzask bólu w głowie – jeszcze raz! – uniesiona do góry ręka zaczyna opadać z żółwią prędkością – ostatni krzyk i bańka pęka...

Przez miliardową część sekundy panuje cisza, a potem ciało Artura przenika przeraźliwy ból. Ogniste macki szarpią końcówki nerwów, mięśnie zalewa rozżarzona lawa. Opadającą rękę rwą rozwścieczone stalowe tryby. Ale narzędzie siłą bezwładu przebija pogniecioną obudowę emitera i wdziera się do środka rozrywając kable, miażdżąc podzespoły, łamiąc płytki...



Jean Claude Smit le Bénédicte

Jednakże kapitan nie dostrzegł już tego. Zemdlony padł na podłogę.

Gdy się obudził, stwierdził, że leży na ziemi obok pogruchotanego emitera. Był sam, tylko pod ścianą poniewierały się dwa zmasakrowane trupy pałąków. Wstał i chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz. Świeciło słońce, wiatr burzył korony drzew. Grupa Rzymian wrzucała do głębokiego dołu pokrwawione, drobne ciała zdegenerowanych potomków. W milczeniu usiadł na trawie i zakrył twarz dłońmi.

– Rath? – wyszeptał.

Odpowiedziała mu cisza. Lekki wietrzyk rozgarniał mu włosy na czole, a promienie słońca uspokajająco gładziły jego plecy. Zasłuchał się w szelest drzew.

– Idź! – mówiły drzewa. – Szukaj! Przecież zawsze jest jakiś Las.

Wstał i poszedł. I tyle go widziano.

Wojciech Maziarski

Wyposażenie osobiste Oramusa

„Senni zwycięzcy", debiut książkowy Marka Oramusa, są już w tej chwili jedną z legend nowej polskiej fantastyki naukowej mimo zastrzeżeń, jakie wysuwano pod adresem tej powieści. Z wielkim zainteresowaniem spotkała się również druga powieść Oramusa – „Arsenał", choć też i w tym przypadku wielki talent i swada autora jakby nie otrzymały ostatecznie pełnej i należnej im oprawy. Wyglądało to tak, jakby autor się spieszył, jakby jego temperament, rozsadzające go siły witalne nie pozwoliły na cyzelowanie powieściowej formy, na poszukanie – po jeszcze jednym zastanowieniu – bardziej skutecznych artystycznie sposobów opowiadania (podobnie w „Sennych zwycięzcach" zakończenie powieści sprawia wrażenie kompletnie „puszczonego", jakby autora w pewnej chwili powieściowy zamysł przestał interesować i kończył powieść wbrew sobie, pod presją zobowiązań, terminów...).

Nie znam bliżej Marka Oramusa, ale wydaje mi się – przede wszystkim na podstawie lektury tego, co napisał – że jest to człowiek niezwykłej energii, nękany wiecznym niepokojem wewnętrznym, chimeryczny w związku z tym i niestały, szukający nowych pomysłów, nowych idei zdolnych go porwać, ale też szybko się nimi nudzący. Źle to czy dobrze? Nie wiem. Sądzę, że prozaik powinien być jednak bardziej wewnętrznie skupiony, powinien umieć zapanować nad swym temperamentem, proza to między innymi sztuka cierpliwości, to sztuka wiecznych powrotów i poprawek.

Sądzę jednak również, że ten temperament i energia intelektualna sprawiają, że Oramus jest niezwykle żarliwym felietonistą. Tak, felietonistą, bo Oramus nie jest krytykiem literackim. Wszystkie jego teksty, które ukazały się na łamach „Przeglądu Technicznego" i teraz stanowią przytłaczającą większość tomu „Wyposażenie osobiste" nie dadzą się w żaden sposób upchnąć w ramkach krytyki literackiej. W swoim pisaniu o literaturze fantastyczno-naukowej Oramus bardzo rzadko lub zgoła wcale nie stosuje kryteriów wartościowania estetycznego, artystycznego. On po prostu kocha fantastykę naukową (to się czuje, nawet jeśli nie złożył takiego wyznania wprost) i cały jest z niej zrodzony. I na to nie ma rady. Co i raz ujawnia mimochodem, a może nawet wbrew sobie, jak bardzo go to pochodzenie krępuje, jak ograniczony jest przez to w swoim pisaniu, ale on tu właśnie tkwi.

Tu dygresja: jedną z głównych moim zdaniem cech myślenia ludzi fantastyki o fantastyce jest to, że brak w tym myśleniu kategorii estetycznych (inna cecha tego myślenia, to trwająca do dzisiaj i podzielana także przez Oramusa wiara w związki tej literatury z nauką). W fantastyce liczy się dla tych ludzi pomysł, intryga, wykreowana atmosfera, wiedza autora stojąca za opowiedzianą fabułą, liczy się – dalej – umiejętność opowiadania, zdolność sprawnej narracji konwencjonalnej. I to wszystko. Z reguły nie ma żadnej rozwiniętej świadomości językowej, nie ma artystycznej autorefleksji, nie ma zadumy nad kwestią użytego języka, nad jego ewentualną zmianą. Mówiąc może zbyt brutalnie: cała inwencja narracyjna fantastyki naukowej nie wychodzi poza inwencję Kraszewskiego czy Sienkiewicza (że ograniczę się do rodzimych przykładów). Dosłownie na palcach jednej ręki da się policzyć tych pisarzy, którzy duszą się w tym układzie i szukają nowych sposobów wypowiedzi, wyrażenia siebie. Mniejsza zresztą w tej chwili o to, zostawmy ten temat na inną okazję.

Powiem tylko tyle, że moim zdaniem SF jest typem literatury targanym teraz największymi sprzecznościami, zawierającym w sobie jeden wielki paradoks: przy całej swej artystycznej zachowawczości, nienadążaniu choćby za przemianami współczesnego świata i jego sposobami mówienia o sobie, uzurpuje sobie prawo do wyrażania się o przyszłości bliskiej i dalekiej, uzurpuje sobie prawo do zajmowania się sprawami ogólnoludzkimi, ogólnocywilizacyjnymi, podczas gdy nie rozwiązała na swoim gruncie najbardziej elementarnych problemów współczesnych sposobów wypowiedzi. Uświadomiłem sobie to przysłuchując się smętnym obradom pewnego międzynarodowego gremium autorów fantastyki. Ale koniec z dygresjami. Wracam do „Wyposażenia osobistego".

To, że Oramus nie zajmuje się artystyczną stroną fantastyki naukowej nie jest w świetle wyżej napisanego zarzutem. Jest wyłącznie stwierdzeniem faktu i określeniem pewnego braku ogólnego występującego na tym obszarze. Oramus nie jest krytykiem literackim też dlatego, że nie interesuje go porządkowanie obserwowanej literatury, że albo nie chce, albo nie potrafi tworzyć doraźnych periodyzacji, wymyślać formuł porządkujących, które może po latach zostaną zweryfikowane negatywnie, ale służą aktualnemu oglądowi i bieżącym rozpoznaniom sytuacji. Do tego między innymi powołana jest krytyka literacka, ale Oramus – myślę, że świadomie – unika wypełniania tej powinności, choć przy okazji pisania o „Nagim celu" Snerga wyraża tęsknotę za jakimś perspektywicznym oglądem dorobku pisarzy, prześledzeniem dróg rozwoju. Swoją książkę skomponował jednak tak, by nie być podejrzanym o takie zamiary: teksty o książkach Snerga następują po sobie wprawdzie w porządku chronologicznym, choć przemieszane z innymi, ale już Lem nie został w ten sposób potraktowany: najpierw w „Wyposażeniu osobistym" omówione są „Śledztwo" i „Katar", później „Golem XIV", dalej „Pamiętnik znaleziony w wannie", następnie inne w porządku własnym Oramusa. Dlaczego?

Pewnie dlatego, że Oramus chce tylko zaprezentować panoramę terenu, że jego książka nie jest rozpoznaniem krytycznoliterackim, ale bardziej fanowskim (choć to może nie całkiem o to chodzi) oglądem obszaru i tego, co się działo na polskim rynku SF w latach 1982–1984. Dlatego na równych prawach z książkami nowymi występują tu wznowienia. Dlatego również nie porządkuje swoich tekstów pod względem przynależności do różnych literatur, nie układa ich chronologicznie, nie ustawia tematycznie. Idzie za swoimi własnymi skojarzeniami – niekiedy pewne napomknienia wskazują powód jakiegoś sąsiedztwa tekstów. Wniosek z tego taki, że autor „Wyposażenia osobistego" chce tą książką zaprezentować również samego siebie, że kryje się w niej

Przybysz!

Publiczność Polconu-87 uznała tom „Łysiak fiction" za drugą najbardziej interesującą książkę 1986 roku po powieści Jacka Natansona „Złote Brighton". Co się tyczy Natansona, rzeczywiście jest jego powieść świeża, ciekawie zrobiona – może wywrzeć wrażenie i na czytelnikach i wybrednych jurorach. „Łysiak fiction" natomiast to ten typ literatury (piśmiennictwa?), nad którym masowy czytelnik wesoło rechoce, ale krytyk gniewnie sarka.

Łysiak jest gościem na terenie SF. Wydawnictwa „Alfa" skonstruowały mu tomik z trzech wypowiedzi prasowych na tematy Dänikenologiczno-UFO-logiczne (w tym tylko jednej serio) i czternastu hałaśliwych opowiadanek powstałych do czasopism. Wydawca nazywa je „bajkami surrealistycznymi". Wygląda do nas z tych skleconych w pośpiechu prasowych kawałków autor, który ma dużą wiedzę kulturową i historyczną, ale niezbyt sobie ceni pisarskie rzemiosło, pióro ma efekciarskie, gusta gminne, a wyobraźnię monotonnie erotomańską i kiczowatą.

Na tylnej okładce książki w odautorskim słowie zwiastuje Łysiak nadejście *cudownego Królestwa Bajki, z którego fakty będą musiały odejść w żałobie z opuszczonymi łbami.* „Opuszczone łby faktów"? – coś takiego! – wyglądam za okno i nie podzielam tej pewności. Zwłaszcza że większość Łysiakowych bajeczek to nieświadomy hołd złożony – faktom właśnie. Co prawda nie współczesnym, lecz historycznym. Nawet zamieszczone w książce ilustracje dowodzą jak bardzo autor kocha konkrety i jak lubi się popisywać wiedzą. Łysiak-autor surrealistycznych bajek, podobnie jak w dużo lepszej literacko powieści „Flet z mandragory", jest w swym krótkim fantastycznym pisarstwie więźniem wiedzy i erudycji Łysiaka-popularyzatora. Wykorzystuje w prozie bezsprzeczną wiedzę o epoce napoleońskiej, o Ludwiku XIV, o malarstwie Moneta i Boscha, o inkwizycji, o alchemikach, szaleństwach szachistów, o baśniach z tysiąca i jednej nocy... do zaszczepiania na tym kulturowym szkielecie historyjek w złym guście, w których nie szczędzi nam tzw. grubych efektów i ogranych, sensacyjnych schematów. Każde opowiadanie tego erudycyjnego typu, a ich w tomie większość, składa się z dwu wyraźnie źle spasowanych części – popularyzatorskiej i fabularnej.

Na czternaście opowiadanek zbioru aż cztery rozgrywają wariant przygody mężczyzny, który dopada upragnionej kobiety (bądź kobiet) w cudzym ciele. Rozegrana prymitywnie, wręcz seryjnie, wygląda mi ta obsesja na sztubacką. Podobnie jak ów metafizyczny wątek „przeszczepu duszy" i klasyczne w SF podróże w czasie służą bohaterom Łysiaka do kopulacji bądź do prób poznania lub zmiany historii. Puenta najciekawszego pod tym względem opowiadania „Człowiek w żelaznej masce" jest niestety znana długo przed końcem lektury każdemu kto czytał w „Literaturze na świecie" (nr 2/74) opowiadanie Anthony'ego Burgessa „Muza, historia jak gdyby fantastyczna". Z kolei „Science reality nr 44", kosmiczna zgrywa o alkoholikach-Polaczkach prowadzi nas na krótkim, grubym sznurku do „Inwazji z Aldebarana" Lema. „Animowanie", nieprawdopodobna drama w siedmiu aktach jest niesmaczną, piramidalną bzdurą – relacjonuje tu Łysiak proces wytoczony Disneyowi za demoralizujące seksualnie (znowu!) i politycznie akcenty animowanego filmu „Królewna Śnieżka". „Eliksir młodości" i „Profesora Meadowsa teoria koła" opowiadają o bezwzględnych łowach na spadek. Udany pomysł zmiany biegu historii w „Operacji Waterloo" jest zepsuty początkowym sztampowym do granic możliwości wątkiem kidnapingu przejętym z najgorszych sensacyjnych wzorów. Jest to rysowane za każdym razem grubą krechą, literacko marne, niespójne, autor rozrywa w dodatku tekst natchnionymi inwokacjami do podłości i perfidii. Nawet jego gatunkowe fantastyczne pomysły wyglądają na zużyte, czy wręcz staroświeckie... Jedna tylko rzecz podoba mi się w książce bez zastrzeżeń. Jest to „Cudowna lampa Aladyna" – zgrabny literacko pastisz arabskiej opowieści o kalifie Harun ar-Raszidzie. Tu bohater, władca Fath-Ali, w przeciwieństwie do swego baśniowego pierwowzoru, mimo iż chodzi nocą w przebraniu po mieście, i tak nie pozna życia i prawdziwych myśli poddanych, bo go chytrze zwiodą nieuczciwi doradcy.

Naprawdę nie wiem co począć z Łysiakiem. Podobnie jak jego zadzierzysta eseistyka (której jestem zwolennikiem) także to marne, pospieszne pisarstwo uwodzi jednak publiczność. Jest w tym piekielny paradoks, że autor zafascynowany tzw. kulturą wysoką i kompetentny w jej problemach, bez trudu i zahamowań sprzedaje te problemy w tandetnym opakowaniu. Po podobnych literackich obszarach porusza się przecież Marek Pąkciński. Erudycyjne reminiscencje młodego pisarza wtapiają się jednak w tkankę jego prozy w sposób znacznie bardziej harmonijny, składając się na całość zadumaną i nostalgiczną. A jednak publiczność fanowska wybiera hałaśliwego Łysiaka. Ten autor uparcie stawia w fantastyce na kicz i kiczem wygrywa, podkręca w sobie skrywane przez innych tanie emocje i trafia bezbłędnie.

Łysiak jest przybyszem, przechodniem w gatunku science fiction. Dopiero z tego faktu w połączeniu z fenomenem jego powodzenia, wynikają wnioski przygnębiające. Przecież ta proza może uwodzić tylko tych, którzy z rozrzuconymi w niej informacjami nie zetknęli się wcześniej. Za bardzo podobają się nam łatwe efekty, za mało jesteśmy wymagający. Fanowie – Łysiak przyszedł i poszedł, ale wyście zostali – czytajcie może inne książki, nie poprzestawajcie na seriach SF!

Maciej Parowski

Waldemar Łysiak: *Łysiak fiction.* Wydawnictwa „Alfa". Warszawa 1986. Cena 300 zł.

podobny zamysł, jak na przykład w książce prozatorskiej: autor opowiada o sobie stosując kamuflaże. Tu są one o jedno czy dwa piętra „wyższe" niż w prozie.

Prozatorski rodowód Oramusa jest zresztą widoczny we wszystkim, co pisze w „Wyposażeniu osobistym". Przede wszystkim w tym, że omawiając poszczególne powieści nie stara się iść „w głąb", zajmuje się tym tylko, co w danym momencie ma przed sobą, nie pokazując kontekstu danego faktu literackiego. Nie ujawnia też wyraźnych kryteriów oceny, nie opiera się na będącej jakby poza nim skali wartości, ale ocenia całym sobą, sam dla siebie ustanawia sposoby oceny, „wydziera" je z siebie. Jest to postawa typowa dla – można chyba tak powiedzieć – amatorskiego sposobu pisania o literaturze. Coś z takiej maniery jest na przykład w felietonach książkowych Bohdana Czeszki czy ujawniło się w jeszcze bardziej skrajnej postaci w „Mojej prywatnej historii literatury" Andrzeja Kuśniewicza.

Konsekwencją tego jest też stosunek Oramusa do własnych tekstów. Przygotowując recenzje czy szkice literackie do wydania książkowego z reguły czyści się je ze sformułowań pokazujących ich poprzednie „użycie", poprawia się fragmenty dotyczące jakichś doraźnych spraw. Oramus tego nie zrobił, bo zapewne, jak każdy prozaik, uważa tekst skończony za nienaruszalną, integralną całość. Dlatego kilkakrotnie czytamy w książce o rubryce, w ramach której teksty wcześniej funkcjonowały na łamach „PT" (co to teraz obchodzi czytelnika? Wystarczy informacja we wstępie). Dlatego natrafiamy na opinie, które już straciły aktualność – np. ta o braku nurtu katastroficznego w polskiej SF.

Poczyna sobie też Oramus swobodnie z wszystkimi omawianymi książkami. Kiedy chce, to je po prostu streszcza, bo tak mu się podoba, kiedy indziej nagle zatrzymuje się przy jakimś szczególe i obrabia go na wszystkie strony, kiedy indziej rozważa, jak on sam napisałby na dany temat, co by zrobił znalazłszy się na miejscu autora omawianej książki. Mnie się to podoba. To sprawia, że jest to żywa, z pasją napisana książka. Nie jest zbiorem mdłych recenzji czy szkiców. Oramus miota się na jej kartach, poddaje najróżniejszym emocjom i potrafi to pokazać również poprzez język, jakim pisze. Język, jakim pisze o literaturze Oramus, jest językiem felietonu, językiem pełnym błyskotliwych skojarzeń, bon motów, paradoksalnych stwierdzeń. Niekiedy zaskakuje, niekiedy bawi, niekiedy ryzykownie dociera do granicy dobrego smaku – oto przykład prawie na wszystko: *Proszę zwrócić uwagę* – pisze Oramus – *na dysproporcje w filmach między oddawaniem życia a oddawaniem moczu – pierwsze na porządku, drugiego nie uświadczysz. Całkiem odwrotnie niż w życiu. I nic nie zapowiada rewolucji także i w tej dziedzinie.*

Ot, taki po prostu jest Oramus i za to go lubimy. Taka też jest ta książka: pasjonacka, miejscami porywająca, ale też od czasu do czasu efekciarska i budząca wątpliwości. Pozostawia czytelnika z uczuciem niedosytu, że więcej obiecywała niż dała. Kolejna prezentacja wielkich możliwości, które nie zostały opanowane i poddane dyscyplinie. Ale może tak właśnie jest lepiej? Może gdyby było inaczej, Oramus nie byłby już tym Oramusem?

Leszek Bugajski

Marek Oramus: *Wyposażenie osobiste.* Iskry, Warszawa 1987. Cena 300 zł.

Informuję wszystkich czytelników, którzy wyrazili chęć nabycia mojej książki „Wyposażenie osobiste" (patrz „Fantastyka" 11/87), że ostatecznie akcja spaliła na panewce. Wydawca zachował się jak owa dziewica, skora do flirtu dopóty, dopóki ręka uwodziciela nie sięgnie gumki jej majtek. Mimo wcześniejszych obietnic oddania 5 tys. egzemplarzy w komis, „Iskry" jako warunek transakcji zażądały natychmiastowej wpłaty sumy ok. 1,2 mln zł. Słyszałem, że są osoby, które noszą przy sobie takie ilości gotówki – niestety, ja do nich nie należę. Także Śląski Klub Fantastyki nie dysponował gorącym pieniądzem na ten cel. Czytelnikom należą się przeprosiny, mnie – nauczka, żeby się nie szarpać, bo i tak nic z tego nie będzie.

Marek Oramus

1979 (dokończenie)

Horror (W):

1425. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Mały seans spirytystyczny.* Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss.179, nlb.l. 15 000 egz.

Krytyka, biografie, film (R):

1426. *KATASTROFIZM i awangarda.* Aut.: Jerzy Paszek [i in]. Red.: Tadeusz Bujnicki i Tadeusz Kłak. Katowice. Wyd. Uniw. Śl. 8° ss. 168, nlb. 2. 800 egz. – Dot. m.in. fantast., zwłaszcza: KŁOSIŃSKA Krystyna: *Katastroficzna odmiana powieści popularnej.* s. 57–77.

1427. KUNCEWICZ Piotr: *W poszukiwaniu niecodzienności.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 339, nlb. 1. 5 000 egz. – Współczesna Krytyka Polska – Niektóre rozdziały dotyczą fantastyki lub książek z zakresu „zagadek nauki" (MS).

***1428.** WÓJCIK Andrzej: *Oko Kosmosu. (wybrane zagadnienia topiki polskiej prozy fantastyczno-naukowej).* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 121, nlb. 3. 8 000 egz.

„Zagadki nauki" (MS):

1429. DOMAŃSKI Jerzy: *Zagadka epoki.* Warszawa. Wyd. MON. 32° ss. 171, nlb. 1. 50 000 egz. – Sensacje 20 wieku.

1430. [KONDRATOV Alĕksandr]: *Zaginione cywilizacje.* Tłum. [z ros.] Stefan Machalski. Wyd. IV. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 239, nlb.5, tabl. 29. 30 000 egz. – Na k.tyt.aut.: Aleksander Kondratow.

1431. KRUK Janusz: *Przybył z Kosmosu, aby umrzeć na Ziemi.* Gorzów. Gorzowski Okręgowy Klub Miłośników Fantastyki Naukowej. 8° ss. 61, nlb. 2. 2 000 egz. – Fantazja – Nauka – Przyszłość. – Wyd. przy współudziale ZG SZSP i OKMFiSF.

1432. MOODY Raymond A.: *Życie po życiu.* Tłum. [z ang.) Irena Doleżal-Nowicka. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 156, nlb. 4. 40 000 egz.

Futurologia (F):

1433. BAŃKA Józef: *Cywilizacja – obawy i nadzieje.* Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss. 294, nlb. 6. 10 000 egz. – Motywacje.

1434. [FROLOV Ivan]: *Postęp nauki a przyszłość człowieka. (Próba ujęcia zagadnienia, dyskusja, uogólnienia).* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 183, nlb. 1. 8 000 egz. – Sygnały. – Na kj.tyt.aut.: Iwan Frołow.

1435. *HAYES Denis: Przebłyski nadziei – przejście do ery ponaftowej.* Tłum. [z ang.] Leszek Zienkowski i Zdzisław Stępniewski. Warszawa. Państ. Wyd. Ekon. 8° ss. 381, nlb. 3. 3 000 egz.

1436. KLONOWICZ Stefan: *Człowiek nie jest lemingiem.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 198, nlb. 2. 10 000 egz. – Opowieści 2000 roku.

1437. PETER Lawrence J.: *Plan Petera, czyli Ratujmy świat.* Tłum. z ang. Julita Wroniak. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 207, nlb. 1. 3 000 egz.

1438. PODWYSOCKI Tadeusz: *Radzieckie elektrownie atomowe.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss .126, nlb. 2, tabl. 4, wykr. 4 000 egz. – Opowieści 2000 roku.

1439. SURDYKOWSKI Jerzy: *Groźba, wyzwanie, nadzieja.* Posłowie Andrzej Siciński. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 288, nlb. 3, err. 10 000 egz. – Reportaż, Publicystyka.

1980

SF dla dorosłych:

BALDHEAD Valdemar (pseud.) – zob. ŁYSIAK Waldemar (nazw.).

1440. BORUŃ Krzysztof: *Toccata.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 171, nlb. 5. 50 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka. – W metryczce rok wyd. 1979.

1441. BOULLE Pierre: *Planeta małp.* Tłum. (z franc.) Krystyna Pruska i Krzysztof Pruski. Warszawa. Iskry. 16° ss. 177, nlb. 3. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.

1442. BOYD John: *Ostatni statek z planety Ziemia.* Tłum. [z ang.] Tomasz Mirkowicz. Warszawa. 1979 [antydat.: 1980]. Czytelnik. 16° ss. 189, nlb. 2. 50 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

1443. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Gdy niebo spadło na Ziemię.* Wyd. II. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 280, nlb. 4. 40 000 egz. – SF.

1444. COOPER Edmund: *Testament Overmana.* Tłum. [z ang.] Blanka Kuczborska. Warszawa 1979 [antydat.: 1980). Czytelnik. 16° ss. 144, nlb. 3. 50 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

1445. *CZARNE żurawie.* Aut.: Kirill Bulyčëv [i in.]. Red. Ewa Troszczyńska. Tłum. z ros. Michał Siwiec. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 96, nlb. 4. 40 000 egz. – Stało Się Jutro – opowiadań fantastycznych zbiór dziewiętnasty. – Tyt. okł., na k.tyt. autorzy i tytuły wszystkich opowiadań.

1446. DOMINIAK Ryszard: *Tenegera 3 wzywa SOS.* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 187, nlb. 1. 50 000 egz.

1447. *DRUGI próg życia.* Aut.: Tadeusz Unkiewicz [i in.]. Red. i przedm. Zbigniew Przyrowski. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 375, nlb. 5. 30 000 egz.

GŁOWACKI J.: *Skrzek.* – zob. AF.

1448. GÓRSKA Gabriela: *Pereat mundus, fiat iustitia. Sprawa precedensowa. Błękitna planeta.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 106, nlb. 2. 40 000 egz. – Stało Się Jutro – opowiadań fantastycznych zbiór dwudziesty. – Na okł. tyt.: *Sprawa precedensowa.*

1449. *GROŹNA planeta.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. Aut. Ûrij Nikitin [i in.]. Red. i tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 203, nlb. 1. 50 000 egz. – Biblioteczka „Szczęśliwej Siódemki"..

1450. HANKE Rajmund: *Wielkie dni łotrów.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 171, nlb. 4. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.

1451. HOLLANEK Adam: *Jeszcze trochę pożyć.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 188, nlb. 2. 40 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.

1452. LE GUIN-K [ROEBER] Ursula: *Wszystkie strony świata.* Tłum. [z ang.] Lech Jęczmyk i Zofia Uhrynowska-Hanasz. Wstęp Lech Jęczmyk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 374, nlb. 2. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda. – ASF/AF.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Patkowski Maciej
(ur. 1936)
Prawnik, prozaik

Urodził się 14 listopada 1936 r. w Toruniu. Ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Debiutował w 1958 r. na łamach prasy literackiej. Należał do grupy autorów „pokolenia 56". Wydał kilka powięści o tematyce współczesnej, m.in. „Harmonijka" (1959), „Człowiek w tajnej misji" (1967), „Autobus do Radości" (1968), „Polowanie na kozła" (1970), „Mały diabeł z Batignolles" (1972). Obecnie przebywa w Stanach Zjednoczonych.

W 1963 r. Maciej Patkowski otrzymał nagrodę literacką Ministra Kultury i Sztuki III Stopnia za powieść „Sobótki".

Do konwencji science fiction nawiązuje jego powieść **„Skorpiony"** (PIW, 1959; wyd. 2.: razem z powieścią „Południe", Iskry, 1960). Książka opowiada o przeżyciach człowieka postawionego wobec trudnych decyzji moralnych: ukazuje losy pilota-oblatywacza maszyn wojskowych, który zagubił bombę atomową przewożoną na pokładzie samolotu. Powieść jest nie tylko parabolą o zagrożeniu atomowym, mieści się również w nurcie prozy psychologicznej, „rozliczeniowej" – zadaje pytania o granice kompromisów etycznych i światopoglądowych.

Książka Macieja Patkowskiego była tłumaczona na język rosyjski, estoński, ukraiński i niemiecki.

Bibliografia wybrana:

– W. Leopold, *Uwaga, nowy pisarz* (w:) „Polityka" 1959/46,

– T. Lutogniewski, *Nowe nazwisko* (w:) „Odra" 1959/48.

Pąkciński Marek
(ur. 1960)
Prozaik, dziennikarz

Urodził się w Warszawie 11 sierpnia 1960 r. Uczeń liceum ogólnokształcącego w Otwocku, następnie absolwent Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1984 r. pracuje w redakcji „Polonijnego Świata Młodych". Swoje utwory SF zamieszczał na łamach „Młodego Technika", „Fantastyki", „Na przełaj" oraz w antologii „Wehikuł wyobraźni" (Wyd. Poznańskie, 1978).

Debiutował w 1976 r. (w wieku 16 lat!) opowiadaniem „Turniej" na łamach lipcowego numeru „Młodego Technika", a następnie zbiorem opowiadań **„Owadzia planeta"** (Wyd. Czytelnik 1976; zawartość: Thyretion – Świat mojej wyobraźni, Homo africanus, Zwierciadło losów, Gra w szachy – wersja I, Gra w szachy – wersja II, Most na rzece Yare, Wspomnienie archanioła, Zachowanie się mrówek w czasie apokalipsy, Pejzaż poniżej słońca, Determinizm trzmiela, Wieczór w małym miasteczku, Odrodzenie, Owadzia planeta, Mgła, Odkrywcy niezmierzalnego, Pojedynek, Logika absurdu). W roku 1985 ukazał się jego kolejny zbiór opowiadań **„Ogród pamięci"** (Czytelnik; zawartość: Ogród pamięci, Ci, co ryzykują). Opowiadania były tłumaczone na język węgierski.

Utwory Marka Pąkcińskiego można podzielić na dwie grupy tematyczne: zbliżone do konwencji SF, operujące rekwizytami fantastyki naukowej, mówiące o osamotnieniu, zagubieniu człowieka w Kosmosie (Mgła, Pojedynek, Logika absurdu) oraz teksty refleksyjne, historiozoficzne, sięgające do różnorodnych motywów, wątków kulturowych (Ogród pamięci, Thyretion – Świat mojej wyobraźni; zob. też: Przypadek Ewarysta, „Fantastyka" 12/87). Sporo tu nawiązań do prozy iberoamerykańskiej, tajemniczych, nieokreślonych, borgesowskich wizji świata – labiryntów historii, przypadku, przeznaczenia, po których błądzi człowiek. Opowiadania Marka Pąkcińskiego są zarówno przypowieściami, jak i pastiszami motywów literackich, świadectwem erudycji autora, który próbuje przedstawić wędrówkę toposów humanistycznych.

Bibliografia wybrana:

– B. Parobczak (w:) „Tygodnik Kulturalny" 1976/42,

– J. Rogoziński (w:) „Literatura" 1976/48,

– T. Żółciński (w:) „Fakty 76" nr 44,

– D. Kirsch (w:) „Student" 1976/26,

– Z. Mikołejko (w:) „Nowy Wyraz" 1977/2.

Skorpiony

Maciej Patkowski

Szerokim kręgiem zawisł nad bazą (...). Z bojowego pułapu miał zejść na pułap wyczekiwania. Zamknął regulatory mieszanki. Maszyna ze świstem pochyliła się do ślizgu. Nagłe przyśpieszenie wywołało nową falę wymiotów, której nie mógł powstrzymać. Wysokościomierz przeskakiwał z cyfry na cyfrę, a Herbertem wstrząsały wymioty. Dusił się w ciasnej klatce hełmu i chciałby go już zdjąć i odłożyć poza siebie (...).

Miał za chwilę rozpocząć przygotowania do sprowadzenia statku na ziemię. Kilkadziesiąt czynności musiał wykonać sam jeden, a niektóre z nich winny być dokonane równocześnie. Bez pomocy drugiego pilota i radiowca, który w czasie lądowania stał za fotelem z tyłu jako nawigator, nie wiedział jak to zrobi. Rozkaz otrzymany w komendzie ruchu nie przewidywał podobnych okoliczności.

Robił wszystko bez pośpiechu, ale i bez irytacji.

W dole zobaczył uciekający pod stery zielonkawo rozjaśniony pas betonu. Wszystko tam było gotowe. Ludzie, wozy; instrumenty namiarowe ścigały go bezustannie, chociaż tego nie mógł rozpoznać.

Bał się ziemi, bał się zetknięcia z nią. Była przecież tą samą ziemią, w którą zaryło się żądło zarazy.

Nie rozumiał siebie. Oczekiwał czegoś, co jego zdaniem powinno stać się z chwilą, gdy statek dotknie podwoziem ziemi. Ona już nie jest taka, jaką zostawił startując. Do tamtej ziemi nie ma powrotu. Czy zrozumieli ci na dole, że ziemia usunęła się, to nie jest ta ziemia, dobra, pachnąca ziemia, po której chodzi się i wraca się do niej jak dziecko wraca do domu, w którym jest matka. „Na pewno to rozumieją i czekają na mnie, pilota, żeby zwalić winę. Trzeba znaleźć winnego i zniszczyć, żeby ziemia była znowu jak dawniej".

W słuchawkach głos wzywający do lądowania. Zaczęły trzaskać cyfry, meldunki.

Musiał zmienić się w robota z rozumem, spieszyć się, aby zdążyć z operacjami na dziesiątkach przyrządów.

Ani chwili już nie zostało na kontemplację. Nieczego nie da się cofnąć lub choćby przedłużyć. Głos w słuchawkach ponaglał, mimo że ani razu nie padło słowo – spiesz się...

Poznał hełmiste wzgórza pustyni. Szosę jak asfaltowa rzeka o zamarzłej powierzchni... Już płyta. Ziemia blisko, blisko, szybka i nieuchwytna, gnająca do tyłu, wciąż jeszcze nieosiągalna.

Maszyna uderzyła o beton. Odbiła się pod kątem nieco szerszym niżeli to było dozwolone. Spadła jeszcze raz, ale już mocno przylepiła się do jasnego strumienia betonu. Podwozie wytrzymało jednak ciężar upadku.

Herbert czekał na ostatnie sekundy, wlepiwszy oczy w strzałkę żyrokompasu. Gdy nadszedł czas, wyrzucił spadochron, który z tyłu rozwinął się w białą kopułę nadymaną pędem i strachem.

Kilometry startingu biegły coraz wolniej.

Na skraju lądowiska Herbert pchnął maszynę prawym silnikiem i sprowadził z głównego pasa. Powiedział do mikrofonu „podać czas lądowania", i nie zaczekał na odpowiedź.

Uwolnił się z pasów fotela. Wstał, czując jak krew ucieka mu z głowy. Niepewnym krokiem opuścił kabinę. Zwolnił zatrzask wyjścia. Rozsunęła się aluminiowa drabinka.

Zeskoczył na ziemię.

Stanął na betonie, a później ruszył przed siebie.

Noc była chłodna, a powietrze idące znad zatoki głębokie i soczyste, nawet wydawało się słone, bo na wargach zostawał gorzkawy posmak. (...)

Był zaczadzony. Powietrzem, nocą, nagłą ciszą, spokojem, twardą ziemią i nieustępliwą pod stopami, jazgotem głodnej pustyni, ale nade wszystko – spokojem i ciszą.

Nogi nie chciały słuchać poleceń, a w kolanach jakby nie było stawów.

Musiał przystanąć. Kręciło mu się w głowie. Przetarł dłonią oczy. Światła portu rozmazały się zupełnie, jak wtedy, gdy kropla deszczu stacza się z rzęs.

Nagle ziemia zachwiała się pod nim.

Wyciągnął ręce, by utrzymać równowagę. W głowie zadrżało wszystko i stracił orientację, gdzie beton, gdzie światła portu, dokąd sięga niebo. Wszystko zmieszało się w świadomości. Skronie raz po raz przeszywał ostry ból, niczym głuche uderzenia.

Ocucił się po chwili. Klęczał pośrodku startingu w zielonkawej poświacie.

Dalej przed sobą dostrzegł tę zieloną rzekę o szklanej powierzchni.

Wydało mu się, że tam, gdzie rozpoczynał się mrok, coś się poruszyło.

Przeszedł kilka kroków.

Wtedy zobaczył, że idzie szosą, gładką, asfaltową szosą. Po obu stronach rosną smukłe szumiące drzewa.



Andrzej Brzezicki

Naraz pojawiły się oczka świateł. Gnające w jego stronę, żywe, oszalałe w zawrotnej szybkości.

Wyciągnął znowu ręce, żeby zasłonić się przed burzą wściekłych świateł. Pędziły wozy. Mijały go jakoś tak z ubocza, prawie ich nie dostrzegał, gdy już powinny wpaść nań i stratować, zrównać z asfaltem.

Usłyszał: brzęk, hałas, trąbienie, żelazne obręcze, cienki gwizd opon, człapanie koni, wrzask dziecka...

Zasłonił się ręką i krzyknął świszczącym głosem:

– Nie!...

Zacisnął do bólu powieki, a gdy spojrzał znowu, szosy i uciekinierów już nie było.

Spostrzegł natomiast w głębi startingu czekających ludzi. Szedł im naprzeciw. Gdy spojrzał uważniej, zauważył, że ludzie nie siedzą i nie czekają, lecz także idą. Niepewnie, ociągając się, lecz nieustanne zbliżają się do niego. Mógł już rozpoznać pierwsze sylwetki, szare kitle, czarne kurtki, piaskowe prochowce.

Zatrzymał się. Oni byli coraz bliżej.

Nagły dreszcz wstrząsnął całym organizmem, aż zakłuł w naskórku głowy, w uszach i w samych końcach palców.

Ludzie, którzy szli, mieli szczurze mordki. A właściwie to nie ludzie, lecz szczury człapiące w ludzkiej postawie. Tylko ręce ludzkie...

Przyglądał się mordkom niosącym zarazę. Wstręt ponownie zwalił go z nóg.

Uniósł się na klęczkach i czekał, aby nadeszły. Jak tylko zdołał ogarnąć wzrokiem, wszędzie nie kończący się pochód owych szkaradnych głów, które wychynęły nie wiadomo skąd.

Pierwsze szeregi już na wyciągnięcie ręki. Czuł w nozdrzach zatykający smród.

Upadł, aby nie patrzeć.

Skoro podniósł się, na drodze nikogo nie było, pochód przewalił się ponad nim, ominął bokami, pozostał w tyle.

Szybko więc ruszył naprzód, na ile tylko pozwalały mu sztywne w kolanach nogi i dygocąca głowa. Spieszył się coraz bardziej, aż oddech wydarł się z płuc nierówny, chrapliwy i wciąż krótszy.

Przystanął. Pas betonu znowu nie był pusty.

Maleńkie czerwone oczko. W miarę jak bacznie przyglądał mu się, nabierało życia, a jego blask, chociaż nikły, był niemal kłujący. Nim zdołał zastanowić się, już były dwa oczka, jedno obok drugiego. Wyglądały jak jarzące się węgle wyrzucone na drogę.

Postąpił kilka kroków. Zachłysnął się urywanym oddechem i krwią idącą do twarzy.

Spoza czerwonych oczek wynurzyły się długie wąsy, potem odnóża, za którymi czaił się odwłok skorpiona. Duży skorpion zdolny rozczapierzonymi łapami powalić człowieka, aby później zadać cios ostrym końcem długiego, zakręconego odwłoku wypełnionego śmiercią.

Skorpion siedział na drodze i patrzył czerwonymi oczkami matowo, beznamiętnie, kamiennie, chociaż uważnie.

Nieco dalej ukazały się nowe ślepia – jak martwe koraliki. Wypełzł drugi skorpion, gdzieś z boku i zaczaił się poza pierwszym na asfalcie.

Nie wiedział jak długo patrzył, ponieważ utracił pojęcie czasu.

Bydlaków z szerokimi oczyma i zadartymi odwłokami przybywało. Cała ich procesja wyległa na asfalt i czekała co uczyni pierwszy.

To co było poza jego plecami, dla Herberta nie istniało. Nie przyszło mu do głowy, żeby zawrócić i uciec, dopóki serce nadąża z pracą.

Bał się ruszyć ku przodowi, bał się pozostać w miejscu, aby nie zniecierpliwiły się skorpiony, a zwłaszcza ten pierwszy.

Właściwie przestał teraz istnieć. Cały skupiony był we własnym wzroku, który przylepił się do skóry skorpiona pokrytej wstrętnym meszkiem.

Oczy Herberta nie nadążały w śledzeniu dwu naraz wyciągniętych odnóży nieruchomego skorpiona.

Wtedy nagle czerwone oczka poruszyły się. Zwęziły, zbiegły do siebie w przedwczesnym uścisku. Odnóża drgnęły.

Herbert runął twarzą na beton.

Słaby powiew zgarnął z lotniska suche trawy, miótł nimi po startingu, ciskał w lampy sygnałowe, rozjaśnione czerwonym blaskiem po obu stronach płyty. Ukośne promienie księżyca, wiszącego tuż nad hełmami pustyni, ślizgały się po gładkiej nawierzchni. Minuty spadały jak błędne gwiazdy z nieboskłonu.

Gdy odzyskał świadomość, najpierw poczuł łagodny chłód betonu przenikający czoło, policzki i wargi. W ustach trzeszczał piasek i zamieniał się w papkę zmieszany ze śliną i krwią.

Uniósł głowę, jeszcze drżącą nerwowo. Usiłował podnieść się na rękach, ale nie władał nimi. Przywarł więc znowu do twardej chłodnej drogi.

Pachniało intensywnie ziemią. Rozpoznał w tej silnej woni zapach znad jeziora po skoszeniu pszenicy, zapach Michiganu w letni wieczór i posmak spalenizny idący od zwęglonych badyli pustynnych. To była ta sama ziemia, która go tylekroć odurzała i którą użądlił, i która znowu przyjmowała go charakterystycznym oddechem uspokojenia i pewności.

Dźwignął się na łokciach, na dłoniach, ukląkł. Otarł z kombinezonu płaty śliny zmieszanej z krwią i wstał.

Zaczerpnął szeroko powietrza, rozejrzał się.

Wtedy spostrzegł, że stoi pośrodku dwu szpalerów zielonych świateł pasa startowego.

Odwrócił się i dopiero teraz usłyszał narastający łoskot.

Maszyna ziejąca jamami silników dotknęła kołami płyty, ostro gnała naprzeciw niego. „Tamci nie zdążą poderwać się, a ja nie zdołam uskoczyć. Więc na koniec miałem szczęście".

Maciej Patkowski „Skorpiony", (w:) M. Patkowski, „Południe. Skorpiony", Iskry 1962, wybór ze stron 267–274.

Opracował
Andrzej Niewiadowski

Roger Caillois (ur. 1913), francuski socjolog i filozof, jest również pisarzem i krytykiem o ogromnej erudycji i szerokich zainteresowaniach obejmujących m.in. problematykę literatury science fiction. Redaktor naczelny międzynarodowego periodyku filozoficznego „Diogenes" redaguje serię „La Croix du Sud" poświęconą pisarzom Ameryki Łacińskiej. Autor licznych prac i szkiców (m.in. „Le rocher do Sisyphe", „Description du marxisme", „Art poétique", „Vocabulaire esthétique", „Le mythe et l'homme", „L'homme et le sacré", „Les jeux et les hommes", „Instinets et société". Na język polski (prócz wielu artykułów publikowanych w czasopismach naukowych) przełożono jego dwie książki „Odpowiedzialność i styl" (1967) oraz „Żywioł i ład" (1973) – obie ukazały się nakładem PIW-u.

Rozważania Rogera Caillois dotyczące prozy fantastyczno-naukowej, przywoływane w dziesiątkach prac o literaturze science fiction, są już klasyką w teorii gatunku i właściwie każdy szanujący się badacz musi do nich nawiązać: odrzucić je, przekształcić bądź zaakceptować. Przypomnijmy: francuski filozof twierdzi, że baśń spoczywa w świecie magicznym, w którym nie istnieje różnica między nadprzyrodzonym jako niemożliwym, a przyrodzonym jako możliwym – innymi słowy: bajka zna tylko „jeden porządek rzeczy". Inaczej w „horror story": przybycie zjawy zza grobu oznacza strzaskanie istniejącego porządku – lęk, jaki budzi w nas taka fantastyka wynika z rozbicia przyrodzonego ładu, istoty naszych przekonań na temat tego, co możliwe, a co niemożliwe. Science fiction też szokuje, ale stosuje szok z odwołaniem, twierdzi, że „nadprzyrodzone" zjawiska mogą być rzeczywistymi „gdzieś i kiedyś" – wyjaśnia zatem „pęknięcie" w realnej wizji świata w sposób empiryczny.

Prace Rogera Caillois dotyczące prozy fantastyczno-naukowej były tłumaczone na język polski („Definicja fantastyki", przeł. J. Lisowski, w: „Twórczość" 1958/10 s. 91–97; „Od baśni do Science Fiction", przeł. J. Lisowski w: R. Caillois: Odpowiedzialność i styl, Warszawa 1967, s. 31–65). Mimo wielu lat, jakie upłynęły od ich publikacji, zainteresowanie przesłaniem, jakie niosą, jest ogromne. Zmagali się z propozycjami Caillois tacy teoretycy gatunku, jak Ryszard Handke, Stanisław Lem, Andrzej Zgorzelski. Tym bardziej znaczące będzie przedstawienie niepublikowanego w Polsce wywiadu z francuskim teoretykiem, zamieszczonego w czasopiśmie „Le Monde" nr 24/1970 oraz obszernych fragmentów drugiej części szkicu „Od baśni do science fiction" również nieznanej polskim czytelnikom, pochodzącej z tomu „Obliques, précédé de Images, images..." z roku 1975. Roger Caillois rozwija tu i uzasadnia swoje wcześniejsze przemyślenia, próbuje ukazać przyczyny, dla których baśń ustąpiła miejsca fantastyce, a następnie literaturze science fiction.

(an)

Science fiction

Roger Caillois

W moim poprzednim szkicu, „Od baśni do science fiction" starałem się pokazać wewnętrzną spójność i powiązanie chronologiczne baśni, opowiadań fantastycznych oraz utworów o charakterze antycypacji czy ekstrapolacji naukowych. Reprezentują one trzy style wyobraźni i we właściwy im sposób (użyłem tu porównania do form odlewniczych) odzwierciedlają najważniejsze momenty zmieniającej się sytuacji człowieka na jego planecie, zgodnie z tym, jak za każdym razem on sam, mniej lub bardziej naiwnie, ją sobie wyobrażał. Najpierw opisał siebie jako istotę słabą i pełną podziwu dla otaczającego świata; następnie, dumny ze swej wiedzy i techniki, uznał się za szczęśliwego zdobywcę planety; na koniec wreszcie zdał sobie sprawę ze swego osamotnienia i przypadkowości swego losu w niezmierzonej przestrzeni gwiezdnej, w chwili, kiedy właśnie próbował stawiać w niej pierwsze kroki. Badając te kolejne mitologie, z których każdą tak łatwo zidentyfikować, podkreśliłem wówczas niemal wyłącznie kontrast pomiędzy dwiema pierwszymi i próbowałem określić na czym polegało przejście od jednej do drugiej. Usiłowałem wyjaśnić w jaki sposób i dlaczego historie o duchach przyszły w miejsce historii o czarownikach, lecz w zasadzie pominąłem zbadanie przyczyn, dla których historie o duchach ustąpiły z kolei miejsca historiom o wszechświecie i istotach pozaziemskich. Chciałbym teraz te braki uzupełnić.

★

W ferworze mego rozumowania przyjąłem, że science fiction reprezentuje trzeci etap w dziejach literatury, za pośrednictwem której człowiek określa swą rolę w kosmosie, a tym samym wyraża to, czego mu brakuje, podobnie jak i to, co go niepokoi, w jeszcze większym stopniu niż możliwości, jakimi naprawdę dysponuje oraz niepowodzenia, jakich rzeczywiście doznaje. Innymi słowy utrzymywałem, że science fiction jest całkowicie zdolna przejąć tę funkcję po baśni i fantastyce. (...)

Faktem jest, że nauka nie jawi się już wyłącznie jako wspaniałe narzędzie zapewniające naszemu gatunkowi władzę nad planetą, lecz również jako porażka, stwarzająca groźbę bądź wysadzenia tejże, bądź uczynienia jej niezdatną do zamieszkania. Otóż w tym właśnie momencie pojawia się nowy rodzaj opowiadań, całkowicie różniących się zarówno od bajek przeznaczonych do bawienia dzieci, jak i od opowieści wykorzystujących zjawiska nadprzyrodzone w celu wzbudzania dreszczu przerażenia u dorosłych. Podobnie jak kiedyś w historiach o duchach, również i tutaj bardzo charakterystyczna tematyka pozwala – mimo pewnych nieuniknionych powtórzeń – z miejsca odróżnić nową metodę. Z pewnością nie chodzi tu o przypadek, tylko raczej o przejęcie funkcji. (...)

Wojny kosmiczne, ekspedycje gwiezdne, wyprawy w przeszłość lub w przyszłość, wyimaginowane antycypacje i ścisłe ekstrapolacje, wymykające się spod kontroli i mściwe maszyny, biochemiczne przekształcenia organizmu, sarkastyczna i złowieszcza futurologia, wyszukane problemy teoretyczne, oto jak przedstawia się zbijająca z tropu różnorodność literatury, którą zgodnie nazywamy science fiction. Skoro spontanicznie nadana została jej jednolita nazwa, z pewnością kryje się w niej jakiś wspólny mianownik. Co więcej, jeśli któryś z jej różnorodnych elementów występuje w jakimś utworze wcześniejszym, u niedawnych prekursorów, jak Wells czy Verne, względnie u autorów dawniejszych, jak Swift czy Voltaire, to natychmiast każdy uświadamia sobie, nie umiejąc zresztą tego wyjaśnić, że pomimo niewątpliwych, uderzających zbieżności nie jest to jednak zupełnie to samo, i że przebija tu całkiem inny ton.

★

Począwszy od zagadkowych, względnie oburzających zdobyczy topologii, teorii względności, czy fizyki kwantowej, wyprzedzających nawet spektakularne perspektywy związane z bombą atomową i podbojem kosmosu, wiedza teoretyczna nie przypomina już – ani z racji swych nowatorskich oświadczeń, ani wspaniałych sukcesów – owego imponującego gmachu odkryć otwierających przed człowiekiem nowe możliwości, zapewniających mu dobre samopoczucie oraz władzę. Zaskakuje go, niepokoi, chwilami przeraża. Od genetyki po elektronikę, od biologii po wybuchy atomowe, wydaje się brzemienna straszliwym zagrożeniem. Czyż nie z takiego właśnie przewrotu w rozproszonej świadomości szerokiego ogółu zrodziły się psychologiczne uwarunkowania science fiction? Zupełnie tak samo, jak triumf metod eksperymentalnych spowodował zastąpienie cudowności przez fantastykę, dzięki literackiemu wykorzystaniu lęku przed siłami demonicznymi, które zawsze zdawały się nieprzejednane i bezustannie przyczajone.

Tym razem zwrot polega na tym, że przerażenie czy tajemnica nie biorą się już z naruszenia naturalnego porządku rzeczy przez istoty całkowicie mu się wymykające, lecz rodzą się z bezpośrednich skutków najściślejszej analizy i odkryć najdokładniej potwierdzonych.

Łatwo to przejście prześledzić. Możliwość stawania się niewidzialnym, to odwieczne marzenie człowieka. Najpierw dar ten przynależy do cudowności. Jak w przypadku pierścienia króla Gygesa czy opowieści, w których czapka, płaszcz lub talizman chroni noszącą go osobę przed cudzym wzrokiem, podczas gdy ona sama może obserwować kogo zechce. Fantastyka przystosowuje ten temat do własnych potrzeb: przenosi go z zaczarowanego świata w świat zwyczajny, i czyni jego podmiotem już nie jakiś przedmiot magiczny, lecz serum wyprodukowane w laboratorium, o skutkach dających się wyjaśnić prawami fizyki i chemii. Jeśli chodzi o science fiction, to jest ona zmuszona z pomysłu tego zrezygnować. Nie dość, że zastanawia się czy pierścień lub płaszcz same nie pozostają widzialne. Dochodzi także do wniosku, że niewidzialny człowiek musi być niewidomy, bo jeśli promienie świetlne przenikają przez komórki siatkówki, to nie mogą na nie oddziaływać. Tym samym wynalazek traci sens, ponieważ chodziło o pokazanie istoty, która widzi, sama nie będąc widzianą. (...)

Science fiction, jak sama nazwa wskazuje, nie może odwoływać się do negotium perambulans in tenebris z Psalmu XC, do nieprzejednanych i przerażających mocy, które błądzą w ciemnościach rozciągających się poza granicą śmierci i poza zasięgiem nauki. Podobne siły kpią sobie z praw rządzących materią i życiem, zupełnie nie dotyczy ich fizyka, biologia czy inne nauki.

Z miejsca im się wymykają. W całym arsenale technicznym i naukowym nie ma takiego środka, który mógłby powstrzymać potęgę równie obcej natury. Wszystko to, co stanowi specyfikę science fiction – czym charakteryzuje się przewrót, będący przedmiotem tworzonej dziś przez nią mitologii oraz archiwum, którego dostarczy ona jutro – wymaga, by od początku odrzuciła działanie istot pozbawionych podłoża materialnego, tych właśnie „istot" lub „rzeczy", na których opierała się fantastyka. Ich obecność wykluczają reguły nowej gry narzuconej przez czytelników, których wrażliwość na zjawiska nadprzyrodzone powoli osłabła, i którzy na koniec już tylko od odkryć naukowych oczekują tajemnic i strachu, zagadek i grozy, zdolnych ich przejąć i wzbudzić w nich dreszcz przerażenia. Niezrozumiałość, Przerażenie, nie występują już w postaci sił, które kpią sobie z rzeczywistej nauki, dla jakiej zresztą Niesamowitość nie jest już czymś obcym. W rzeczy samej Przerażenie, Niezwykłość, są obecnie jej sprawą wewnętrzną, niemal zasadniczą; to jej najbliżsi przyjaciele. Mogą się nawet okazać bardziej naukowe niż ona sama. Wygląda na to, że nigdy nie robią nic innego, jak tylko uprzedzają jej argumenty, odkrycia, jeśli nie osiągnięcia najbardziej zatrważające. (...)

Zadanie science fiction – z którego niewątpliwie wywiązuje się ona na przemian z rutyną, bądź z niebywałą zuchwałością – wymaga, by naginała do swych powinności literackich ślepe zaułki hipotez i spekulacji nauki, jako takiej. Jak każda literatura nierealistyczna i częściowo kompensacyjna, potrzebuje ona świata innego, a równocześnie patetycznego, niepewnego (lecz niewzruszonego w granicach przyjętych konwencji), gdzie ryzyko byłoby możliwe, opłacalne w swej brawurze i powtarzalne, jednym słowem podlega ogólnym regułom rządzącym działalnością o charakterze ludycznym. Co za tym idzie, od początku powołana została do kupczenia wiedzą uniwersytecką i dysputami uczonych, pod postacią konkretnych sytuacji albo wymownych obrazków. Co wynikło z podobnego wyzwania, które można równie dobrze przyjąć w sposób niefrasobliwy, jak i próbować stawić mu czoła w całej jego surowości? Zrozumiałe, że rezultaty bywają tutaj rozmaite, gorsze i lepsze. We wszystkich przypadkach daje się odczuć ten sam przymus, który nadaje science fiction jej osobowość. (...)

★

W tym miejscu dostrzegam drugi zasadniczy element science fiction, w postaci idei wielości możliwych wariantów. W dziedzinie historii jest ona powszechnie – z wyjątkiem przypadków upartego i niepoprawnego determinizmu – zaakceptowana, niezależnie od tego, że wszystko, co raz się zdarzyło nie da się już wymazać i na zawsze wyklucza wszelkie inne możliwości, jakie mogły były zaistnieć na jego miejsce. Z tego właśnie względu uciekanie się do podróżnika w czasie celem urzeczywistnienia wirtualnej wersji historii stanowi wyłączny przywilej science fiction. Ta ostatnia okazuje się jeszcze bardziej wierna samej sobie, kiedy wielością możliwych wariantów zastępuje każde rozwiązanie, które dla nas zrozumiałe jest samo przez się. Ponieważ znamy tylko to jedno, nie przyjdzie nam do głowy żeby wymyślać inne. I tak jest z naszą Ziemią, jej biosferą, geologią, fauną i florą, magnetyzmem. Z obrazem nas samych, oraz naszej natury zwierzęcia obdarzonego zdolnością myślenia, odczuwania i artykułowanej mowy. (...)

Autor, a następnie czytelnik, za każdym razem może wymyślać jakąś niezwykłą, a równocześnie wiarygodną przyrodę, rozmaite anatomie i fizjologie, całkiem nowe systemy nerwowe i sercowo-naczyniowe, lub sposoby rozmnażania się, które byłyby jeszcze bardziej proste niż przez podział, czy też bardziej patetyczne niż współpraca os i orchidei. Pisarz ma prawo ustalać podstawowe założenia fikcyjnego kontekstu wedle własnego uznania, lecz następnie obowiązany jest ściśle ich przestrzegać w toku opowiadania i w szczegółach opisów. Powinien stworzyć spójną całość, gdzie wszystkie elementy byłyby wzajemnie powiązane i tworzyłyby układ zamknięty. Zadanie takie jest praktycznie niewykonalne. W zasadzie wymaga ono wiedzy wręcz encyklopedycznej, oraz bezgranicznej wprost wnikliwości. Tym samym wytycza tylko jeden kierunek działania, stanowiąc zakład, który rzadko bywa akceptowany, a jeszcze rzadziej przyjmowany. Niemniej wydaje mi się, że podobne wyzwanie jest jedną z podstawowych sprężyn science fiction, rzekłbym nawet, że niemal jej główną motywacją.

Takiemu stylowi rozumowania odpowiadają określone przez aksjomatykę reguły i metody postępowania. Prowadzi on do traktowania wszystkiego jako szczególnego przypadku w długiej serii nie mniej uzasadnionych ewentualności. Skłania do poszukiwania, a jeśli to możliwe do wyliczenia rozmaitych odpowiedzi, czyniących zadość takiemu czy innemu oświadczeniu. Wymienić, posegregować różnorakie ewentualności, a nawet – jeśli uznało się, że określona została zasada umożliwiająca wywiązanie się ze wszystkich zobowiązań – je wydedukować, na tym właśnie polega metoda analityczna, z którą science fiction już nas oswoiła, choćby nawet czyniła to w sposób pobieżny czy wręcz karykaturalny. Przyzwyczaiła czytelnika do stawiania problemów w całej ich abstrakcyjnej ogólności, z całkowitym pominięciem jego własnej percepcji i doświadczenia. Skłania go do odrzucenia wszelkich uprzedzeń i brania pod uwagę rozwiązań na pierwszy rzut oka najbardziej zaskakujących. Rozszerzenie zakresu problematyki do skali kosmicznej prowadzi do złagodzenia rygorów stwarzanych przez logikę. (...)



Maciej Dworak

Fantastyka z początku wolała nadprzyrodzoność wytłumaczoną od niewytłumaczalnej, będącej przecież jej własnym oryginalnym wytworem: stąd przerażające inscenizacje, tajemnicze poświaty, szczęk łańcuchów, czy odziani w całuny statyści, a także uciekanie się do hipnotyzmu czy halucynacji, co równie dobrze traktować można jako przejaw nieudolności czy herezję. Tak samo science fiction znajduje dziś upodobanie w bezsensownym przenoszeniu w kosmos powieści płaszcza i szpady, i opisywaniu porachunków pomiędzy wrogimi galaktykami. W lodowatej przestrzeni niestrudzenie powtarza ona epopeję Dzikiego Zachodu. Ukazuje wady lub śmiesznostki naszych instytucji i obyczajów, umieszczając je w odległych kontekstach albo opisując katastrofy, których nadejście nieuchronnie one przyspieszają. Za przykładem Julesa Verne'a, antycypuje postęp techniki i przewiduje coraz potężniejsze, coraz bardziej udoskonalone rodzaje broni, maszyn, statków kosmicznych. Te ostatnie proroctwa zazwyczaj spalają na panewce. Szybko dogania je zwyczajny przemysł.

Lecz jeśli nawet w tej konkretnej kwestii mam słuszność, proponując uznanie za podstawowy bodziec inspiracyjny science fiction postawy intelektualnej opartej równocześnie na wyłącznym autorytecie rzeczywistej wiedzy oraz na wielości możliwych wariantów, jakie by się one początkowo nie wydawały oburzające, to pozostaje jeszcze ustalić dlaczego w rozproszonej świadomości ogółu rozpowszechniło się podobne upodobanie oraz jakie przeczucie albo utajone przekonanie kryje się za tak powszechnym i tak głębokim zainteresowaniem, które można porównać do tego, które w ubiegłym wieku spowodowało rozwój fantastyki.





Odpowiedzi dostarcza już sam przegląd dających się tu wyróżnić głównych tematów, a zwłaszcza ogólny wniosek, niezmiennie nasuwający się przy całej różnorodności opowiadań: człowiek zostaje tu przywołany do porządku. Nie jest już wiernym obrazem Stwórcy, lecz jednym z tysięcy stworzeń krzątających się na jedej z tysięcy asteroidów. Stworzył naukę, aby podporządkować sobie swój świat. Zapewnił sobie władzę nad jego fauną i florą. Panuje nad atomem i zjawiskami biologicznymi. Lecz w zamian za to stanął w obliczu zagrożeń, w postaci pocisków nuklearnych, przeludnienia, zanieczyszczenia środowiska naturalnego oraz maszyn, które wyprodukował, żeby za niego wykonywały określoną pracę, żeby za niego liczyły, przewidywały, a których pozornej inteligencji w dość niedorzeczny sposób się obawia, skoro przecież istnieją one wyłącznie dzięki jego własnej. Bogata literatura utwierdza go w przekonaniu, że komputery, owo zwyczajne, przez niego samego zaprogramowane żelastwo, zamierzają go sobie podporządkować. Wyobraża sobie, że hipotetyczne istoty pozaziemskie są od niego samego lepsze, mądrzejsze, bardziej przewidujące i wspaniałomyślne, potężniejsze i lepiej wyposażone, że dysponują o wiele bardziej rozwiniętą techniką. Tak naprawdę to właśnie one mogą ucywilizować barbarzyńcę, za jakiego się teraz uważa i wyrzuca sobie, że zbyt długo chełpił się posiadaniem monopolu na wiedzę.

W przypływie pokory czyni siebie odpowiedzialnym nawet za zbuntowane maszyny, których zemsty się obawia: jeśli okażą się w stosunku do niego okrutne, to dlatego, że właśnie on je skonstruował, i że zachowują w sobie – na podobieństwo grzechu pierworodnego – odbicie zepsucia ich stwórcy. (...)

Im większa rola przypada w science fiction nauce, tym wyraźniej daje się w niej odczuć powiew paniki i skruchy. Bohaterowie banalnych konfliktów galaktycznych nadal pozostają dzielnymi rycerzami i zdobywcami, przy czym nikt specjalnie nie ukrywa, że wywodzą się oni bezpośrednio z opowieści rycerskiej. Lecz kiedy tylko wzrasta udział refleksji, to zaraz mamy poniżające porównanie z mieszkańcami innych planet, tyranię komputerów i odczłowieczające mutacje. (...)

Człowiek spodziewał się od nauki jasności, poczucia bezpieczeństwa oraz możliwości panowania nad przyrodą. Tymczasem spostrzega (lub tylko mu się tak wydaje), że jasność prowadzi do niezrozumiałości, władza do licznych klęsk, będących przeciwieństwami każdego z odniesionych sukcesów, a obiecane poczucie bezpieczeństwa do ustawicznego lęku. (...)

Tak więc nauka, narzędzie jego potęgi i źródło jego dumy zaczęła w końcu niepokoić tego, który ponosi za nią odpowiedzialność i zarazem czerpie z niej korzyści. Nieuchronność jej precyzji i ciągłego postępu stopniowo przekonuje człowieka Zachodu, czy też człowieka przystosowanego do czasów współczesnych (mam na myśli takiego, który ma styczność z bibliotekami, laboratoriami, uniwersytetami), że jego los jest stosunkowo banalny, a zarazem całkowicie niepewny. Przytłacza go mnogością światów oraz możliwych wariantów, przeraża niebezpieczeństwami, jakimi mu grozi, oraz sytuacjami bez wyjścia, w jakie go wpędza. Science fiction urzeka swoich czytelników, utrzymując ich umysły w stanie ciągłej niepewności i na wpół umotywowanego lęku. W porównaniu z perspektywami, jakie stworzyła nauka ubiegłego wieku, dokonał się tutaj zwrot porównywalny do tego, jaki kiedyś spowodowało zwycięstwo nauki wojującej. Wczorajsza rewolucja dała początek fantastyce. Z dzisiejszej, zrodziła się science fiction, w części mieszanina apoteozy i apokalipsy, a mówiąc skromniej – nowy obraz człowieka, jako istoty przypadkowej, żyjącej na uboczu i przemijającej, zagubionej w przerażającym bezmiarze Wszechświata.

★

Taki wydaje mi się obecny stan literatury cudownej. Nie wiem jaki będzie jej etap następny. Na zakończenie tej diagnozy, oraz w celu dokładniejszego określenia ogólnej perspektywy w jaką, jak sądzę, literatura ta się wpisuje, muszę spróbować dokonać kolejno zmiany przedmiotu mojej analizy na przestrzeni długiej wędrówki, która rodzaj ludzki doprowadziła do częściowego wyzwolenia się z jego kondycji zwierzęcej i wypuszczenia się w przestrzeń pozaziemską. Do tej pory ludzkość przebyła tu – z pewnymi odchyleniami, spowodowanymi niejednakowym poziomem rozmaitych kultur – trzy zasadnicze momenty, których spontanicznych i wymownych ilustracji dostarcza według mnie baśń, opowiadanie fantastyczne i wreszcie science fiction. Wszystkie one są bogato reprezentowane w czasie i w przestrzeni, przy czym zawsze zachowują swój wyraźny, specyficzny styl. Narzuca on określony sposób opowiadania. Już sam początek opowieści jest dostatecznie charakterystyczny, by stać się niemal rytuałem.

Baśń rozpoczyna się słowami „Był sobie raz...". Rzecz w tym, że jej akcja rozgrywa się u zarania dziejów, w odległej i niedostępnej przeszłości, w świecie dawno minionym i zamkniętym. Opowiadanie fantastyczne zaczyna się tak samo jak każda powieść realistyczna, zdaniem w rodzaju: „23 lipca o godzinie 11.50 wieczorem, na ulicy Humbolt 67...". Oznacza to, że sytuuje się ono w naszym świecie, wczoraj, dziś, w pierwszym lepszym mieszkaniu, co najmniej z pozoru, bo przecież niebawem wydarzy się tu coś strasznego. Science fiction ponownie wprowadza bezpieczny dystans, otchłań przyszłości albo na jej miejsce, przestrzeni gwiezdnej. Ex definitione każda przedstawiana przez nią historia mogłaby się zaczynać w sposób następujący: „Na Proximie Centauri..." albo „Będzie sobie raz...", co wychodzi na jedno.

Te trzy początki zdań, to niewiele. Jednakże już one same dostarczają informacji o trzech epokach literatury, w której człowiek najlepiej dał wyraz własnemu wyobrażeniu o swej sytuacji we wszechświecie.

Z początku zamieszkuje on środowisko, którego nie rozumie, i w którym ledwie sam się wyróżnia. Nie wydaje mu się rzeczą niemożliwą, by zwierzęta (podobnie jak i on sam) mówiły, by przedmioty same przenosiły się z miejsca na miejsce (jak uważa jeszcze i dziś), lub by wypowiedziane słowo natychmiast wywoływało określony skutek (co chciałby móc robić samemu). Żyje w krainie cudów i czarów, kota w butach i śpiącej królewny, lampy wydającej rozkazy duchom Aladyna oraz magicznych słów „Sezamie otwórz się", otwierających dostęp do jaskini pełnej skarbów. Typowym obrazem tej zaginionej przeszłości, gdzie żadne prawo natury nie wyklucza Nieprawdopodobieństwa, jest historia cierpliwej i łagodnej sierotki, wspomaganej przez matkę chrzestną-wróżkę i prześladowanej przez macochę-czarownicę. Ponieważ w każdej chwili wszystko może się wydarzyć, za sprawą wypowiedzianego zaklęcia i natychmiastowej metamorfozy, zaczarowany świat pozbawiony jest niespodzianek i tajemnic: są w nim wyłącznie cuda. Jest domeną cudowności, w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Tymczasem jednak człowiek uczy się dziwić, obserwować, sprawdzać. Powoli odkrywa, że zjawiska nie zachodzą w sposób przypadkowy. Usiłuje oddzielić to, co możliwe od niemożliwego. Wkrótce zaczyna się domyślać, że łańcuchem przyczyn i skutków rządzi niewzruszony determinizm. Pojmuje, że nic samo nie ginie, ani nie powstaje. U schyłku XVIII wieku, na półwyspie europejskim istnieje już nauka. Wyklucza ona cudowność. A równocześnie – rodzi fantastykę.

Od tej pory jakiekolwiek naruszenie naturalnego porządku rzeczy uważane jest za niedopuszczalne. Gdyby coś podobnego się zdarzyło, wywołałoby to skandal i przerażenie. Nowy świat, świat cywilizowanych miast i pól uprawnych, ścisłych hipotez i wzajemnie potwierdzających się eksperymentów, nie może tolerować wróżek i smoków. Jednakże nie sięga on poza granicę śmierci i zaświatów, które nadal pełne są nieprzychylnych istot i tajemniczych energii, zupełnie innego rodzaju niż te, których własności opisują fizycy. Chociaż za dnia przyrodą włada racjonalna wiedza, to jednak nadal pozostaje żywa wiara w Piekło i Tamten Świat. Każdego wieczoru, z nastaniem ciemności odradza się ich złowroga potęga. I tak wszędzie, gdzie triumfuje naukowa koncepcja świata – i tylko tam, bo jedynie tam panuje przekonanie o nienaruszalności istniejącego porządku rzeczy – rozwija się mitologia zjaw i złych mocy, których powołaniem zdaje się być urąganie nadrzędnej harmonii, wdzieranie się w zwyczajny świat i zadawanie w straszliwy sposób kłamu pewnikom wywodzącym się z laboratoriów i z analizy ilościowej.

Fantastyka odrzuca karetę kopciuszka, skrzaty i jednorożce, lecz jedynie po to, by zwołać na zbiórkę duchy, wampiry oraz wszelkiego rodzaju stwory piekielne, przybywające spoza śmierci. To niemalże jej jedyny ulubiony temat. A ponieważ nauka nie mniej dokładnie wykazała różnicę pomiędzy tym, co nieożywione a tym, co żywe, pomiędzy sztucznie wytworzonym przedmiotem a żywą istotą, fantastyka znajduje inny ulubiony motyw w postaci posągu, zbroi czy lalki, w których nagle budzi się świadomość, i które zaczynają się poruszać. Tak w jednym, jak i w drugim przypadku, nieznośna tajemnica i przerażenie biorą się z pogwałcenia jednego z praw, które – zgodnie z jednomyślną już teraz opinią – rządzą światem. W pierwszym przypadku już same duchy, to znaczy istoty niematerialne są wyzwaniem wobec świata, do którego przenikają i sieją w nim grozę. W drugim, „rzecz" czysto materialna, czyli ex definitione pozbawiona zdolności poruszania się, wyzwala się ze swej bierności i nagle daje dowód nieprawdopodobnej, groźnej przedsiębiorczości. Z chęcią postawiłbym tezę, że jedyną sprężyną fantastyki jest zamierzone bluźnierstwo przeciwko prawdom najbardziej powszechnie przyjętym. Do tego stopnia paranauka-fantastyka wydaje się nierozerwalna. Tak, jak głównym motorem cudowności

były czary, w przypadku fantastyki jest nim Niedopuszczalne.

Nauka opiera się na hipotezach całkowicie wiarygodnych. Dostarczane przez nią wyjaśnienia są jasne, spójne i sprawdzalne. Zaspokaja ona potrzeby rozumu. Przede wszystkim cechuje się skutecznością. Każda stworzona przez nią i funkcjonująca maszyna stanowi potwierdzenie jej dokładności. Dzięki niej, wszelka cudowność staje się niepotrzebna. Rakiety unoszą kosmonautów w gwiazdy, dokąd zuchwały Sindbad nawet nie zamierzał się wybierać. Urządzenia elektryczne i elektroniczne spełniają zadania, które niegdyś uchodziły za niewykonalne, a które usłużne zwierzęta wykonywały dla skromnego bohatera ubiegającego się o rękę królewskiej córki.

Nadchodzi jednak taki moment, kiedy roboty i komputery buntują się przeciwko swym inżynierom, podobnie jak kiedyś posągi, golemy i marionetki zwróciły się przeciwko temu, który wydobył je z nieokreślonej materii. Człowiek czuje się coraz pewniej na innych ciałach niebieskich i zastanawia się jakich tu napotka partnerów. W tym samym czasie rozszczepienie atomu, neurochirurgia i manipulacje genetyczne dostarczają mu innych powodów do niepokoju i niepewności. Dyskusje nad rozmiarami przestrzeni, odwracalnością czasu i dylematami aksjomatyki, rozdrabniające się na zbijające z tropu aporie sprawiają, że nauka nie jawi się już jako źródło bezpieczeństwa i pewności, lecz jako przyczyna rychłych katastrof oraz paradoksów, które przeczą zarówno postrzeganiu jak i rozumowaniu. Ten właśnie, podwójny zamęt znajduje swój wyraz w science fiction. Ubolewa ona nie nad okropnościami, którym nauka miała za zadanie zapobiec albo postawić kres, lecz nad tymi, które rodzą się z samej nauki. Science fiction nie przeciwstawia fantastyki nauce, lecz podobnie jak i tamta, z niej właśnie się wywodzi. Jeśli chodzi o istoty pozaziemskie, to są one częścią rozszerzonej przyrody. Nie są to zjawy z zaświatów, lecz nasi dalecy bliźni.

Te trzy kolejne odmiany fabuły składają się na archiwum ilustrujące rozwój naszego gatunku. Każda z nich jest odbiciem w negatywie sytuacji człowieka na innym etapie jego ziemskiej przygody. Za każdym razem wyszczególniają one jego potrzeby, dążenia, nostalgie, obawy. W pierwszym okresie swych perypetii, człowiek z trudem wyodrębnił się ze świata przyrody. Następnie zapewnia sobie władzę nad planetą. A wówczas fantastyka kompensuje jego triumf, czy raczej odprawia nad nim egzorcyzmy. I wreszcie skala osiągniętego sukcesu otwiera zmyślnemu zwierzęciu oczy. Oto znalazło się w pułapce, pomiędzy ograniczonością swego naturalnego środowiska, do którego niszczenia samo się przyczynia oraz nieskończonością nowych światów, gdzie, jak przeczuwa, pozbawione zostanie swej władzy, a już na pewno swej unikalności. Z pewnością za wcześnie jeszcze aby określić, co stanowi główną sprężynę literatury imaginacyjnej na tym trzecim etapie jej rozwoju. Jedynie przyszłość – po zakończeniu się tego etapu i z pewnym dystansem – będzie mogła wskazać tu odpowiednią nazwę. Może będzie to zakłopotanie albo zaniepokojenie, w każdym razie jeden z terminów określających intelektualną formę lęku.

Przełożyła **Barbara Okólska**

Opowiadanie fantastyczne i fantastyczno-naukowe

wywiad z Rogerem Caillois

– Jakie związki i jakie różnice dostrzega pan pomiędzy fantastyką a science fiction?

– Literatura fantastyczna i fantastyczno-naukowa odpowiadają różnym poziomom kultury. By dobrze zrozumieć ich następstwo chronologiczne na obszarze narracji nierealistycznej, trzeba cofnąć się do czasów baśni. Skrzaty, gnomy, krasnoludki i wilkołaki należą do świata jednolitego i pozbawionego tajemnic, który różni się od świata rzeczywistego, lecz się do niego nie miesza. Nie istnieje jeszcze wyobrażenie świata podległego naukowej przyczynowości i niewzruszonemu determinizmowi. Współistnienie takie jest więc możliwe i nie stanowi sprzeczności: baśń jest teatrem naiwnych życzeń człowieka w stosunku do przyrody, której ani nie rozumie, ani nią nie włada.

Z chwilą, kiedy nauka uznaje racjonalność świata, zaczyna się wymyślać siły nadprzyrodzone, demoniczne, zawzięcie burzące istniejący porządek rzeczy. Zjawisko, które zostało ze świata wykluczone, może się wtedy pojawić, wnosząc z sobą tajemniczość i przerażenie. Fantastyka jest przede wszystkim „ukazywaniem się" Niedopuszczalnego, rozdarciem w racjonalnej tkance zdarzeń. W przeciwieństwie do świata baśni, przenika ona do zwyczajnego świata; a nawet więcej, istnieje tylko wtedy, kiedy tam właśnie się wdziera. Jest ona spod znaku śmierci i przynależy do zaświatów, skąd przybywa, by niepokoić żyjących. Są to opowiadania, które rzadko usiłują przekonywać, lecz przede wszystkim wywołują strach, lub dokładniej – prowadzą grę ze strachem.

Sytuacja ta ulega zmianie, kiedy nauka sama staje się źródłem zdziwienia, intelektualnego skandalu, a przede wszystkim lęku. Mamy wówczas do czynienia z trzecim poziomem kultury, tym, z którego bierze początek science fiction.

– Jaki jest dokładnie udział nauki w science fiction?

– Science fiction nie przeczy danym nauki, a nawet stanowi refleksję nad jej możliwościami, paradoksami, problematyką. Bodźcem do tej refleksji jest lęk, właściwy epoce niepewnej wobec postępu. Nauka nie jawi się już jako ochrona przed Niewyobrażalnym, lecz przeciwnie, jako wir, który weń wciąga. Chociaż science fiction posługuje się odkryciami z dziedziny fizyki jądrowej, biologii, neurochirurgii, nie jest to jej jedyna więź z nauką. Nie poprzestaje ona na ekstrapolowaniu osiągnięć nauki, lecz wymyśla także odkrycia zdolne przeobrazić nie tyle nawet sam styl życia i wyposażenia człowieka, ile kategorie określające jego sposób postrzegania i pojmowania wszechświata. W miejscach, w których czegoś brakuje, wypełnia luki.

– Czy każdemu z wyróżnionych przez pana poziomów kultury odpowiadają określone formy narracji nierealistycznej?

– Narracja nierealistyczna spełnia niezmienne funkcje, równie istotne w przypadku baśni, jak i fantastyki przerażenia czy science fiction. Wymyślone cuda to jakby negatywy, formy odlewnicze ludzkich pragnień, które na każdym poziomie kultury pozostają ciągle nie spełnione.

Baśń, poprzez złudzenie, zaspokaja życzenia, których nie istniejąca jeszcze nauka nie mogła spełnić: błyskawiczne przenoszenie się z miejsca na miejsce, stawanie się niewidzialnym, działanie na odległość, posługiwanie się niewolnikami w postaci duchów, posiadanie niezwyciężonej broni, maści i eliksirów przeciwko starości i śmierci. Gra ze strachem i spekulacje na temat istot z zaświatów pojawiają się w momencie, gdy naturalny porządek świata oraz, co za tym idzie, opozycja pomiędzy tym, co nieożywione, a tym, co żywe – uznane zostają za niewzruszone i niepodważalne. Jednakże ludzkie tęsknoty i lęki powodują przetrwanie niepewności: stąd właściwy fantastyce niepokój, utrzymujący się na przestrzeni dziejów.

Chociaż nauka urzeczywistnia dziś coraz liczniejsze pragnienia naszych przodków, to jednak człowiek nadal marzy o magicznej i całkowitej władzy. Z drugiej strony postęp techniczny, stale rosnąca kompleksowość wiedzy, nie tylko nie uspokajają go, lecz wzbudzają w nim niepokój co do własnej przyszłości i podważają jego zdrowy rozsądek oraz tradycyjną logikę.

Ogólny klimat, ulubione tematy narracji nierealistycznej również wywodzą się z utajonych niepokojów epok, w których gatunek ten się rozwinął. Pisarz nie jest panem problematyki i elementów, którymi się posługuje. Tematy, które każda epoka urozmaica w zależności od swych upodobań literackich mogą być wyliczone i przewidziane, trochę tak, jak pierwiastki chemiczne, których liczba w przyrodzie jest ograniczona, pomimo nieskończonej różnorodności jej kształtów.

„Le Monde" nr 24, 1970

Przełożyła **Barbara Okólska**

Stalcon'87

W dniach 10–14 października 1987 r. Olsztyn gościł uczestników trzeciego już Stalconu. Ta cykliczna impreza, której organizatorem jest warmiński oddział PSMF tym razem odbywała się pod hasłem „fantasy". Oprócz obowiązkowych już na każdym konwencie filmów wideo (niestety nie było żadnych nowości) odbyły się spotkania z Grażyną Lasoń, naszym redakcyjnym kolegą Leszkiem Jęczmykiem oraz z Krzysztofem Sokołowskim. Bardzo ciekawe było seminarium poświęcone „Diunie" przygotowane przez Krzysztofa Grzywnowicza z lubelskiego oddziału PSMF.

Ciekawym, ale niedogranym przez organizatorów pomysłem było „the beer tasting", czyli próbowanie piwa. Na tę okazję uczestnicy na prośbę organizatorów przywieźli próbki różnych gatunków tego napoju. Niestety spróbować piwa mogli tylko najsilniejsi osobnicy po odbyciu krótkiej i ostrej walki. Odbywający się równolegle w tej samej sali koncert Krzysztofa Kwinty Kwiczoła ze względu na ogólne zamieszanie nie był na pewno tak udany jak na Polconie.

Na konwencie oprócz tego działało stoisko z wydawnictwami, jak zawsze oblężone były gry komputerowe oraz punkt fotograficzny. Poza tym zorganizowano zupełnie nieudaną wyprawę do obserwatorium astronomicznego, gdzie po parominutowej, powodującej zadyszkę wspinaczce na wysoką wieżę można było po małej przepychance popatrzeć parę sekund przez malutką lunetę (duża była akurat nieczynna, czego organizatorzy wcześniej nie sprawdzili).

W sumie wydaje mi się, że organizatorom zabrakło dbałości o szczegóły, przykładem może być forum fandomu, które puszczone samopas ograniczyło się do obejrzenia nakręconych kamerą wideo migawek ze Stalconu. **(mak)**

Nordcon'87

Czytelnik, który konwenty zna jedynie z zamieszczanych przez nas sprawozdań, może odnieść wrażenie, że wszystkie one są do siebie bliźniaczo podobne. Po części jest to prawdą: kluby mają już za sobą wiele lat doświadczeń w takiej działalności i w miarę, jak programy spotkań stają się bogatsze, zakrada się do nich pewna rutyna. Istnieją jednak imprezy, na których organizatorom udaje się stworzyć pewien niepowtarzalny nastrój, wymykający się naszym zwięzłym, ograniczonym do suchych informacji notkom.

Do takich należał Nordcon, zorganizowany przez Gdański Klub Fantastyki w dniach 4–7 grudnia 1987 r. Mógłbym z czystym sercem ograniczyć się do stwierdzenia, że była to impreza udana to samo można jednak powiedzieć o większości ubiegłorocznych konwentów. Zresztą, wobec stale rosnących cen uczestnictwa, imprezy nieudane straciły już rację bytu. Mógłbym też przystąpić do wyliczania tytułów filmów, nazwisk prelegentów i omawiania kolejnych punktów ciekawego programu, przygotowanego przez organizatorów. Mam nadzieję, że wybaczą mi, jeżeli tego nie zrobię, ale dla kogoś, kto w Nordconie nie uczestniczył taka wyliczanka i tak nie ma wiele sensu.

Od pewnego czasu o obliczu konwentów zaczęły decydować nie ich programy (za te pieniądze program po prostu MUSI być dobry!), ale uczestnicy. A ci w Gańsku dopisali. Miło stwierdzić, że wreszcie zniknęli z imprez klubowi oblatywacze, popijający po pokojach, podczas gdy sale imprezowe świecą pustką. Młodzi fanowie zarywali noce i opuszczali posiłki, żeby być wszędzie naraz – móc pokłócić się z zaproszonymi pisarzami o oblicze ulubionej literatury, obejrzeć nowości filmowe, powypruwać żyły z prelegentów dziesiątkami pytań i jeszcze przy tym wszystkim nagadać się o fantastyce. Naprawdę – na Nordconie wyraźnie oddychało się fantastyką, rzecz, która dwa lata temu byłaby nie do pomyślenia.

Nie jestem naprawdę w stanie powiedzieć, który z punktów programu podobał się najbardziej. Wszystkie miały wysoką frekwencję, a opinie – jak zwykle – były różne. Dobrze to świadczy o organizatorach. Zresztą, jeżeli jedyną rzeczą, której można się na imprezie czepiać, jest stołówka, to – moim zdaniem – znak, że jest dobrze.

Kolegom z GKF mogę tylko złożyć serdeczne gratulacje i wyrazić nadzieję, że dane mi będzie uczestniczyć w następnym Nordconie.

(raz)

Newton uważał, że czas jest absolutny i istnieje realnie (obiektywnie), tzn. upływa nawet wtedy, gdy nie ma obiektów materialnych. Jednak już Leibniz wystąpił z inną teorią, przyjmowaną dziś bez zastrzeżeń przez fizyków. Według tej teorii czas nie ma samodzielnego bytu i jako coś względnego wyraża jedynie kolejność przemian (wydarzeń).

Czas ujemny

Andrzej Machalski

Poszczególne procesy w przyrodzie rozwijają się zawsze w określonym kierunku. Inaczej mówiąc: czas płynie zawsze w tym samym kierunku. Wiemy to z doświadczenia, a nie ze znanych nam praw czy równań matematycznych natury, tak jak to, że cegła wypuszczona z ręki spada na ziemię, wiemy stąd, że zawsze dotychczas spadała. Ale teoria nie może wcale zagwarantować, że jutro też upadnie, a nie uniesie się w górę.

Do celów praktycznych wybieramy pewne charakterystyczne procesy, które służą nam jako tzw. strzałki czasu (drogowskazy czasu), pozwalające stwierdzić kierunek upływu czasu. Może być wiele strzałek czasu.

Strzałką czasu jest przede wszystkim wzrastanie entropii układu zamkniętego, tj. powiększanie się jego równowagi cieplnej, będące następstwem faktu, że ciepło przepływa zawsze z ciała cieplejszego do zimniejszego. Jeżeli zatem w izolowanym pomieszczeniu zetkniemy ze sobą dwa ciała, gorące i zimne, to chwila, w której różnica ich temperatur jest mniejsza, jest późniejsza. Jest to strzałka termodynamiczna. Ponieważ ta strzałka ma szczególnie duże znaczenie, poświęćmy chwilę uwagi pojęciu entropii. W termodynamice słowo to oznacza miarę nieodwracalnego rozproszenia energii. Z pojęciem entropii pierwszy wystąpił Clausius (1865). Sugerował on, że początkowo we Wszechświecie były wielkie różnice temperatur między jego poszczególnymi miejscami, tzn. silne niezrównoważenie cieplne, potem różnice te malały i nadal tak się dzieje. Według Clausiusa Wszechświat dąży nieubłaganie do „śmierci cieplnej" – do takiego wyrównania się temperatur, że ustaną wszelkie procesy wymiany ciepła, m.in. i życie biologiczne, a tym samym czas przestanie płynąć. Pesymistyczna to wizja wiecznego cmentarzyska wygasłych ciał niebieskich, pogrążonych w ciemności. Na razie daleko do takiego stanu. My penetrując Wszechświat potężnymi teleskopami wszędzie stwierdzamy tylko niską entropię, świadczącą o stosunkowej młodości wszystkich jego obszarów. Zresztą astronomia XX wieku (Tolman, 1932) wskazuje na możliwość zupełnie innego końca świata: w pewnych warunkach zacznie on kiedyś kurczyć się i dojdzie wreszcie do katastrofalnej implozji, wskutek której cała materia przybierze postać jednego punktu. Teza Tolmana bynajmniej nie podważa użyteczności zasady Clausiusa jako wskaźnika upływu czasu.

Strzałką elektrodynamiczną nazywamy zjawisko rozprzestrzeniania się promieniowania elektromagnetycznego ku nieskończoności, prowadzące do równowagi w rozmieszczeniu energii. Jeżeli jakieś źródło fal zaczęło w pewnym momencie promieniować, to chwila, w której fala zajmuje większą przestrzeń jest późniejsza niż ta, w której zajmuje mniejszą.

Strzałki termodynamiczna i elektrodynamiczna mają fundamentalne znaczenie. Są one niewątpliwie ze sobą związane, będąc prawdopodobnie formami pewnej strzałki o charakterze uniwersalnym, która jeszcze czeka na zdefiniowanie.

A teraz luźno wybrane przykłady pochodnych strzałek czasu:

strzałka geomorfologiczna – stopniowe wyrównywanie się wyniosłości rzeźby powierzchniowej naszego globu (spłaszczenie się gór, podwyższanie się otaczającego terenu); ważna naturalnie przy założeniu, że nie było w tym czasie ruchów górotwórczych;

strzałka psychologiczna – odczucie, że dane wydarzenie nastąpiło później niż drugie;

strzałka ewolucyjna (filogenetyczna) – gatunek zwierzęcia czy rośliny bardziej rozwinięty jest późniejszy;

strzałka mechaniczna – podczas ruchu połączonego z tarciem chwila, gdy ciało ma mniejszą prędkość, jest późniejsza.

Wszystkie te strzałki czasu charakteryzują nasz świat, który możemy nazwać światem o czasie dodatnim. Jednokierunkowość (asymetria) czasu w naszym świecie każe nam zastanowić się nad możliwością istnienia świata, w którym czas byłby odwrócony, czyli ujemny. Inaczej mówiąc trzeba rozważyć kwestię, czy jest możliwe odwrócenie czasu, to znaczy odwrócenie strzałki termodynamicznej, elektrodynamicznej itd., słowem wszystkich strzałek równocześnie. Świat jest bowiem spójnym systemem i nie możemy wyobrazić sobie świata o czasie ujemnym, w którym choćby jedna strzałka czasu pozostała nie odwrócona.

Jak by on wyglądał? Rozważania można opierać tylko na rozumowaniu, gdyż dotąd w fizyce nigdy nie udało się odwrócić czasu.

Prawa czasu ujemnego

Kto chce przejść z Parku Agrykola na Powiślu w Warszawie, by dostać się w pobliże Sejmu, musi wspinać się w górę długimi schodami założonymi na skarpie wiślanej. Stwierdza przy tym, że pójście „tam" jest męczące, a „z powrotem" – łatwe. Gdybyśmy sfilmowali przebieg całego procesu i puścili film w odwrotnym kierunku, to zobaczylibyśmy, jak wpierw dysząc i zatrzymując się co chwila schodzimy w dół, a potem uśmiechnięci idziemy do góry. Puszczenie filmu do tyłu daje niezawodną wskazówkę dla kogoś, kto chciałby rozszyfrować stosunki panujące w świecie o czasie ujemnym. Prawa przyrody powinny być tam bowiem symetryczne (przeciwne) w stosunku do obecnych. Zatem siła grawitacji zmieniłaby swój kierunek na przeciwny, tj. przyciąganie się mas zastąpiono by odpychaniem (antygrawitacja). Podobnie przyciąganie elektrostatyczne dwu ładunków odmiennego znaku zostałoby zastąpione ich odpychaniem, i tak dalej. Musi tak być, gdyż bez trudności do listy strzałek podanej przed chwilą można dopisać strzałkę grawitacyjną, elektrostatyczną itp.

Gdyby nowe prawa zostały nagle narzucone obecnie istniejącej materii, skutki byłyby przerażające. Kula ziemska rozpadłaby się, my ruszylibyśmy w niezamierzoną podróż w Kosmos, a gwiazdy najpierw by potwornie spuchły, a potem zniknęły. Nie można jednak wykluczyć istnienia świata o czasie ujemnym, zwłaszcza że jest on tak samo prawdopodobny jak nasz – z filozoficznego punktu widzenia. Jeżeli go nie widzimy, to





Wiktor Żwikiewicz i Mateusz Kaniewski

być może wynika to z jego innego tworzywa materialnego, innej materii niż nasza.

Poglądowa lekcja na temat świata o czasie ujemnym

Dziwność tego świata najlepiej można zrozumieć, jeżeli się zachowa – jak w teatrze – scenografię naszego świata, do której jesteśmy przyzwyczajeni, a poszczególnym rekwizytom każe się pracować w sposób odwrotny. Nie wolno jednak ani na chwilę zapominać, że przykłady tu podane są poglądowe (fikcyjne).

Zaczynamy. A więc na przykład położywszy w świecie o czasie ujemnym garnek z wodą na ogniu, znajdziemy za chwilę kawał lodu, gdyż woda odda swe ciepło ogniowi w myśl zasady przechodzenia ciepła z ciała zimniejszego do cieplejszego. Ciekawa będzie sprawa z żarówką. Po włączeniu będzie ona ssać światło z otoczenia, niczym odkurzacz cząstki kurzu. Przy dostatecznie dużej mocy zmusi ona najbliższe przedmioty do... świecenia.

My nie mamy szczególnych kłopotów z pozbywaniem się nadmiaru energii naszego ciała. Rozpinamy płaszcz i ciepło ulatuje w przestrzeń pokoju, skąd uchodzi w atmosferę, skąd wypromieniowuje w przestrzeń kosmiczną, aby zatrzymać się gdzieś na obrzeżach Wszechświata. W świecie o czasie ujemnym musiałbym też chronić ciało izolacją, ale... przed nieubłaganym napływem ciepła z chłodnego otoczenia. Aby się nie zagotować, musiałbym zbliżyć się do jakiegoś przedmiotu o temperaturze wyższej niż moja. On by mnie ochłodził. Ten przedmiot z kolei będzie uratowany, tzn. nie nagrzeje się ponad miarę, jeżeli w ostatecznym rozrachunku wewnątrz Wszechświata będzie przynajmniej jedno superciało niebieskie o niesłychanie wysokiej temperaturze (biała dziura?), które będzie pompować energię z wszystkich jego zakątków.

Jedzie lokomotywa... Ciepło z jej wnętrza ulatuje różnymi drogami, część zamienia się w pracę mechaniczną, ale ta ostatnia też systematycznie przekształca się w ciepło – wskutek tarcia w łożyskach kół, tarcia kół o szyny, oporu powietrza, wreszcie hamowania. Po ukończonej podróży lokomotywa stygnie na stacji docelowej. Paliwo zostało spalone, całe ciepło z niego zamieniło się ostatecznie na drobny przyrost temperatury otoczenia, nieuchronnie rozpływający się w dalszym sąsiedztwie. W świecie o czasie ujemnym zjawiska będą odwrotne. Lokomotywa po napaleniu pod kotłem też pojedzie, ale przez cały czas będzie wciągać ciepło z chłodniejszego otoczenia. Im dłużej będzie trwała podróż, tym mocniej będzie rozgrzana. Przybyszowi z naszego świata będzie wydawać się, że jej energia ruchu bierze się z niczego. Jedynym środkiem zaradczym przeciwko jej roztopieniu się z nadmiaru ciepła może być zetknięcie na ważniejszych stacjach z „chłodnicą" – dużą, bardzo gorącą bryłą.

Pouczające będzie też zachowanie się w nowych warunkach lokomotywy na sprężone powietrze, zaopatrzonej w turbinę powietrzną. Po otwarciu zaworu zbiornika z powietrzem, w warstwie stykowej na granicy powietrza sprężonego i atmosferycznego nastąpi osobliwy proces – cząsteczki pierwszego będą wpuszczać między siebie cząsteczki drugiego. W rezultacie powietrze sprężone w zbiorniku będzie zagęszczać się coraz bardziej, a silnik będzie przy tym pracować z takim samym współczynnikiem sprawności jak na Ziemi.

Prawdziwe oblicze czasu ujemnego

W literaturze można znaleźć pogląd, że ponieważ w świecie o czasie ujemnym wszystkie strzałki czasu byłyby odwrócone, wydarzenia dla istot go zamieszkujących odbywałyby się tak samo, jak my obecnie je przeżywamy. Ale gdyby wszystko odbywało się tak samo, to istoty rozumne drogą pomiarów stwierdziłyby, że na przykład entropia rośnie, co sprzeciwiałoby się wyjściowemu założeniu, a ponadto prowadziłoby do dziwacznego wniosku, że istota rozumna może stwierdzić swymi zmysłami tylko wzrastanie entropii.

Poniższe rozważania ze sfery fizyki pokazują, że nic nie będzie odbywać się tak samo. Wyobraźmy sobie następujące doświadczenie: pocisk karabinowy lecąc przebija długi szereg kulek zawieszonych na nitkach. W warunkach czasu dodatniego z każdą kulką prędkość pocisku maleje, gdyż każdej oddaje on część swej energii kinetycznej. Jest to więc model pełniący funkcję strzałki mechanicznej. Chwila, w której pocisk leci wolniej, jest późniejsza od tej, gdy miał większą prędkość. Tak jest zresztą w rzeczywistości z każdą kulą karabinową hamowaną przez opór powietrza.

Jak mówiliśmy, aby otrzymać świat o czasie ujemnym, trzeba odwrócić wszystkie strzałki czasu. Odwróćmy i tę z kulkami na nitkach: pocisk po trafieniu w pierwszą kulkę leci szybciej, po trafieniu w drugą jeszcze szybciej itd. Jego prędkość stale rośnie.

Tu ciśnie się na usta mnóstwo pytań:

1. Jaka jest górna granica tej prędkości? Prędkość światła czy też może wartość nieskończona? Czy dolną granicą jest zero, czy prędkość światła? W powieści Carrolla „Alicja w krainie czarów" (1865) tak tłumaczono dziewczynce przedziwne stosunki tam panujące: – *U nas, żeby stać, trzeba biec, a żeby biec, trzeba biec dwa razy szybciej.* W analogicznej sytuacji 300 000 km/s oznaczałoby „stanie w miejscu".

2. Czy z prędkością rośnie energia kinetyczna, czy maleje? Czy ta energia jest dodatnia, jak „u nas", czy też ujemna? Jakiego znaku jest masa?

3. Co się dzieje z kulką po przejściu przez nią pocisku? Oddała mu ona swoją energię, więc powinno się to jakoś uzewnętrznić, np. w ruchu kulki w kierunku przeciwnym do pocisku.

4. Jeżeli masy są ujemne, to być może pocisk przenika przez kulę jak duch przez ścianę.

Te sprawy rozstrzygną jedynie doświadczenia, które chyba będą wykonalne dopiero za kilka tysięcy lat. Przedstawiony tok rozumowania wystarczy jednak, by zrozumieć, że zupełnie nie można sobie teraz wyobrazić wyglądu świata o czasie ujemnym.

Perspektywy odmłodzenia się

Człowiek zmarznięty przebywaniem na śniegu i wietrze nie musi jechać do Afryki, by się ogrzać. Wystarczy wejść do ogrzanego domu. Podobnie w wypadku chęci odmłodzenia się będziemy sięgać do różnych sposobów. Wymyślona przez Wellsa (1895) maszyna czasu może budzić zdecydowaną niechęć jej potencjalnych użytkowników, jeżeli za wejściem do niej będzie ukryta czarna dziura, grożąca w razie defektu nie tylko odmłodzeniem, ale i drastycznym zmniejszeniem wzrostu pacjenta do submikroskopijnych rozmiarów. Chyba mniej oporów psychicznych będzie budzić rozpędzenie pojazdu kosmicznego z chętnymi na jego pokładzie ponad prędkość światła, ale będzie miało sens jedynie wtedy, gdy okaże się, że prędkości w świecie o czasie ujemnym są zawarte w granicach „prędkość światła – nieskończoność". Na razie wiemy, że prędkość światła w naszym świecie jest nieprzekraczalna, ale rozwój nauki odsłoni nam na pewno niejedną tajemnicę, dostarczy zaklęć otwierających wrota dotąd zamknięte.

To naturalnie sprawa bardzo dalekiej przyszłości. Odmładzanie środkami chemicznymi, mimo że rokuje duże nadzieje, chyba nigdy nie dojdzie do ideału, gdyż blokując jakiś proces starzenia się może ono równocześnie zaszkodzić innym funkcjom organizmu ludzkiego. Użycie zaś czasu ujemnego odwróciłoby wszystkie niekorzystne procesy, które odbywają się w nas po przekroczeniu pewnego wieku.

Tak więc człowiek po opuszczeniu „cudownej komory" wyjdzie młodszy i to autentycznie. Jeżeli przeżyje ryzykowny eksperyment. Chętni, a zwłaszcza chętne zawsze się znajdą. Zresztą ofiary ponoszono już dawniej, jeżeli wspomnimy żonę młodego Wokulskiego z „Lalki" Prusa, która przypłaciła kurację odmładzającą życiem.



—film i fantastyka—

Chochliki i czarownice

Diabeł to postać zadomowiona w sztuce od dawien dawna i wydaje się, że jako temat nadal nie wyeksploatowana. I dobrze. Podobno największym osiągnięciem szatana jest to, że zapomnieliśmy o nim lub przynajmniej zaczęliśmy lekceważyć. Ale ostatnio dla wszelkich czarów, chochlików i innych nieczystych mocy nastąpiła wyraźna odwilż i znów wypada o nich pisać, mówić i oczywiście robić filmy.

Chociaż właściwie z ekranów kinowych diabły nie zniknęły nigdy i nawet w czasach największego triumfu scientycyzmu tłumy widzów pchały się, żeby obejrzeć „Dziecko Rosemary", „Egzorcystę" czy „Omen".

Tym razem chciałabym przedstawić dwa filmy, w których punktem wyjścia dla opowiedzianych w nim historii jest spełnienie przez diabła ludzkiego życzenia (oczywiście, ponieważ dogadza to jego planom, a nie z powodu altruistycznej miłości do człowieka). Pierwszy obraz pojawił się już na ekranach polskich kin. Chodzi o „Labirynt" Jima Hensona. Drugi trafił niedawno do kin europejskich: myślę o „Czarownicach z Eastwick" George'a Millera.

Jim Henson jest „ojcem" znanych „muppetów" i twórcą przedsiębiorstwa rozrywkowego o nazwie „Hit!" (co jest po prostu skrótem od słów Henson International Television). W jego filmach występują wspólnie ludzie i lalki, ale nie oczekujmy, że w „Labiryncie" spotkamy starych znajomych z „Muppet Show". To już zupełnie inna bajka. Zasada jest jednak podobna, w roli człowieka reżyser obsadza zwykłego aktora, ale gdy konieczna jest tak mało komunikatywna postać jak kamień lub tak niedostępna jak skrzat – do akcji wkraczają twory Hensona.

Historia opowiedziana w „Labiryncie" jest prosta. Wszystko zaczyna się jak w bajce o biednej dziewczynce i złej macosze. Tak myśli przynajmniej główna bohaterka, Sarah, która użala się nad sobą, mając dość opiekowania się małym, przyrodnim braciszkiem. Nieszczęśliwa po śmierci matki zamknęła się w wyimaginowanym świecie bajek, uważając go za bardziej realny niż świat rzeczywisty. Chcąc pozbyć się nieznośnego chłopca, wypowiada zaklęcie podpowiadane jej przez złośliwe chochliki, czekające na okazję spłatania jakiegoś paskudnego kawału.

Reżyser parokrotnie sugeruje, że choć akcja filmu toczy się w fantastycznym świecie, w którego mapę wpisany jest labirynt, Goblin City czy pałac Jaretha, tak naprawdę nie ruszamy się ani na krok z pokoju dziewczynki. Henson opowiada historię identyczną jak „Nie kończąca się opowieść" (znana z książki Michaela Endego i ekranizacji Wolfganga Petersena). Dziecko, dla którego rzeczywistość stała się nie do zniesienia, ucieka w świat fikcji, jednak dzięki przeżytym tam przygodom potrafi odnaleźć i zaakceptować samo siebie. I w tym tkwi siła obu filmów: mówią o mądrych, głębokich sprawach w sposób piękny i ciekawy. Przy czym, podobnie jak „Nie kończącą się historię", „Labirynt" można też oglądać wyłącznie jako barwną, pełną przygód bajkę.

W ubiegłym roku pisałam o „Legendzie" („Fantastyka" nr 6/87). W „Labiryncie", tak jak i w tamtym filmie, powtarzają się wciąż elementy zaczerpnięte z klasycznych baśni. Podczas oglądania filmu Scotta przypomnienia te drażniły wtórnością; w „Labiryncie" jest to natomiast zabawa w inteligencję między twórcami i widzem. Możemy więc odnaleźć Alicję chodzącą po zaczarowanym ogrodzie, w którym trzeba iść w tył, żeby poruszać się do przodu i Alicję po drugiej stronie lustra, i zatrute jabłko, i...dalej bawcie się Państwo sami.

Wspólny także z „Legendą" (ale też z wieloma innymi filmami fantasy) jest motyw pięknej i bestii. Bestią jest władca chochlików, Jareth (w tej roli znany piosenkarz i aktor, David Bowie, oglądany niedawno w „Zagadce nieśmiertelności"). Usiłuje on przekonać Sarah, że lepiej jest mieć niż być, podsuwając jej ukochane, a wyrzucone przez macochę stare zabawki, które tak bardzo pragnęła odzyskać. Wystarczy zasypać sobie życie stosem śmieci, żeby przez górę tak cennych dla nas przedmiotów nie dojrzeć już nic więcej.

Podczas swojej wędrówki Sarah spotyka także dającego się lubić (choć czasem zwodniczego) gnoma imieniem Hoggle. Oszukana przez Jaretha, który nie uznaje fair play (ale takie właśnie jest życie) i stawia na jej drodze nowe pułapki, ratuje łagodnego potwora Ludo, tak dobrodusznego, że nawet kamienie są jego przyjaciółmi. Razem trójka ta trafia nad Bagno Wiecznego Smrodu. Tam strażnik Bagna, foksterier Sir Didymus staje się ich sprzymierzeńcem. Bo „Labirynt" to również film o przyjaźni, bez której cała droga (czyli życie) po prostu by się nie udała.

Może warto przypomnieć, że w ciągu kilkunastu wieków tajemniczość labiryntu intrygowała wielu twórców europejskich. Pojawiał się on od mitologii po „Lśnienie" Kubricka (gdzie z turystycznej atrakcji zamieniał się w śmiertelną pułapkę). Tym razem został potraktowany jako metafora dojrzewania i życia.

Miłośników figur niemożliwych ucieszy zapewne wykorzystanie ich w scenografii „Labiryntu". A sam film jest po prostu mądrą i dobrą zabawą zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych.

„Czarownice z Eastwick" George'a Millera są z kolei przeznaczone wyłącznie dla dorosłych. Twórca „Szalonych Maxów" sięgnął tym razem po prozę znanego, współczesnego pisarza amerykańskiego, Johna Updike'a, na której został oparty scenariusz z filmu.

Rzecz dzieje się w małym, spokojnym miasteczku w Nowej Anglii. Wśród jego konserwatywnych, purytańskich i bogobojnych mieszkańców spotykamy trzy przyjaciółki, nieco znużone powolnym rytmem swego życia, marzące o mężczyźnie, który odmieni ich monotonną egzystencję. Alexandra Hedford (Cher) rzeźbi małe kobiety – gnomy i wystawia je na sprzedaż w miejscowym sklepiku z pamiątkami. Jane Spofford (Susan Sarandon) gra na wiolonczeli, a Sukie Ridgemont (Michele Pfeiffer, znana ze swej roli w filmie „Ladyhawke") wychowuje sześć córek, pracując jako dziennikarka i sekretarka właściciela miejscowego pisma.

W każdy czwartek wszystkie panie spotykają się, żeby razem pogadać, co zawsze prowadzi do dyskusji o seksie i mężczyznach. Pewnego wieczoru, kiedy opijają w domku Alexy rozwód Jane i rozmawiają o mężczyźnie idealnym, a na zewnątrz szaleje gwałtowna burza, do Eastwick przyjeżdża tajemniczy gość. Jego pojawienie się pociąga za sobą lawinę dziwnych wydarzeń.

Ci z Państwa, którzy mieli okazję oglądać Jacka Nicholsona w „Lśnieniu" Kubricka mogą wyobrazić sobie jak bardzo potrafi być on diabelski. W „Czarownicach" kreowany przez niego Daryl Van Horne jest już po prostu diabłem. Tylko jedna mieszkanka Eastwick widzi w osobie pogodnego, dobrodusznego i pełnego wdzięku przybysza zło, które odsłoni się dopiero kiedy bohater z „małego diabełka" (jak sam siebie w pewnym momencie nazywa) przeistoczy się w prawdziwego, wściekłego szatana.

Już sama gra Nicholsona wystarczyłaby, żeby film był wart obejrzenia, ale reżyser pokazał również lwi pazur w wielu oryginalnych, ciekawych scenach (przykładem może być mecz tenisowy, podczas którego piłka posłuszna jest raczej rozkazom ciemnych mocy aniżeli prawom natury). Scenariusz odchodzi niekiedy od zasad obowiązujących zwyczajowo w historiach o diabłach, zmuszając na przykład Van Horna do odwiedzenia kościoła, w którym zamiast zginąć lub przynajmniej trochę się pomęczyć, wygłasza niezwykle uszczypliwy monolog na temat niedoskonałości kobiet.

W filmie Millera, który nie jest żadną superprodukcją, lecz obrazem kameralnym, spotkał się z artyzm i aktora, i reżysera. Miller, z pochodzenia Australijczyk, ma bowiem to, co wydaje się typowe dla młodej generacji tamtejszych twórców: zdolność tworzenia na taśmie filmowej niezwykle malarskich obrazów i szczególną zdolność pokazywania przestrzeni.

Zarówno w przypadku „Labiryntu", jak i „Czarownic" widz otrzymuje towar bardzo wysokiej jakości. Oba filmy charakteryzuje lekkość typowa dla utworów niesłychanie starannie wypracowanych. Oba należą niewątpliwie do kina rozrywkowego, ale w zabawie, którą proponują nie ma cienia głupoty. I to przede wszystkim jest dla nich wspólne.

Dorota Malinowska

LABIRYNT (Labyrinth). Reżyseria: Jim Henson. Scenariusz: Terry Jones według pomysłu Dennise Lee i Jima Hensona. Zdjęcia: Colin Corby. Obsada: David Bowie, Jennifer Connelly, Toby Froud. Wielka Brytania, 1986.

CZAROWICE Z EASTWICK (The Witches of Eastwick). Reżyseria: George Miller. Scenariusz: Michael Cristopher według utworu Johna Updike'a. Zdjęcia: Vilmos Zgismond. Obsada: Jack Nicholson, Cher, Susan Sarandon, Michele Pfeiffer. USA, 1987.

Eurocon 1987





PRIX EUROPÉEN de SCIENCE FICTION

Décerné à M. WIKTOR ŻWIKIEWICZ

Pour son ouvrage L'ensemble de son oeuvre

par les Assises de la SOCIÉTÉ EUROPÉENNE de SCIENCE FICTION

Le bureau S.E.S.F.

Montpellier, 29/10 - 1/11 1987



PRIX EUROPÉEN de SCIENCE FICTION

Décerné à M. Editions ISKRY

Pour son ouvrage 35 ans d'activité dans le domaine de la S.F.

par les Assises de la SOCIÉTÉ EUROPÉENNE de SCIENCE FICTION

Le bureau S.E.S.F.

Montpellier, 29/10 - 1/11 1987



PRIX EUROPÉEN de SCIENCE FICTION

Décerné à M. „FENIKS"

Pour son ouvrage Fanzine polonais

par les Assises de la SOCIÉTÉ EUROPÉENNE de SCIENCE FICTION

Le bureau S.E.S.F.

Montpellier, 29/10 - 1/11 1987

Od 29 października do 1 listopada 1987 r. w Montpelier (Francja) odbywał się XI Eurocon połączony z XIV Konwentem narodowym Francji. Wspólną imprezę nazwano ComèCon.

Podczas spotkań Euroconu przeprowadzono wybory nowego zarządu tej organizacji. Koordynatorem wybrano Iona Hobanę (Rumunia; zastąpił on sprawującego tę funkcję od początku istnienia ESSF Pierre'a Barbeta z Francji), przewodniczącymi pozostali piastujący te funkcje także poprzednio Jeremiej Parnow (ZSRR) i Gianfranco Viviani (Włochy), na stanowiska sekretarzy generalnych wybrano **Adama Hollanka** (który przejął te obowiązki po Jacku Rodku) i Jeana Paula Cronimusa (Francja). Archiwistą został ponownie Pascal Duhomin (Szwajcaria). Pierre'a Barbeta, w uznaniu jego zasług dla Euroconu, wybrano honorowym członkiem komitetu.

Jak co roku Eurocon przyznał liczne nagrody. Obok prezentujemy dyplomy, które otrzymali: Wiktor Żwikiewicz (za całokształt twórczości), Wydawnictwo „Iskry" (za 35 lat działalności w dziedzinie SF), kwartalnik PSMF „Feniks" (jako najlepszy fanzin polski).

Podczas francuskiego konwentu odbywały się, jak zwykle przy takich okazjach, spotkania z pisarzami, wydawcami, grafikami. Zorganizowano sprzedaż książek i albumów SF. Było także stoisko poświęcone grom. Wśród zaproszonych gości znaleźli się między innymi dwaj młodzi pisarze a- ... ścy: David Brin i Kim Stanley Robinson (których utwory niedługo Państwu przedstawimy) oraz bardzo popularny we Francji grafik, Philip Caza, znany jako twórca wielu komiksów oraz licznych okładek powieści SF.

Philip Caza podczas spotkania z miłośnikami swoich rysunków stwierdził, że ilustracje SF są wynikiem zespołowej pracy autora tekstu (narzucającego temat czy choćby ideę rysunku), ilustratora i wydawcy, który często forsuje swoją wersję okładki. Presja wywierana przez wydawców jest bardzo silna, gdyż to oni zlecają pracę i płacą za nią. Książka musi być sprzedana, w innym przypadku traci i autor, i wydawca. Caza twierdzi, że tak projektuje okładkę, żeby jego samego zachęcała do kupienia książki.

Podczas konwentu zorganizowano aż dwa spotkania z Kimem Stanleyem Robinsonem. Jedno z nich poświęcono twórczości Philipa K. Dicka, która była tematem pracy doktorskiej Robinsona. W czasie drugiego Robinson przedstawił swoją definicję literatury fantastycznej: Literatura fantastyczna opowiada o historii ludzkości, która się nie zdarzyła. I tak, jeśli przenosi nas w odległą przyszłość mamy do czynienia z fantastyką naukową. Jeśli w przeszłość – z fantasy. Opisując historię współczesną autorzy kreują światy równoległe (alternatywne). I wreszcie kiedy przenoszą nas w tak daleką przyszłość, że cywilizacja wraca w niej do swych prymitywnych początków (np. „Planeta małp"), mamy do czynienia z science fantasy.

D.M.

